



HARLEQUIN®

ROMANS  
HISTORYCZNY



LOUISE  
ALLEN

Egipska misja

**Louise Allen**

**Egipska misja**

Tłumaczenie  
Teresa Komłosz

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Początek kwietnia 1801, Górny Egipt*

Quin leżał na gorącym piasku, na szczycie wydmy; próbował zapomnieć o pragnieniu, upale i pulsującym bólu w lewym ramieniu, skupiając całą uwagę na widocznym w oddali namiocie.

Określenie „namiot” wydawało się w tym przypadku zbyt skromne. To, co widział, składało się z kilku wydzielonych pomieszczeń otoczonych strefami cienia, uzyskanymi dzięki połączeniu materiału rozpiętego na palikach; opuszczone nocą prawdopodobnie tworzyły zewnętrzne ściany.

Obozowisko wyglądało niezwykle schludnie, choć nie widać w nim było żadnej służby. Z jednej strony znajdowała się zagroda dla zwierząt ze słupkami do przywiązania i korytem, po drugiej trzcinowy dach osłaniał prowizoryczną kuchnię. Z obłożonego kamieniami paleniska unosiła się w górę strużka dymu; w zagrodzie nie było ani jednego osła, a jedyną żywą istotą w polu widzenia był mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem. Siedział przy stole w cieniu markizy i pisał coś w rozłożonych na blacie papierach.

Quin zmrużył oczy. Człowiek, na którego patrzył, miał pięćdziesiąt kilka lat, krępa sylwetkę i przetkane siwizną ciemne włosy – z pewnością był tym, kogo szukał, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Sir Philip Woodward, baronet, antykwariusz i uczonec, nieczuły mąż, samolubny wdowiec zaniedbujący swe dziecko... i zdrajca.

W oddali dało się zauważyć falowanie szaty poruszanej lekkim powiewem wiatru. Ktoś nadchodził. Quin przeniósł spojrzenie na monumentalne kolumny świątyni Kom Ombo, górującej nad rozsianymi za nią glinianymi chatami wioski, zamieszkałej przez rybaków i rolników. Osoba prowadząca osła musiała dobrze znać teren, bo mijając majestatyczne ruiny, nawet nie podniosła wzroku. Kiedy się zbliżyła, Quin zobaczył, że to kobieta w zakrywającej ciało ciemnoniebieskiej szacie o nazwie *tob sebleh*, ale jak większość kobiet w Górnym Egipcie z odsłoniętą twarzą. Służąca... albo ta druga osoba, po którą go przysłano?

Madame Valsac, wdowa po kapitanie Thierryem Valsacu z Armii Wschodniej Napoleona, córka sir Philipa Woodwarda i, być może, również zdrajczyni. Jednak w przeciwieństwie do ojca, którego bezpieczeństwo niewiele obchodziło zleceniodawcę Quina, madame Valsac miała być zabrana z Egiptu i sprowadzona pod skrzydła dziadka, czy jej się to podobało, czy nie – niezależnie od tego, komu była lojalna.

Ewentualne trudności i kłopoty, jakie mogły wystąpić setki kilometrów od wybrzeża, zupełnie nie interesowały dżentelmena rezydującego na Gibraltarze. Quin był dyplomatą mówiącym po francusku i arabsku, a do tego orientował się na tyle w zagadnieniach starożytności, by ujść za jednego z francuskich *savants*, uczonych pozo-

stawionych przez Napoleona na egipskiej pustyni w celach badawczych, pod opieką jego źle opłacanych, nękanymi chorobami i słabo zaopatrzonych oddziałów. Kwalifikacje Quina zostały ocenione jako całkowicie wystarczające do odbycia tej szczególnej misji.

- Mam ogólne rozeznanie w historii starożytnej, milordzie - próbował tłumaczyć Quin. - Moja wiedza o Egipcie jest praktycznie zerowa.

Nie posiadam też umiejętności porywania kobiet, dodał już w duchu.

- Będzie pan miał mnóstwo czasu, żeby się podszkolić za pomocą odpowiedniej lektury na pokładzie statku płynącego stąd do Aleksandrii - odparł jego zwierzchnik, zupełnie niewzruszony. - Proszę tylko pamiętać, że książę St. Osyth życzy sobie powrotu wnuczki, nawet jeśli przez jej łóżko przewinął się cały francuski regiment. Jej ojca nikt nie chce, ale jeśli jest zdrajcą, musimy poznać szczegóły jego działalności. Potem może się pan go pozbyć.

- Nie jestem zabójcą, milordzie - przypomniał mu Quin, tonem znacznie ostrzejszym niż ten, którym tłumaczył się z nieznamomości Egiptu. Owszem, był ambitny, ale nigdy by się nie posunął do morderstwa.

- W takim razie proszę go bliżej zapoznać z jakimś głodnym krokodylem albo zgubić na pustyni.

Quin zamrugał, żeby lepiej widzieć, i zorientował się, że czarne punkty migające mu przed oczami to bynajmniej nie muchy.

Kobieta z osłem podeszła już całkiem blisko. Mijając człowieka siedzącego pod markizą, odezwała się, ale jej nie odpowiedział. Zatem była służącą.

Zatrzymała osła i zaczęła ściągać z jego grzbietu naczynia z wodą. Wykonywane przez nią ruchy, sprawne i oszczędne, zdradzały, że jest przyzwyczajona do pracy fizycznej. Napełniła wiadro dla zwierzęcia, uzupełniła zapas w wielkich stągwiach, a potem nabrała wody do niewielkiego dzbanka i zaniósła pod zacieniający daszek naprzeciwko wydmy, gdzie leżał ukryty Quin.

Przez pulsujący ból głowy nie od razu się zorientował, co kobieta zamierza zrobić. Ściągnęła przez głowę bawełnianą wierzchnią szatę, rozpuściła włosy związane wcześniej skrawkiem zwiniętego płótna i zabrała się do rozsupływania paska w tali. Zagapiony na jej włosy - w kolorze dojrzałego miodu, lekko pofalowane, zdecydowanie nie egipskie - potrzebował chwili, by do niego dotarło, że zaraz zdejmie resztę ubrania i zacznie się myć.

Podglądanie kobiet w kąpieli uważał za równie niedopuszczalne, jak karmienie krokodyli baronetami. Podniósł się więc, zaskoczony niestałością podłoża, które dosłownie uciekało mu spod nóg. Nadszedł czas, by plan jego misji - cokolwiek by o nim sądził - wcielić w życie.

Już po pierwszym chwiejnym kroku wiedział, że to nie powierzchnia wydmy utrudnia mu chodzenie. Do licha, jestem chory, pomyślał, na wpół biegnąc, na wpół ześlizgując się po piaskowym zboczu. Starał się panować nad ruchami nóg, lecz mimo to wylądował na twardym gruncie u dołu z takim impetem, że aż zabolął go kręgosłup. Kobieta nawet nie drgnęła ani nie wydała żadnego odgłosu, po prostu stała z rękami na wężle paska i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Zatrzymał się w końcu niewiele ponad metr od niej.

- *Bonjour* - zdołał wydukać, nim kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię. - *Mada...*

Kleo długo przyglądała się postaci wyciągniętej u jej stóp, odzianej w zakurzoną galabiję, z odkrytą głową, a potem westchnęła i podniesionym głosem zawołała:

- Ojczy!

- Pracuję. Już czas na posiłek?

- Nie. Jest tu jakiś człowiek, nieprzytomny.

- Zostaw go. - Ojciec, wyraźnie zirytowany, że mu przeszkadza, nie okazał najmniejszego zaciekawienia sytuacją. Cóż, można się było tego spodziewać, chodziło w końcu o istotę ludzką, co więcej, w pożałowania godnym stanie, a nie ruiny wspa- niałej świątyni, fresku, nie mówiąc już o nierozszyfrowanej inskrypcji.

- Umrze i będzie śmierdział - odkrzyknęła Kleo. Doskonale wiedziała, że tylko bezpośrednia groźba zakłócenia spokoju i wygody skłoni ojca do działania.

Rozległo się stłumione przekleństwo, po czym mężczyzna stanął u boku córki. Szturchnął leżące na ziemi ciało czubkiem buta; widząc, że się nieznacznie poruszy- ło, rzekł:

- Żyje. Nie jest Egipcjaninem. To na pewno Francuz. Gdzie chcesz go położyć?

- Nie chcę go nigdzie kłaść! Ale chyba go położę na wolnej pryczy w moim pokoju.

- Kleo rozsunała zasłony, a potem zgarnęła pościel i kilka swoich ubrań z łóżka, o którym wspomniała, zostawiając jedynie cienki bawełniany materac na sznurach rozpiętych gęsto na ramie. Nim znów wyszła na zewnątrz, ojciec zdążył wsunąć nie- przytomnemu przybyszowi ręce pod pachy i wciągał go, wciąż obróconego twarzą w dół, do namiotu.

Nagle zaświtała jej w głowie nieprzyjemna możliwość.

- Ma opuchlizny?

- Co? - Ojciec gwałtownie cofnął ręce i bezwładne ciało z głuchym klapnięciem uderzyło o ziemię.

Kleo się wzdrygnęła. Wyglądało na to, że dodatkowo będzie musiała opatrzeć roz- bity, krwawiący nos.

- Pod pachami. Jeśli jest chory, ma tam opuchlizny.

- Nie ma. Ale jest rozpalony i wyschnięty na kość. - Ponownie schylił się ku nie- znajomemu i pociągnął ciało do łóżka; Kleo chwyciła za nogi i razem wrzucili nie- znajomego na posłanie, tym razem twarzą ku górze. Okazało się, że jakimś cudem nos pozostał nienaruszony.

- W takim razie dostał udaru - postawiła diagnozę Kleo. Dostrzegła na lewym ręk- awie zaschniętą ciemną plamę. - I jest ranny. - Ojciec już kierował się do wyjścia. - Muszę zdjąć z niego ubranie.

- Byłaś mężatką, to sobie poradzisz. - Stłumiony głos świadczył, że zdążył się już oddalić. Wracił do swojej korespondencji, zamierzał pisać, dopóki córka nie podsu- nie mu pod nos jedzenia.

- Może i byłam zamężna... - mruknęła Kleo, dotykając wierzchem dłoni czoła nie- znajomego - ...ale nie z tym mężczyzną. - Zdjęła mu sandały, co akurat nie przed- stawiało trudności, a następnie przetaczając bezwładne ciało po posłaniu, zdołała ściągnąć z niego galabiję. Sznur przytrzymujący cienkie bawełniane kalessy polu-

zował się podczas jej zabiegów, więc je także zsunęła. Mężczyzna miał na sobie pas ze skórzaną torbą ciężką od monet. Odłożyła ją na bok, a potem zrobiła krok do tyłu, aby objąć wzrokiem rozmiar problemu.

A był doprawdy niemały. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary i jasne włosy; musiał ostatnio stracić sporo na wadze, bo mięśnie na brzuchu prezentowały się wyraziście niczym dzieło zdolnego rzeźbiarza. No i zdecydowanie należał do rodzaju męskiego. Swoją drogą, rzeźbiarz mógłby mieć trochę przyzwoitości i zaopatrzyć go w naprawdę duży liść figowy...

Może i była wdową, ale nie na tyle wyzwoloną, by bez skrępowania patrzeć na nagiego obcego mężczyznę. W każdym razie nie na osobnika, który tak wygląda. Kleo przeniosła wzrok na jego ramię, rozorane niemal od barku do łokcia raną o nierównych, poszarpanych brzegach, i postanowiła się skupić na tym, co najważniejsze.

Obejrzawszy czerwone, zakażone brzegi rany, doszła do wniosku, że powstała na skutek postrzału, nie cięcia ostrzem. Ściągnięcie galabii spowodowało oderwanie się zaschniętej warstwy, jednak nie ulegało wątpliwości, że rana nie goi się tak, jak powinna. Na początek należało chorego nawodnić, potem obniżyć mu temperaturę i dopiero wówczas mogła próbować opatrzyć ramię. W niewielkim oddziale francuskiego wojska stacjonującym po drugiej stronie wioski nie było lekarza ani felczera, nie mogła więc liczyć na żadną pomoc.

Mężczyzna pił łąpczywie, kiedy uniosła mu głowę i przyłożyła do ust kubek. Miała wrażenie, że już sam zapach wody tchnął w niego trochę życia.

- Powoli, nie możesz wypić za dużo na raz - zaczęła, lecz zaraz sobie przypomniała, że nim stracił przytomność, odezwał się do niej po francusku. - *Lentement*.

Kiedy odsunęła kubek, niespokojnie poruszył głową, ale nie otwierał oczu. Teraz należało go schłodzić i okryć. Raną mogła się zająć po tym, gdy już poda ojcu jedzenie.

- A ty, *monsieur*... - Kleo sięgnęła po czyste prześcieradło i zamoczyła je w wiadrze z wodą - ...jesteś dopustem bożym. Możesz mi wierzyć, że gdyby jakaś dobra wróżka zjawiała się tu i zaproponowała, że da mi wszystko, czego zechcę, kolejny mężczyzna do nianczenia byłby na samym końcu mojej listy. - Wyciągnęła namoczone prześcieradło i bez wyzymania okryła nim nagie ciało nieznajomego. - No, tak jest lepiej.

Przynajmniej dla mnie, dodała w myślach.

To była jego ulubiona fantazja, pojawiała się w półśnie, krzepiąca i jednocześnie ożywiająca zmysły: że jest żonaty z idealną kobietą. Słyszał cichy szelest spódnicy, lekki stukot kroków, od czasu do czasu dobiegał go delikatny zapach kobiecych perfum, kiedy podchodziła bliżej. Wkrótce miał się obudzić i zobaczyć ją pochyloną nad łóżkiem, z uśmiechem w niebieskich oczach, pełnych miłości i ciepła. Wyobrażał sobie jej twarz całkiem wyraźnie: śliczne drobne rysy i miękkie, pąsowe usta.

- Caroline. - Wyciągnie do niej ramiona, a ona rozpuści długie jasne loki i zacznie się rozbierać z niewinną kokieterią, która rozpałała jego zmysły do białości, jeszcze zanim jej dotknął.

Kiedy się przytulała, jej miękkie krągłości przywierały do jego twardych musku-

łów tak dokładnie, jakby była stworzona specjalnie dla niego. „Och, Quin...” szeptała, wodząc dłońmi po jego piersi, a potem coraz niżej.

Zapach smażonego mięsa wybił go ze stanu przyjemnego rozmarzenia. Dlaczego służba pozwalała, by kuchenne wonie przedostawały się do sypialni? Do diabła, przecież był ambasadorem! Dłonie jego wyśnionej żony nadal go gładziły. Jej blond loki, nie wiedzieć czemu mokre, opadały mu na pierś, kiedy drobnymi, szybkimi pocałunkami dotykała jego twarzy. Tak jak mógł się spodziewać, jego ciało odpowiedziało gotowością do działania, wkrótce miał ją pojąć i doprowadzić na szczyt rozkoszy. A potem czekała ich miła rozmowa, rzeczowa i inteligentna. Z zainteresowaniem dla myśli drugiej strony i poszanowaniem jej opinii. Spokojna, pełna harmonii...

- Niech to szlag! - Głos był kobiecy, owszem, ale cała reszta nie pasowała do jego snu. Wiązanka arabskich złorzeczeń utwierdziła go w przekonaniu, że bynajmniej nie wypowiada ich dama.

Quin uświadomił sobie, że jest przytomny, obolały, piekielnie spragniony i zupełnie skołowany.

- Co...? - wychrypiał. Nie miał siły otworzyć oczu, lecz na szczęście od razu podsunęto mu do ust kubek z wodą.

- Powoli - brzmiała rada po francusku, wypowiedziana głosem tej samej kobiety, zdecydowanym i szorstkim. I całkowicie pozbawionym współczucia. Kubek został zabrany.

- *Merci* - zdołał wydukać Quin. Udało mu się też rozchylić bolące powieki. Z całą pewnością to nie jest kobieta z moich fantazji, pomyślał z cieniem humoru, zdumiewającym w jego marnej kondycji. Wysoka, smukła, z włosami bardziej brązowymi niż blond, przyglądała mu się chłodno, próbując ukryć zniecierpliwienie. Była bez wątpienia inteligentna. Ale przymilna i słodka z pewnością nie. - Jeszcze trochę? - odezwał się z nadzieją. - To znaczy... *encore*? - Wiedział, że nie powinien otwierać ust w celu innym niż picie do czasu, aż przestanie mu się gotować w mózgu.

- Nie dostanie pan więcej wody przez kilka minut. To niebezpieczne przy takim odwodnieniu. Nie jest pan Francuzem.

Cóż, nie miał wyboru, musiał zacząć myśleć.

- Da pani wiarę, jeśli powiem, że jestem Amerykaninem? - powiedział.

- Naprawdę? - Wyglądało na to, że uwierzyła. Wprawdzie uniosła brwi w wyrazie zaskoczenia, ale nie zaprzeczyła. Amerykanie sprzyjali Francji, ma się rozumieć.

- Od bardzo dawna nie widziałem Bostonu - dodał Quin. Rzeczywiście dawno nie odwiedzał swoich kuzynów w porcie o tej nazwie, tyle że leżącym w Lincolnshire. Od czasu do czasu był wysyłany w różne strony świata, żeby umierać za ojczyznę, ale wolał nie kłamać na ten temat, jeśli nie musiał. Zwykle wystarczała pewna modyfikacja przekazywanych wiadomości. Zamknął oczy, ale zaraz znów je otworzył, uświadomiwszy sobie, że jego ciało jest nie tylko obolałe i rozpalone, ale też nagie.

- Kto zdjął ze mnie ubranie? - Od szyi po stopy okrywało go jedynie mokre prześcieradło.

- Ja - przyznała sucho jego pełna rezerwy pielęgniarka. Widząc, jak kurczowo zaciska palce na bawełnianej tkaninie, dodała: - Wielkie rzeczy. Nie ma co się czerwienić ze wstydu, jestem wdową. Zapewniam, że dla mnie jeden mężczyzna niewiele się różni od drugiego.

Quin miał ochotę zgrzytnąć zębami. Do licha, przecież się nie czerwienił.

- A ja zapewniam, *madame*, że dla mnie jedna kobieta jednak się różni od drugiej.

- Wolałby pan, żebym go zostawiła na pewną śmierć? Nie dokonywałam żadnych porównań, więc nie ma się co przejmować. - Nie uśmiechała się, mimo widocznego rozbawienia. Rozpoznał je po drobnych zmarszczkach w kącikach oczu i dołku w policzku. Wrażenie szybko znikło, kiedy przesunęła wzrokiem wzdłuż prześciera-  
dła. Quin poczuł, że zaraz będzie miał prawdziwy powód, by się zaczerwienić. -  
Płótno już wysycha. Wymienię je na namoczone, zanim się wezmę do pańskiego ra-  
mienia.

Usłyszał plusk wody, a potem szelest kroków zbliżających się do łóżka. Zacisnął  
palce na swoim okryciu z siłą, która samego go zdumiała. Nowa, druga warstwa na-  
moczonego płótna wylądowała na nim z głośnym plaśnięciem, drobne kropelki wody  
zrosiły mu twarz.

- Proszę chwycić to górne - rozkazała, po czym stając w nogach łóżka, mocnym  
szarpnięciem wysunęła dolne. Zrobiła to tak zręcznie, że ani przez moment nie po-  
zostawał krępująco obnażony... choć szorstki materiał przy gwałtownym ruchu nie-  
przyjemnie otarł się o jego męskość.

Quin zdusił przekleństwo cisnące mu się na usta i rozluźnił uścisk palców. Uniósł  
nieco głowę i spoglądając na siebie spod opuszczonych powiek, zobaczył, że mokre  
prześcieradło oblepia go tak dokładnie, że wygląda jak pomalowany białą farbą. Do  
licha! Miał na tyle doświadczenia z kobietami, że zwykle nie bywał zawstydzony.

Z drugiej strony kobieta, która się do niego zbliżała z naczyniem w jednej ręce  
i kilkoma ostrymi narzędziami w drugiej, nie była wesołą towarzyszką łóżkowych  
igraszek.

- Może się pan napić jeszcze trochę wody, a potem oczyszczę panu ranę na ra-  
mieniu. - Usiadła na krześle obok łóżka, a zdenerwowany Quin wyjął z jej dłoni ku-  
bek, nim zdążyła mu go przytknąć do ust.

- To tylko draśnięcie od kuli.

- Wyczuwam ubytek mięśni na grubość palca, a do tego wdała się infekcja. Na-  
prawdę nie chciałabym, żeby zaszła konieczność amputacji.

- Po moim trupie. - Quin omal nie zakrztusił się wodą. Do licha, był pewien, że  
jest zdolna to zrobić, po przywiązaniu wrzeszczącej ofiary do łóżka.

- Pański wybór. - Wzruszyła ramionami.

- Świetnie. - Quin oddał jej kubek i zsunął prześcieradło z lewego ramienia. Za-  
mierzał usiąść, ale na widok paskudnie ropiejącej rany ucieszył się, że leży. Zabieg  
zapowiadał się na dość poważny, a nie chciał dawać swej oprawczyni dodatkowej  
satysfakcji i zemdleć.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Madame Valsac sprawiała wrażenie kompetentnej, Quin musiał jej to przyznać. Nieprzyjemnie wyglądające narzędzia okazały się dobrze naostrzone i czyste, przygotowała też gorącą wodę, gąbki i pasy płótna. Odwróciła go na bok i uważnie oglądała ranę, co obudziło w nim zaciekawienie, jakiego koloru ma oczy. Szare czy zielone, a może szarozielone? Szarozielone... Zdrową ręką chwycił się ramy łóżka i ukradkiem spojrział na jej pochyloną głowę. Zobaczył ucho, całkiem kształtne, okolone puklami włosów, które odgarnęła do tyłu, żeby jej nie przeszkadzały, opadając na twarz.

A niech to! – zaklął w duchu.

– Jak pan się nazywa?

Zagadujemy pacjenta, żeby nie myślał o tym, co się z nim dzieje, pomyślał Quin, znosząc w milczeniu potężne ukłucie bólu.

– Quintus Bredon – odpowiedział, kiedy już był w stanie złapać oddech. – Może mnie pani nazywać po imieniu, Quin. – Doszedł do wniosku, że posługiwanie się częścią prawdziwego imienia pozwoli mu uniknąć niepotrzebnych pomyłek. – A pani? – Doskonale znał odpowiedź na to pytanie, przy Woodwardzie mogła być tylko jedna Angielka w jej wieku, ale musiał zachowywać pozory, a poza tym podano mu tylko jej nazwisko. Zważywszy na fakt, że rozebrała go do naga, mogli sobie chyba pozwolić na pewną zażyłość.

– *Madame Valsac*. Może się pan do mnie zwracać per *madame*.

Zrobiła coś, po czym aż zakręciło mu się w głowie i na moment jakby zapadł się w ciemność, a potem nagle ból zelżał.

– Rana jest już czysta. Jak doszło do postrzału?

– Wszedłem w drogę bandzie Beduinów – wyjaśnił Quin, naśladowując jej ton uprzejmej obojętności. – Nie zachowałem należytej ostrożności. Jak się ocknąłem, zabierali moje wielbłądy i cały dobytek.

– Rzeczywiście, duża nieostrożność. – Owijała mu ramię skrawkiem czystego płótna. – Był pan sam? Czego Amerykanin szuka w Egipcie?

– Należałem do niewielkiej grupy inżynierów, ale chciałem dotrzeć dalej na południe, żeby zbadać bieg rzeki. Natomiast oni zamierzali zostać na miejscu jeszcze kilka dni. Interesuje mnie budowa zapór. – Musiał wymyślić tę historię, żeby uzasadnić, jak i po co znalazł się w Egipcie. Z książek, które uważnie studiował podczas podróży statkiem, zostało mu w głowie mnóstwo wiadomości na temat faraonów, dziwnych bóstw, niemożliwych do odczytania hieroglifów i rozmaitych szalonych teorii. Ten poziom wiedzy nie wystarczał do oszukania osoby naprawdę zorientowanej, na przykład naukowca prowadzącego badania na pustyni, dlatego Quin uznał, że lepiej udawać coś, o czym potrafi przynajmniej sensownie rozmawiać po angielsku.

– Nie miałam pojęcia, że Napoleon ma pośród swoich sawantów również Amery-

kanów. – Wprawdzie związała końcówki bandaża w węzeł i ostrożnie puściła jego obolałe ramię. – Pewnie pana ucieszy, że w Daraw stacjonuje niewielka jednostka, niedaleko stąd na południe. Bez wątpienia chętnie pana przyjmą.

– Bez wątpienia. – Do licha, akurat tego najmniej potrzebował! Według planu miał ostrzec Woodwarda i jego córkę, że od południa zbliżają się mamelucy. W istocie była to tylko część prawdy, jednak nie zamierzał wyjawiać reszty: że mamelucy dają wsparcie Francuzom, pobitym w Kairze przez sprzymierzone siły brytyjsko-tureckie. Nikt, niezależnie od tego, kogo uważał za wroga, a kogo za sprzymierzeńca, nie chciałby mieć do czynienia ze śmiertelnie groźnymi konnymi oddziałami pod dowództwem Murada Beya. Należało przekonać Woodwarda i madame Valsac, żeby popłynęli z nim łodzią na północ, nie zdradzając im przy tym, że kierują się prosto w ręce Brytyjczyków.

Tymczasem czekało go spotkanie z francuskimi żołnierzami, którzy musieli wiedzieć, że w okolicy nie pracują żadni inżynierowie, a do tego mogli już otrzymać wiadomość, że generał Abercrombie zepchnął ich wojska pod Aleksandrię. Istniało też wysokie prawdopodobieństwo, że wiedzą, że nie ma żadnych Amerykanów pośród naukowców, badaczy i artystów, których ukochany wódz zostawił na łasce wojska, opuszczając Egipt przed dwoma laty. Bonaparte wrócił do Francji i dokonał zamachu stanu, dzięki któremu zyskał pełnię władzy i tytuł cesarza. Porzuceni generałowie musieli sobie jakoś radzić sami.

Quin obserwował kobietę, o której mimowolnie myślał jako o swojej przeciwniczce, patrzył, jak sprząta i myje narzędzia, użyte do opatrzenia rany. Wydała mu się bystra i powściągliwa do granic oschłości, miał świadomość, że niełatwo ją będzie przestraszyć i nakłonić do ucieczki. Wiedział, że w najgorszym razie będzie musiał ukraść łódź, porwać ją, a jej ojca zostawić na pastwę losu.

Madame Valsac odwróciła się, wychodząc z namiotu; padające od tyłu światło uwidoczniło zarys jej sylwetki pod cienką szatą. Ciało Quina, beztrosko obojętne na niedaleką obecność francuskiego wojska, uderzył słońce, gorączkę i to, co sądził o charakterze surowej pielęgniarki, jakby ożyło pod mokrym prześcieradłem.

– Coś nie tak? – spytała z troską. – Wydawało mi się, że słyszałam pański jęk. Mam opium, gdyby ból stał się nie do zniesienia. – Sądząc po tonie, jakim to powiedziała, byłaby skłonna ogłuszyć go ciosem w głowę, żeby sobie oszczędzić kłopotu.

– Nie, wcale nie – skłamał Quin. – Wszystko jest w najlepszym porządku.

Pomyślał jednak, że naprawdę nie po to przystępował do służby dyplomatycznej. Przystąpił do niej, ponieważ nie podobało mu się bezczynne korzystanie z przywilejów należnych piątemu, zupełnie niechcianemu synowi markiza, mimo że łączyły się z posiadaniem skromnego majątku ziemskiego i możliwości utrzymywania odpowiedniego stylu życia. Wszyscy czterej starsi bracia – upragnieni synowie z prawdziwymi tytułami – podążali wytyczonymi zawczasu ścieżkami życiowej kariery. Henry jako pierworodny, czyli przyszły dziedzic tytułu, uczył się roli markiza. James, drugi w kolejności, przygotowywał się do roli prawej ręki markiza; robił to w czasie wolnym od licznych rozrywek obejmujących wizyty w domach uciech, uprawianie hazardu oraz rozmaite zajęcia sportowe. Charles, pułkownik królewskiej gwardii, tak dobrze wyglądał w mundurze, że zapominało się o niedostatkach jego umysłu, mętnego niczym londyńska mgła. A George, duchowny, z niechrześci-

jańską zawziętością wdrapywał się po hierarchicznej drabinie, prowadzącej do biskupiego tronu.

- Dla ciebie pozostaje marynarka, Quintusie - stwierdził lord Deverall, markiz Malvern, w dniu czternastych urodzin Quina. Nadanie dziecku imienia oznaczającego liczbę okazało się pomysłem nadzwyczaj praktycznym: dzięki temu markiz zawsze pamiętał, jak się nazywa jego piąty potomek.

- Nie, milordzie. - Quin nie był przyzwyczajony do sprzeciwiania się markizowi, choćby dlatego że rzadko miewał ku temu okazję. Markiz, kiedy tylko mógł, unikał zwracania się do kukulczego jaja w swoim gnieździe. - Nie jestem najlepszy z matematyki, która ma podstawowe znaczenie dla oficera marynarki - wyjaśnił.

Markiz Malvern, smukły płowowłosa mężczyzna o wykwintnych manierach i niepospolitej elegancji, pilnie naśladowany przez Henry'ego, Jamesa, Charlesa i George'a, gniewnie ściągnął brwi. Quintus, już wówczas dorównujący mu wzrostem, jasnowłosa i niestety uderzająco podobny do kochanka matki, nieodżałowanego wicehrabiego Hempstead, bez mrugnięcia wytrzymał wściekłe spojrzenie.

- W takim razie co, u licha, mam z tobą zrobić? - spytał markiz.

- Łatwo się uczyć języków - odparł Quin. - Zostanę dyplomata. - I tak się też stało. Zatrudnienie odpowiedniego nauczyciela, wykładowcy z Oksfordu, i upomnienie się o kilka należnych przysług w ministerstwie spraw zagranicznych wystarczyło, by markiz pozbył się kłopotu w postaci lorda Quintusa Bredona Deveralla. A sam Quin znalazł się tam, gdzie chciał, na ścieżce kariery, która przy odrobinie wysiłku z jego strony miała go wynieść na stanowisko ambasadora lub inną wysoką posadę rządową, dać mu własny tytuł i zapewnić godziwe życie z dala od rodziny.

No i jestem na tej zapomnianej przez Boga pustyni, na północy i na południu toczą się wojny, a do tego kraj dziesiątkuje jedna z biblijnych plag. Gdybym chciał być żołnierzem, nauczyłbym się lepiej strzelać. Gdybym chciał być lekarzem, bardziej bym się przykładał do lekcji przyrody, a gdybym chciał przemierzać setki kilometrów piachu, byłbym wielbłądem, pomyślał z rezygnacją, a potem zniechęca się uśmiechnął. Mimo wszystko jego obecne położenie stanowiło interesującą odmianę po niekończących się negocjacjach, dyplomatycznych przyjęciach i rozkodowywaniu korespondencji w sześciu językach. Po madame Valsac mógł się spodziewać pewnych trudności, ale wierzył, że z Woodwardem pójdzie mu gładko. Bo też jakie problemy mogłyby sprawiać uczony, który został szpiegiem amatorem?

- Nie - rzekł stanowczo sir Philip, nie podnosząc wzroku znad listu, który właśnie czytał. - Nie będziesz sobie robić żadnych wycieczek, żeby flirtować z oficerami. Kto dopatrzy tego przeklętego rannego? Kto ugotuje dla mnie obiad? Poza tym potrzebuję, żebyś robiła notatki, kiedy będę mierzył dziedziniec świątyni.

- Idę do sąsiedniej wsi, ojcze, nie do Kairu. I nie mam ochoty flirtować z francuskimi oficerami, jeden mi w zupełności wystarczy na resztę życia. Wrócę na czas, żeby ci ugotować obiad, bo wyjdę zaraz po śniadaniu, a jeśli pan Bredon do jutra całkiem nie wydobrzeje, zostawię mu jedzenie i wodę przy łóżku.

Liczyła na to, że po dwudziestu czterech godzinach przybysz dojdzie do siebie na tyle, by mogła się go pozbyć ze swojej sypialni. Zmęczyło ją wstawanie co godzinę, żeby mu przetrzeć twarz gąbką i zwilżyć usta; co dziwne, mimo zmęczenia za każ-

dym razem jakoś trudno jej było z powrotem zasnąć. Pan Bredon... Quin, jak kazał się nazywać, mimo że półprzytomny i trawiony gorączką, stanowił niepokojące towarzystwo. Wolała sobie nie wyobrażać, jak by na nią wpływała jego obecność, gdyby był w pełni zmysłów. Tak czy inaczej, nie miała ochoty spędzać z nim kolejnej nocy.

Kleo skończyła zmiatanie piasku z maty, na której stał podłużny stół ojca i zebrała jego zapiski z tego dnia do metalowej kasetki. Wiedziała, że wkrótce upomni się o kolację, ale miała resztki upieczonej na różnie koźliny, podpłomyki i trochę daktyli, więc nie potrzebowała wiele czasu na przygotowanie posiłku. Później, gdy ojciec już pójdzie z książką do łóżka, musiała posprzątać, jeszcze raz napić osła, nakarmić go, poopuszczać burty namiotu, sprawdzić, jak się miewa pacjent, i dopiero potem mogła się położyć.

- Pan Bredon może sam pójść do jednostki - zabrzmiał niski, lekko zduszony głos.

Kleo puściła wieczko kasetki, o mało nie przycinając sobie palców. Amerykanin, owinięty prześcieradłem jak togą, opierał się o jeden ze słupków namiotu. Mimo opalenizny dostrzegła, że jest blady na twarzy, do tego podtrzymywał chore ramię drugą ręką, ale niebieskie oczy patrzyły bystro, a lekka warstewka potu na skórze nie była już wynikiem gorączki.

- Musi mi pan wybaczyć, sir, ale nie spytałem *madame* Valsac, jak się pan nazywa - kontynuował tonem dżentelmena składającego salonową wizytę.

Kleo stłumiła w sobie złość. Sprawy wymykały się spod kontroli, czego szczerze nie znosiła. Pan Bredon powinien leżeć w łóżku.

- To jest pan Quintus Bredon, który powinien leżeć w łóżku, ojcie. - Na te słowa Quin tylko lekko się uśmiechnął. - Jest Amerykaninem i został napadnięty przez bandę Beduinów. - Odwróciła się do Quina. - Panie Bredon, to jest mój ojciec, sir Philip Woodward.

- Sir Philipie. - Kłopotliwemu gościowi udało się nawet wykonać coś w rodzaju ukłonu, bez tracenia kontroli nad okryciem z prześcieradła. - Muszę panu podziękować za gościnność. Mogę spytać, jaki dzień dziś mamy?

- Przybył pan tu wczoraj mniej więcej o tej porze - odpowiedziała za ojca Kleo i chwyciła za szcztokę. - I od tamtej pory pan gorączkuje. Radziłabym wrócić do łóżka.

Jej ojciec chrząknął, wskazując na drugie krzesło rozłożone przy stole.

- Nonsens. Przecież już stanął na nogi, nie widzisz? Jest pan naukowcem, sir? Co pan wie o kamieniu, który wykopano w Rosetcie półtora roku temu, he? Nie mogę uzyskać na ten temat żadnych sensownych wiadomości, nie udało mi się też zobaczyć znaleziska w Kairze.

- Słyszałem o nim, rzecz jasna, sir Philipie, ale na własne oczy też go nie widziałem. - Bredon spojrzał pytająco na Kleo i wskazał na krzesło. Widząc jego gest, pokręciła głową, a następnie bezgłośnie, samym ruchem warg nakazała mu usiąść. Wiedział, że nie zdoła się samodzielnie podnieść, gdyby krzesło nie wytrzymało jego ciężaru, ale z ponurą miną usłuchał polecenia. - Jestem inżynierem i obawiam się, że wiem o nim niewiele, podobnie jak o symbolach, jakimi są hieroglify.

- Rozumiem, ale czy rzeczywiście przedstawiają symbole?

Kleo wywróciła oczami i wyszła, pozostawiając swego pacjenta własnemu losowi.

Zakładała, że nie będzie umiał dokonać strategicznego odwrotu jak Thierry, który w takich razach powoływał się na swoje żołnierskie obowiązki, a nie miała czasu czekać, aż ojciec skończy pouczać swą nową ofiarę. Przede wszystkim należało uprać i naprawić ubrania pacjenta, skoro już stanął na nogi. Pomysł, by pan Bredon zaszedł do francuskiego obozowiska odziany jak Juliusz Cezar, wydał jej się zabawny, ale raczej niepraktyczny.

Wrzuciła więc galabiję i bawełniane kalesony do balii, dodała trochę mydła ze swoich bezcennych zapasów i zaczęła trzeć materiał, dopóki nie stał się czysty. Kiedy już wywiesiła uprane rzeczy na słupku od namiotu, gdzie miały wyschnąć w niespełna godzinę, znalazła nowy sznur do kalesonów i pas białego płótna na turban. Pan Bredon najwidoczniej nie wiedział, że należy osłaniać głowę przed intensywnym nasłonecznieniem.

- Magiczne symbole... - dobiegł ją głos ojca, perorującego po drugiej stronie namiotu. - Nie zgadzam się z tą teorią. Nie ulega wątpliwości, że jest to sekretny kapłański kod...

Prawie współczuła panu Bredonowi. Prawie. Przeciągnęła jego łóżko do dalszej części namiotu, na miejsce obok pudeł z zapasami. Skoro czuł się na tyle dobrze, by rozmawiać z jej ojcem, z całą pewnością nie wymagał całonocnej opieki. Na szczęście. Prywatność stanowiła dla niej cenny i głęboko doceniany luksus. Zdjęła mokrą kołdrę, na której leżał, i ułożyła na łóżku świeżą pościel, a potem przeszła do swojej części sypialnej, żeby ją posprzątać. Nie znosiła nieporządku. Wprost go nienawidziła. Tak samo jak piasku. Piasku nawet bardziej.

- Chińskiego? - zdumiony głos należał do pana Bredona. Najwyraźniej ojciec wykladał mu swoją teorię, że egipskie napisy są formą języka chińskiego. A może odwrotnie?

Kleo napoiła osła i podrzuciła mu resztki więdnącej zieleniny, którą zebrała rano na brzegu rzeki. Postanowiła narwać więcej nazajutrz, w drodze powrotnej z wojskowego obozu. Plecy bolały ją od wysiłku, na moment oparła się o zakurzony szary zad zwierzęcia i podrapała je po grzbiecie, wiedząc, że mu to sprawia przyjemność.

- Na dzisiaj koniec pracy - zwróciła się do osła. Sama musiała przygotować kolację.

Quin zastał madame Valsac przy nakładaniu miodu ze słoika do miski; głęboko skupiona na czynności sprawiała wrażenie osoby, która przesadną starannością próbuje zwalczyć obezwładniające zmęczenie. Wcześniej znalazł swoje ubranie, uprane i wysuszone na słońcu; naprawione kalesony leżały wraz z płótnem na turban i sandałami na łóżku, które najwidoczniej sama przeciągnęła na nowe miejsce i na nowo zaścieliła.

Osiół meł w zębach resztki jedzenia, obozowisko lśniło czystością, a długi stół był nakryty do skromnego posiłku. Quin przez ostatnią godzinę próżnował, starając się nie zasnąć od wieczornego gorąca, bardziej obserwował, niż słuchał sir Philipa, który prawił o egipskiej starożytności.

Quin przebrał się w swoje ubrania, umieścił chorą rękę na temblaku zrobionym z kawałka płótna i znów wyszedł na zewnątrz, próbując opanować chwilowe zawroty głowy. Na końcu stołu dostrzegł w koszyku sztucę o trzonkach z kości słoniowej;

przeklinając w duchu własną słabość, zaczął jedną ręką rozkładać trzy nakrycia.

- Nie musi pan tego robić. Powinien pan odpoczywać. - Kobieta powiedziała to chodnym, pozbawionym emocji głosem, ale nie próbowała mu odebrać koszyka.

- Odpoczywałem, rozmawiając z sir Philipem.

- Nie wydaje mi się, żeby to była rozmowa. Nowy słuchacz zawsze pobudza ojca do wykładu. Proszę usiąść. - Napełniła dwa naczynia jakimś płynem, jedno przesu-  
nęła w stronę Quina po blacie, po czym usiadła ostrożnie, jakby bolały ją kości.

Ciekawe, ile ona ma lat? Quin przyjął napój z podziękowaniem, usiadł naprzeciwi-  
ko niej i próbował sobie przypomnieć wiadomości, jakie uzyskał przed wyruszeniem  
na misję. Tylko dwadzieścia trzy.

- Dobrze.

- To sok z granatów. - Przez chwilę siedziała bez ruchu, ściskając w palcach na-  
czynie, jakby zapomniała, co teraz powinna zrobić. Zaraz napiła się i głośno zawo-  
łała ojca na kolację.

- Trochę potrwa, zanim przyjdzie - wyjaśniła, ścisząc głos. - Będę musiała mu  
kilka razy przypomnieć. Do tego czasu niech pan korzysta ze świętego spokoju. -  
Na jej gładkim, opalonym policzku zarysował się ledwo widoczny dołeczek. Praw-  
dziwego uśmiechu Quin jeszcze u niej nie widział.

- Jak pani to znosi? - wyrwało się Quinowi. Wszelki ślad rozbawienia natychmiast  
zniknął z jej twarzy. Pomyślał, że im szybciej ją zabierze z tego miejsca i pozwoli jej  
wrócić do życia, jakie powinna prowadzić, tym lepiej.

- Upał? - spytała, choć mógłby przysiąc, że doskonale wiedziała, o co mu chodzi:  
tego człowieka, samotność, nieustanną pracę. - Przywykłam. Jesteśmy w Egipcie  
już od pięciu lat. Człowiek jest w stanie do wszystkiego przywyknąć, kiedy nie ma  
alternatywy.

Czyżby jednak odpowiadała na jego prawdziwe pytanie?

- Jak pani na imię?

Uniosła brwi w wyrazie dezaprobaty dla tak niestosownej bezpośredniości, ale  
nie uchyliła się od odpowiedzi.

- Augusta Kleopatra Agrypina - wyrecytowała spokojnie i z zaciekawieniem cze-  
kała, jak przyjmie wiadomość.

Quin nie sprawił jej zawodu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. - Co kierowało pani rodzicami?

- Byliśmy wówczas w Grecji, ale ojciec wciąż pozostawał w swej rzymskiej fazie.  
A wątpię, by mama miała coś do powiedzenia w tej sprawie. Można na to spojrzeć  
z innej strony: mam szczęście, że wówczas nie interesował się jeszcze Egiptem, bo  
pewnie by mnie nazwał Bastet albo Nut.

Quin słyszał o Bastet, egipskiej bogini z głową kota, ale...

- Nut?

- Bogini nieba, która połyka słońce co wieczór i rodzi je co rano. Ojczy!

Quin wolał się nie wgłębiać w istotę tego astronomicznego zagadnienia.

- Zatem którego z tych imponujących imion używa pani na co dzień? Jak ojciec się  
do pani zwraca?

- Córkko! Gdzie są moje ręczniki?

- Na ramie łóżka - odkrzyknęła. - Na ogół żadnego nie pamięta, jak sam pan sły-

szy - zwróciła się do Quina. - Egzystuje w swoim własnym świecie. Wątpię, by pamiętał mojego męża albo to, że mama nie żyje. Mąż nazywał mnie Kleopatram, chyba go to bawiło.

- Królowa Nilu - mruknął Quin.

- Właśnie. Bardzo stosowne, nie uważa pan?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Królowa Nilu? Owszem, bardzo stosowne, miał ochotę potwierdzić, udając, że nie słyszy w jej żarcie goryczy. Wyglądasz jak królowa z tym patrycjuszowskim nosem, wydatnymi kośćmi policzkowymi i dumnie uniesionym czołem. Królowa na wygnaniu, w przebraniu, w niewoli.

Od konieczności wyrażenia na głos swej opinii wybawiło go nadejście sir Philipa. Wyszedł z namiotu, jedną ręką dopinając świeżą koszulę, drugą przyglądając mokre włosy.

Bez słowa usiadł przy stole i sięgnął po półmisek z potrawą, która wyglądała na mięso pocięte w kostkę. Kleo postawiła przed ojcem talerz, a drugi podała Quinowi, zachęcając go, by także się częstował.

- Powinien pan coś zjeść. Domyślam się, że od pańskiego ostatniego posiłku minęło sporo czasu.

- Owszem. Z początku byłem głodny, ale potem to odczucie zniknęło. - Po tym jak zabrano mu wielbłądy, przeżył dwa dni jedynie o małej butelce wody. Wcześniej coś tam jadł, ale podróżował w zbyt wielkim pośpiechu, by zabawić dłużej w jednym miejscu i ugotować sobie jakąś pożywniejszą strawę.

- To z powodu wyczerpania upałem. Musi pan jeszcze jutro wypoczywać.

- Wypocznę w nocy. Jutro zapoznam się z państwa sąsiadami.

- Głupi pomysł. Mogę ich spytać, co należy z panem zrobić.

Zastrzeliliby mnie jako szpiega, gdyby wiedzieli, kim jestem, powiedział w myślach.

- Jeśli mam zniknąć, madame Valsac, wolałbym to sam zorganizować.

- Świetnie. Zatem ja nie pójdę, a sam nie zdoła pan odnaleźć ich obozu. - Energetycznie wbiła zęby w podpłomyk, jakby dawała sygnał do zakończenia dyskusji.

Piekielna kobieta, stwierdził. Próbuje mnie trzymać z daleka od wojska z powodu własnej, kompromitującej sytuacji, czy po prostu wykazuje nadmierną troskę o ranego człowieka?

- Nie. Chcę, żebyś poszła, córko - odezwał się sir Philip, bez mrugnięcia okiem zmieniając zdanie. - Musisz im zanieść moją korespondencję, żeby ją wysłali na północ. Skończyłem pisać list do profesora Heinemannna.

Korespondencję? - zainteresował się Quin.

- Francuzi są tak uprzejmi, że służą panu za listonoszy, sir Philipie? - spytał niewinnym tonem Quin, smarując chleb kozim serem.

- W istocie. - Starszy mężczyzna odłożył widelec. - Stanowią dobry przykład współpracy między uczonymi. Gdy tylko *Général* Menou dowiedział się, że mam kłopoty z odbieraniem listów, załatwił, że są przekazywane przez Aleksandrię.

Ciekawe, skąd generał się dowiedział? - przemknęło przez myśl Quinowi. Odłożył jednak to pytanie na inny moment. Miał wrażenie, że złapał koniec nitki i nie chciał, by wymknął mu się z rąk, zanim dojdzie do kłębka.



- Prowadzi pan międzynarodową korespondencję? - podsunął, starając się zawrzeć w głosie odpowiednią dawkę podziwu.

Nie musiał się martwić, że wzbudzi jakiegokolwiek podejrzenia, sir Philip był głęboko przekonany o własnej ważności.

- Oczywiście. Z Anglią, Francją, Grecją, Włochami, Niemcami, Indiami, Rosją... Hiszpanią i Portugalią... - ciągnął wyliczankę, narzekając przy tym na niedostatek wieści z krajów skandynawskich.

Anglia, kraje z obszaru Morza Śródziemnego, kontynentalna Europa. Wieści pisane setkami piór spływały do Aleksandrii, prosto w ręce Francuzów. Zdrajcy, agenci i zupełnie niewinni naukowcy pisali do tego człowieka, który albo zaślepiony swoimi obsesjami nie miał pojęcia, jak jest wykorzystywany, albo też chętnie uczestniczył w działaniach swoich francuskich mocodawców. Każdy strzępek wiadomości był na wagę złota dla wyszkolonych szpiegów, którzy zbierali je z różnych źródeł i składali w całość.

- Indie - powiedział na głos Quin. Indie stanowiły prawdziwy powód wyprawy Francuzów do Egiptu. Gdyby im się udało przejąć kontrolę nad Morzem Czerwonym i lądowym szlakiem do Morza Śródziemnego, Brytyjczycy straciliby ważne połączenie ze swym zamorskim terytorium. A już w tym momencie wojska z Indii zmierzały w stronę Morza Czerwonego, by stamtąd przemaszerować przez pustynię do Nilu, a potem przemieszczając się wzdłuż rzeki, dołączyć do Brytyjczyków i Turków u jej ujścia.

Czy listy od francuskich agentów w Indiach dotarły już do Menou w Kairze? Quin poczuł zimny dreszcz na plecach. Jeśli Francuzi wyruszyli, żeby przerwać długi, wyczerpujący marsz armii generała Bairda przez pustynię, mogło dojść do odwrócenia całego przebiegu wojny w Egipcie.

- Owszem, Indie. Myślę, że mógłbym się tam przenieść - stwierdził Woodward. - Kraj jawi mi się jako fascynujący.

Quin wyczuł napięcie w sztywno wyprostowanej postaci Kleo. Czyżby miała nastąpić kolejna przeprowadzka, podczas której zostałaaby potraktowana jak użyteczny sprzęt, bez prawa wyboru i wyrażania opinii? Znacznie lepiej miałyby się w Anglii niż ciągnana przez ojca po świecie niczym podręczny bagaż.

- Pójdę z panią jutro do tego wojskowego obozu, *madame* - oznajmił Quin, patrząc jej prosto w twarz. - Chcę się dowiedzieć, czy mają może wieści od jakichś innych inżynierów.

Prawdziwy powód wyprawy, rzecz jasna, musiał zataić.

- Jak pan sobie życzy. - Jeśli nawet Kleo Valsac miała jakieś obiekcje co do wyjawienia mu drogi obiegu korespondencji, starannie je ukryła. - Zabiorę ze sobą osła, więc w razie, gdyby pan opadł z sił, umieścimy pana na jego grzbiecie - dodała ze słodkim uśmiechem, na który Quin ani na moment nie dał się nabrać. Uważała go za zawalidrogę, a do tego bardzo nisko oceniała jego siłę, wytrzymałość, a pewnie też inteligencję.

Przekonamy się, kto ma rację, moja śliczna Kleo, pomyślał, spoglądając w jej cynicznie zmrużone szarozielone oczy. Ku jego zdumieniu nagle się zarumieniła.

Nawet nie próbuj udawać, że nie wiesz, co się z tobą dzieje, karciała się w duchu Kleo. Z całej siły zgmiotła w zębach daktyla. Żądza. Inteligentny mężczyzna o fanta-

stycznym ciele lądje nagi w twojej sypialni, zdany na twoją łaskę. A potem, kiedy już odzyskał zmysły, patrzy na ciebie tymi swoimi niebieskimi oczami, a ty nie wiesz, czy się nad tobą lituje, czy żartuje sobie z ciebie, czy cię pożąda.

Dwie pierwsze możliwości niespecjalnie jej odpowiadały, trzecią uważała za mało prawdopodobną, o ile Amerykanin nie miał upodobania do chudych, mocno ogorzałych od słońca wdów, z odciskami na palcach i niedostatkiem wdzięku.

Ale wdowa... No tak, wdowa mogła mieć ochotę sprawdzić, czy te oczy nabierają ciemniejszego odcienia błękitu pod wpływem namiętności. Quin, powtórzyła parę razy w myślach. Quintus.

W tym momencie patrzył na jej ojca, uprzejmie słuchał kolejnego wykładu o hieroglifach oraz o znaczeniu dokładnych pomiarów w przypadku zabytkowych budowli. Przyglądała się regularnym łukom brwi, prostej linii nosa, ładnie wykrojonym ustom. Mocne szczęki zaczynał mu pokrywać świeży zarost, o ton ciemniejszy od włosów na głowie. Kiedy milczał, sprawiał wrażenie surowego i nieprzystępnego, wystarczyło jednak, żeby się odezwał lub uśmiechnął, by jego rysy od razu wydały się łagodniejsze, a twarz bardziej pogodna. Ale nadal nieprzenikniona.

Z drugiej strony, przecież niezbyt dobrze się znam na mężczyznach, pomyślała samokrytycznie Kleo. Wystarczy wspomnieć Thierry'ego.

Kleo wstała z za stołu i zaczęła zbierać naczynia. Pan Bredon natychmiast włączył się do pomocy, nie zważając na jej protesty. Włożył opróżnione z resztek jedzenia talerze do niewielkiej balii z wodą ustawionej na dogasającym palenisku i zaczął się rozglądać, prawdopodobnie za ścierką.

- Proszę to zostawić - powiedziała Kleo, tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

- Jest pani zmęczona, przecież widzę. - Stał przed nią z ręką na temblaku, zupełnie nie pasował do miejsca, w którym się znalazł.

- Znam swoją pracę, a pan tylko by przeszkadzał - rzuciła szorstko. Czuła się przy nim dziwnie niezdarna, jakby jego obecność wytrącała ją z równowagi.

- W takim razie proszę mi obiecać, że zaraz potem położysz się pani do łóżka - rzekł cicho.

Zabrzmiało to jak zaproszenie. Och, ta moja głupia wyobraźnia, skarciła się w duchu. Nachyliła się nad balią i nagle poczuła lekki dotyk jego palców, kiedy chwycił ostrożnie jej warkocz i przełożył na plecy, by nie przeszkadzał w zmywaniu. Gdy cofnął rękę, poczuła na karku lekki dreszcz, jakby zrzuciła na chłodzie ciepłe okrycie.

- Pracuje pani zbyt ciężko, Kleo.

Obejrzała się, ale jego już nie było, zobaczyła tylko ojca, który siedział przy stole nad otwartą książką, rozłożoną pośród okruchów, i czytał, korzystając z resztek dziennego światła.

Quin Bredon wyszedł z namiotu zaraz po tym, jak Kleo skończyła się myć następnego ranka.

- Dzień dobry! - Wyglądał na wypoczętego, cienie spod jego oczu zniknęły, a ramię nie wspierało się już na temblaku.

Kleo odpowiedziała ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Nie spała zbyt dobrze, budziła się dosłownie co kilka minut, nasłuchiwała oddechu Quina, złorzeczyła sobie

w duchu, po czym próbowała znów zapaść w sen. Niepokoiło ją, że pojawił się akurat w chwili, gdy wytarta do sucha i ubrana skończyła czesać włosy. Pozostała jej tylko nadzieja, że nie widział jej podczas kąpieli.

- Przy ogniu grzeje się woda. Zostawiłam tam ręcznik i zapasową brzytwę ojca. - Wskazała gestem na odgrodzone pomieszczenie służące za umywalnię, po czym zajęła się przygotowaniem śniadania, na które składały się kawa, daktyle, miód i przypieczone resztki podpłomyków. Podczas wyprawy do wioski miała kupić chleb, daktyle, pomarańcze i być może kawę, jeśli oficerowie wciąż mieli jakieś zapasy. Przy odrobinie szczęścia mogło jej się też udać zdobyć wątlęgo kurczaka, żeby ugotować na nim zupę z fasolą i soczewicą. Dodatkowa gęba do wyżywienia oznaczała konieczność zadbania o zaopatrzenie.

Ojciec, ubrany w abaję przewiązaną paskiem, ze szlafmycą zsuniętą na czubek głowy, wyszedł z namiotu z nieodłączną książką w dłoni.

- Gdzie moja woda do golenia?

- Pan Bredon się myje i goli, ojcze. Nastawiłam więcej wody, żeby się zagrzała dla ciebie.

- Hm. - Usiadł i nie odrywając wzroku od lektury, sięgnął po daktyla. - Ten człowiek jest idiotą.

- Kto, ojcze? - Zadała pytanie odruchowo. Mógł odpowiedzieć „król Jerzy” albo „wielki chan chiński”, było jej wszystko jedno. Czuła, że jeśli zaniecha odpowiadania na każdą tego rodzaju uwagę, ojciec w ogóle przestanie się z nią komunikować. Uświadomiła sobie, że obecność Quina stanowi dla niej dużą atrakcję choćby dlatego, że wreszcie może z kimś porozmawiać.

- James Bruce. Pozwolił się wodzić za nos przewodnikom, wysłuchiwał zmyślnych historii, a na koniec zwiął nastraszony plotkami o rzekomych bandytach. To wszystko bzdury. - Postukał palcem w gęsto zapisaną stronicę.

- Ale on to pisał przeszło czterdzieści lat temu, ojcze - stwierdziła trzeźwo Kleo. - A bandyci rzeczywiście grasują, o czym pan Bredon miał okazję osobiście się przekonać.

- O czym miałem okazję się przekonać? - Quin pojawił się znienacka, z włosami nastroszonym od energicznego wycierania ręcznikiem, pozbawiony tygodniowego zarostu. Zdecydowana linia szczęki uwydatniała się w całej okazałości.

Kleo spojrzała mu w twarz. W tonie pytania wyczuła niepokój, którego nie rozumiała.

- Że naprawdę zdarzają się tu napaści bandytów - odpowiedziała i natychmiast dostrzegła u niego wyraz ulgi. - Jak pańskie ramię?

- Ściągnąłem opatrunek. Wygląda, że się goi.

Odstawiła słoik z miodem i wprowadziła Quina do namiotu.

- Pozwoli pan, że sama obejrzę. Trzeba je ponownie opatrzyć, w tym klimacie z ranami nie ma żartów, nie może pan ryzykować.

Zauważyła, że pościelił łóżko. Starannie, jak w wojsku, pomyślała, wspominając Thierry'ego i jego zamiłowanie do porządku. Quin tymczasem podwinął rękaw galabii aż do pachy.

- Blizna nie będzie wyglądać zbyt ładnie - stwierdziła Kleo. Jednak oględziny potwierdziły, że proces gojenia przebiega prawidłowo.

- Bawi to panią? - Dopiero kiedy zadał to pytanie, uświadomiła sobie, że widocznie musiała się uśmiechnąć.

- To, że będzie pan miał bliznę? Nie. Ale czyszczenie pańskiej rany nie należało do przyjemności, nie lubię też zadawać bólu, więc cieszy mnie poprawa. - Zawięzała węzeł na nowym bandażu i zaczęła opuszczać rękaw. - Żałuję, że nie udało mi się zrobić tego ładniej. Nie zauważyłam, żeby pan kolekcjonował blizny, jak niektórzy żołnierze. No i proszę, za dużo ci się wysnęło. Teraz on wie, że myślałaś o jego nagim ciele.

Żeby ukryć skrępowanie, zaczęła robić porządek w apteczce.

- Bez wątpienia słabo wypadam w porównaniu z pani mężem żołnierzem. - Wziął długi pas płótna i zręcznie zawinął sobie na głowie w turban.

- Domaga się pan komplementów, panie Bredon? - rzuciła Kleo przez ramię, schylając się pod uniesioną burtą. - Jak pan dobrze wie, niczego panu nie brakuje, a osobiście nie lubię oglądać okaleczonych ciał, które jeden głupiec zadaje drugiemu w walce.

Ułożyła listy ojca w stos wielkości cegły i obwiązała sznurkiem. Włożyła je do jednego z dwóch połączonych ze sobą koszy, dodała dwa duże bukłaki z wodą, najostrzejszy z kuchennych noży, sakiewkę z pieniędzmi oraz mały sierp do ścinania trawy. Kiedy się schyliła, żeby umieścić kosze na grzbiecie osła, Quin Bredon wysunął się przed nią, wykonał zadanie jedną ręką i poprawił rzemienie mocujące ładunek.

- Jest pan pewien, że nie chce jechać wierzchem? - zwróciła się do niego Kleo. - W każdą stronę jest około pięciu kilometrów, a te kosze możemy przywiązać w inny sposób.

Quin spojrzał z góry na swą sięgającą kostek galabiję.

- Ma pani damskie siodło? Czy może mam zadrzeć tę kieckę i straszyć widokiem owłosionych łydek?

- Mogłabym panu dać któreś ze spodni ojca - zaproponowała Kleo, gryząc się od środka w policzek, żeby powstrzymać śmiech. Quin Bredon miał w sobie coś niepokojącego, a ona nie zamierzała dać mu się omotać. Ciekawiło ją, jakie zdanie będzie miał o nim kapitan Laurent.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. To biedne zwierzę jest tak małe, że ciągnąłbym stopy po ziemi.

Kleo tylko wzruszyła ramionami. Cóż, miał prawo wyboru, ale powinien wiedzieć, że jeśli w drodze powrotnej będzie go musiała upchnąć w koszu, jego duma ucierpi jeszcze bardziej.

- Ruszamy w drogę - zawołała, kiedy mijali sir Philipa, bez reszty zajętego pisanie. Odburknął coś i pomachał, nawet na nich nie patrząc. - Przy dzbanach z wodą zostawiłam jedzenie nakryte płótnem. Proszę cię, nie dopuść do wygaśnięcia ognia. - Miała nadzieję, że choć tego dopilnuje.

- Nie musi pani zwalniać tempa ze względu na mnie - powiedział Quin.

- Nic podobnego, wcale nie zwalniam. - Chwyciła mocniej wodze i wydłużyła krok. - Pójdziemy ścieżką wzdłuż brzegu, tamtędy łatwiej niż po piasku, a poza tym jest trochę cienia.

- Pani ojciec ma szerokie grono korespondentów, musi być bardzo szanowanym naukowcem - zagadnął Quin po pięciu minutach marszu w zupełnym milczeniu.

- Ma szerokie zainteresowania, panie Bredon. I to go skłania do wymiany poglądów z uczonymi z innych krajów.

- Quin - poprawił ją. - Bawienie się w salonowe maniery w środku pustyni zakrawa na śmieszność. - Kleo otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale nie dopuścił jej do głosu. - Píše do ludzi stojących po obu stronach obecnego konfliktu, a także do krajów zachowujących neutralność. Zdumiewa mnie, że francuskie władze tak chętnie mu pomagają.

Kleo też to dziwiło, ale nie miała zamiaru się do tego przyznawać.

- Są gotowe pomagać wszystkim uczonym. A mojego ojca najwyraźniej uważają za swojego. Ostatecznie miał francuskiego zięcia.

- Historia jak z *Romea i Julii* - stwierdził Quin. Kleo posłała mu ostre spojrzenie, ale go nie zauważył wpatrzony w świątynię, do której się zbliżali. - A to jest obecny temat badań prowadzonych przez pani ojca?

- Spisuje inskrypcje i dokonuje pomiarów. - Sir Philip obsesyjnie wszystko mierzył, jakby uzyskane w ten sposób liczby miały stanowić klucz do odczytania tajemnic z przeszłości.

- I to pomaga? - Quin zatrzymał się, żeby obejrzeć dokładniej potężne złociste kolumny wystające z piasku.

- Najwyraźniej. Lubię patrzeć na te cudowne rysunki na ścianach. Może pan zobaczyć ich wierzchołki, jeśli wejdzie na górę. Żołnierze wyryli swoje nazwiska na fryzie. Szkoda, że to zrobili. - Pokręciła z dezaprobatą głową. - Niektórzy uczeni twierdzą, że te budowle stoją tu od tysięcy lat.

- Świątokradztwo - mruknął pod nosem Quin. Następnie dotykając ramienia Kleo, dodał: - Wydaje mi się, że bardziej się pani przejmuje losem tych obiektów niż pani ojciec przy całej jego wiedzy.

- Może raczej ludźmi, którzy je stworzyli. - Nie próbowała strząsnąć jego dłoni. Mężczyźni i kobiety stali i patrzyli na tę świątynię od niepamiętnych czasów, może nawet dotykając się przy tym jak ona i Quin, udzielając sobie wzajemnego wsparcia, może z lękiem, a może z podziwem. Wydawało jej się niemal cudem, że spotkała kogoś, kto to rozumiał.

Osiół poruszył się, szarpiąc wodzami. Magiczna chwila dobiegła końca, znów był tylko upał i wszechobecny kurz.

- Chodźmy, musimy dotrzeć do obozu, zanim słońce wejdzie zbyt wysoko. - Ruszyła, nie oglądając się za siebie, wsłuchana w cichy tupot oślich kopyt i chrzęst piasku pod sandałami towarzyszącego jej mężczyzny. Od dawna nikt nie dotrzymywał jej towarzystwa. Dziwne, że czuła się przez to jeszcze bardziej samotna.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Chce się pan zatrzymać i odpocząć? - Kleo spojrzała na Quina przez ramię. - Przed nami jest kawałek cienia, a do przejścia pozostały jeszcze dwa kilometry.

Ku jej zdumieniu pokiwał głową twierdząco.

- Owszem, chętnie. - Widząc jej zaskoczenie, spytał: - O co chodzi?

- O nic. Poza tym, że dorosły mężczyzna jest gotów przyznać się przed kobietą, że chciałby odpocząć.

- Uważa pani, że okazuję słabość?

- Nie. Uważam, że okazuje pan zdrowy rozsądek - odparła i poprowadziła osła na brzeg rzeki. - Pod tamtymi palmami leży przewrócona kolumna. To odpowiednie miejsce na postój.

Czekając, aż osioł się napoi, ukradkiem spoglądała na Quina. Poruszał się całkiem zwawo, choć zauważyła, że jest blady, a pod oczyma i wokół ust skóra zaczynała nabierać sinej barwy. Musiała przyznać, że jak na kogoś, kto niedawno doznał udaru słonecznego i odniósł ranę, która uległa zakażeniu, Bredon trzymał się całkiem nieźle.

- Mężczyznom zdarza się czasami kierować zdrowym rozsądkiem - powiedział spokojnie, kiedy usiadła obok niego. - Dziękuję. - Wziął od niej bukłak z wodą, uniósł i przechylił tak zręcznie, że mógł się napić bez dotykania szyjki ustami, nie roniąc przy tym ani kropli. - Jak długo człowiek się przyzwyczaja do wody, która ma kozi zapach?

- Nie sposób się przyzwyczaić. - Ona także się napiła i zakorkowała otwór. Na drugim brzegu młodzi chłopcy zaganiali bydło, stado czapli płynęło pod prąd, białe pióra lśniły w promieniach słońca. Pstrokaty zimorodek wylądował na pobliskiej gałęzi i głośnym skrzeczeniem ogłosił, że czuje się panem tego odcinka rzeki; następnie dał nura do brunatnej wody, by prawie natychmiast wynurzyć się z rybą w dziobie. Kilkaset metrów za pasem zieleni po drugiej stronie wody piętrzyły się złociste wydmy, przypominające górski łańcuch.

- Tak tu pięknie. Ponadczasowo. Można sobie wyobrazić, że zaraz córka faraona znajdzie w sitowiu Mojżesza albo przepłynie z prądem wielka barka, z proporcami i trębaczami - powiedział Quin. Oparty plecami o pień palmy mrużył oczy przed oślepiającym światłem.

- Zawsze było tu pięknie. I gorąco, sucho, biednie, niebezpiecznie - wymieniła. Życie w Egipcie oznaczało nieustanną walkę z przeciwnościami, które wymagały wytrzymałości, uporu i waleczności. Wszystko przychodziło tu z trudem, wyrwane naturze z górniczym znojem, mimo że nie chodziło o diamenty czy węgiel, tylko o starożytną cywilizację i polityczne korzyści. - Człowiek się odpręża i podziwia, a takie coś może go zabić. - Wskazała na niewielkiego węża umykającego do kryjóWKI.

- Mam nadzieję, że pani zaprzyjaźnieni wojskowi będą mieli więcej wiadomości

o ruchach mameluków – powiedział Quin. – Nie mam ochoty na spotkanie z Muradem Beyem. Sądzę, że jest bardziej niebezpieczny od tego gada.

Kleo się wzdrygnęła. Thierry opowiadał o mamelukach, o ich odwadze i dzikości; odruchowo zaciskał wówczas dłoń na rękojeści szabli, jakby chciał powstrzymać drżenie palców. On również nie chciał mieć z nimi do czynienia.

– Co pan ma zamiar zrobić?

– Mam nadzieję, że żołnierze zostaną odwołani do Kairu. Zakładam, że odbędą podróż rzeką. Maszerowanie w tym upale byłoby niedorzecznością. – Quin wstał i się przeciągnął, nieświadomie prezentując grę mięśni pod cienką tkaniną galabii.

– Nie mam pojęcia, jak miałabym namówić ojca na wyjazd. – Ona także się podniosła i zaczęła gorliwie poprawiać kosze na grzbiecie osła. – Jest bardzo uparty.

– Z pewnością mu przejdzie po jednym mocnym ciosie w głowę – powiedział Quin. Następnie chwycił zwierzę za uzdę i ruszył w dalszą drogę, zostawiając za sobą osłupiałą Kleo.

Naprawdę tak uważał? Bez wątpienia zdzieliłby ojca w czaszkę bardzo ostrożnie, nie czyniąc mu większej krzywdy, pomyślała z ironią. Nie, to jednak musiał być żart. Normalni inżynierowie nie tłukli po głowach uczonych i nie ładowali ich nieprzytomnych do łodzi na rzece. Otrząsnęła się z niepoprawnych myśli i szybkim krokiem podążyła za Quinem.

W niewielkim obozie panował bezosobowy ład, typowy dla koszar pozbawionych obecności kobiet. Kapitan Laurent siedział na składanym krześle przed swoim namiotem i mówił coś do stojących przed nim dwóch poruczników. Widząc zbliżających się przybyszów, wstał i zmierzył Quina surowym spojrzeniem spod krzaczastych czarnych brwi.

– *Madame*. – Pochylił górną część ciała w ukłonie, dwaj pozostali oficerowie natychmiast poszli w jego ślady. – *Qui est-ce?*

– Quintus Bredon, amerykański inżynier, kapitanie – przedstawił się Quin po francusku, zanim Kleo zdążyła otworzyć usta. – Zostałem uratowany przez *madame* Valsac i jej ojca. Banda Beduinów zabrała mi wielbłądy. – Podwinął rękaw, żeby pokazać opatrunek.

– Amerykanin? – Laurent nadal nie czynił żadnego gestu wyrażającego gościnność.

– Stany Zjednoczone są sprzymierzeńcem Francji, czyż nie? – rzucił lekko Quin. Dostrzegł jednak w oczach kapitana błysk niepokoju, graniczący z wrogością. Stali przed sobą jak dwa psy, spotykające się na granicy swoich terytoriów, jeszcze nieprzekonane o potrzebie walki, ale gotowe skoczyć sobie do gardeł.

– *Oui*. Ale co pan tu robi?

– Zaspokajam swoją ciekawość. Byłem na Bałkanach, gdzie usłyszałem o sawantach waszego wodza i postanowiłem ich zobaczyć na własne oczy. Pomiedzy ludźmi nauki panuje coś w rodzaju... braterstwa. Miałem nadzieję dotrzeć do katarakt, które stanowią intrygujące zagadnienie, jeśli chodzi o nawigację... ale doszły mnie słuchy, że obecnie taka podróż oznaczałaby samobójstwo.

– Ha! – Laurent dał znak jednemu z żołnierzy, żeby przyniósł dodatkowe krzesła, po czym zwrócił się do Quina i Kleo: – Proszę usiąść, napić się kawy. Murad Bey

zmierza na północ z armią liczącą piętnaście tysięcy ludzi, ostatnie doniesienia wywiadu to potwierdzają.

- A pan ma tu ilu... pięćdziesięciu? - Quin rozejrzał się po obozie. - Domyślam się, że pańskie rozkazy też nie przewidują samobójstwa.

- Zgadza się. Zwiniemy obóz i zapakujemy się na barki. - Machnął w stronę rzeki, gdzie przy brzegu cumowało kilka takich jednostek. - Właśnie miałem wysłać posłańca do pani ojca, *madame*, z wiadomością, żeby o świcie był gotów do ewakuacji. Mamy miejsce dla was dwojga... trojga. Każdy może zabrać jedną sztukę bagażu.

- Ale książki ojca, jego dokumenty...

- A jego życie? - przerwał jej kapitan, unosząc brew. - I pani życie?

- Wygląda, że jednak skorzystam z pańskiej gotowości do ogłuszenia mojego ojca, panie Bredon.

Ucieczka, nareszcie. Pokonamy setki kilometrów do wybrzeża, a tam... No właśnie, co? - zadała sobie pytanie. Nie miała własnych pieniędzy, a po opuszczeniu ojca zostałyby bez żadnej opieki w tym niebezpiecznym kraju. Jednak gdyby jej się udało dotrzeć do Francji lub do Anglii, chybaby potrafiła znaleźć jakąś pracę?

Quin siedział obok niej na krześle, w swobodnej pozie; jego spokój pomógł jej zapanować nad gonitwą bezproduktywnych myśli.

- Może nie będziemy musieli stosować tak drastycznych rozwiązań - stwierdził. - Zgodziłby się jechać, gdyby mógł wszystko ze sobą zabrać? Chyba nie jest aż tak zaślepiiony swoją pracą, by wierzyć, że będzie sobie siedział i robił notatki na temat starożytnych budowli, podczas gdy najgroźniejsza armia Egiptu najedzie wasze obozowisko?

- Nie, mam nadzieję, że nawet mój ojciec ustąpi w obliczu takich okoliczności. Problemem będą liczne kłótnie, zanim go przekonamy, że naprawdę jest niebezpiecznie.

- We wsi, którą mijaliśmy po drodze, widziałem przy brzegu feluki, było ich kilka. Moglibyśmy kupić lub wypożyczyć dwie... z pewnością by wystarczyły, żeby pomieścić nas troje i cały wasz dobytek.

- Ale ja nie umiem żeglować, a ojciec...

- Dam radę prowadzić małą łódź. Ożaglowanie jest inne, ale zasady działania takie same. Poza tym możemy przecież wynająć ludzi do obsługi.

Kapitan Laurent obserwował ich czujnie zmrużonymi oczyma.

- Jak pan za to zapłaci, *monsieur*? Bo ja nie mam funduszy, żeby kupować łodzie dla cywilów - odezwał się w końcu.

Kleo wiedziała aż za dobrze, że mówi prawdę. Napoleon zostawił swoich żołnierzy w niedostatku, obejmującym dosłownie wszystko, od pieniędzy po buty, ale obiecał przysłać statek pełen klaunów i artystów z Paryża, żeby im podnieść morale. Thierry powiedział kiedyś z gorzką ironią, że byłby gotów pożywić się jakimś komediantem, byle dobrze upieczonym.

- Mam pieniądze - oznajmił Quin. Podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę, żeby pomóc Kleo wstać. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że stojąc w chłopskiej galabii na środku pustyni potrafił zachowywać salonowe maniery. Przynajmniej tak sobie je wyobrażała, bo osobiście nigdy w życiu nie była w prawdziwym salonie. - *Capitaine*, stawimy się u pana jutro przed południem.



Laurent miał minę, jakby szukał w myślach argumentów, by się nie zgodzić, ale żadnych nie znalazł.

- Korespondencja pani ojca, *madame*? - zwrócił się do Kleo tonem przypomnienia.

- Nie ma potrzeby nią pana kłopotać. Jestem pewien, że i bez dodatkowych papierów ma pan mnóstwo do roboty - uprzedził ją w odpowiedzi Quin. - Sam się nią zajmie, kiedy już dotrzemy do Kairu. Zresztą, pewnie będzie chciał coś dopisać w czasie podróży po rzece.

Kleo otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je z powrotem zamknęła, nie wypowiadając ani słowa. Quin miał całkowitą rację... choć irytowało ją, że zdecydował za nią.

- Pójdziemy już, *madame*? Im szybciej dotrzemy do wioski i rozpoczniemy negocjacje, tym lepiej.

- Chwileczkę, panie Bredon. Chcę zamienić słowo z kapitanem. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Na osobności.

- Oczywiście. - Skłonił się oficerom i odszedł w stronę pasącego się spokojnie osła.

- Ten Amerykanin jest bezczelny, ale słyszałem, że oni wszyscy są tacy - powiedział jeden z poruczników, kiedy się oddalali, zostawiając Kleo sam na sam z kapitanem.

- Co pani o nim wie? - Laurent zadał pytanie, którego Kleo się spodziewała. Nie miała mu nic do powiedzenia, natomiast chciała się dowiedzieć, co on myśli o Quinie.

- Nic. - Wzruszyła ramionami. - Miał zakażoną ranę i gorączkę od udaru słonecznego. Podczas napadu ocalił tylko pieniądze, nic więcej. Nie mam powodu podejrzewać, że nie jest tym, za kogo się podaje.

- Ale to trochę dziwne... spotkać tu Amerykanina.

- Pojedynczej osobie łatwo przejść przez granicę, nie sądzi pan? Wielu ludzi poza Napoleonem wykazuje ciekawość Egiptem.

- Anglicy bez wątpienia - stwierdził kwaśno kapitan, oglądając się za Quinem, który czekał oparty o osła, nie okazując żadnego zainteresowania otoczeniem. Patrząc na jego opuszczoną głowę, Kleo zastanawiała się, czy jest bardzo zmęczony. - Nie tylko z powodu starożytnych zabytków.

- Sądzi pan, że może być szpiegiem? - Taka możliwość nie przyszła jej wcześniej do głowy, ale przecież wysyłanie szpiega w głąb pustyni, gdzie nie ma nic ciekawego dla Anglików, byłoby szaleństwem. - Nie służy w wojsku. Widziałam jego ciało, kiedy go opatrywałam, nie ma żadnych blizn, poza zadrapaniami z dzieciństwa. - Wzruszając ramionami, odpowiedziała na własne pytanie: - Czego szpieg miałby tu szukać? Co innego w Kairze czy Aleksandrii, tam byłoby to zrozumiałe. Nie, na pewno mówi prawdę.

Nigdy nie czuła się całkiem swobodnie przy kapitanie Laurencie, który przyjaźnił się z jej mężem. Czasami miała ochotę go spytać, dlaczego Thierry się z nią ożenił. Entuzjazm ojca, wydającego córkę za oficera wrogiego kraju, mogła zrozumieć bez trudu - zyskiwał ochronę dla niej i dla siebie. Ale dlaczego Thierry zalecał się do niej namiętnie i z oddaniem, a potem okazał się takim nieczułym mężem?

Czasami leżąc bezsennie przed świtem, samotna i nieszczęśliwa, zastanawiała

się, czy to ona była winna porażce, jaką zakończyło się ich małżeństwo. Z drugiej strony wiedział, z kim się żeni. Każdy by pomyślał, że poluje na posag, ale przecież ona nie miała żadnego majątku.

- *Madame?*

- Och, przepraszam. - Najwyraźniej kapitan coś do niej mówił, a ona go nie słyszała. - Muszę pójść sprawdzić, czy uda się zdobyć te łodzie. Jeśli nie, będziemy tu jutro z najniezbędniejszymi rzeczami.

- Oczywiście. Jest pani pewna, że nie chce mi powierzyć listów ojca?

- Jestem pewna, dziękuję. - Z pewnością w tym momencie miał wiele innych, ważniejszych spraw do dopatrzenia. - *Au'revoir, Capitaine Laurent.*

Słyszając, że Kleo żegna się z kapitanem, Quin wrzucił pakiet listów do jednego z koszy na grzbiecie osła. Gdyby nie miał więcej okazji ich oglądać, przynajmniej zapamiętał nazwiska ośmiu adresatów, w tym jednego Anglika, profesora Smitha z Portsmouth. Czy to, że profesor mieszkał w porcie o wielkim znaczeniu strategicznym, stanowiło jedynie przypadek?

- Akurat - mruknął do siebie Quin.

- Dobrze się pan czuje? - odezwała się Kleo tuż za jego plecami.

- Całkiem dobrze, a na myśl o rychłej wyprawie na północ nawet lepiej.

Skinęła ze zrozumieniem, po czym chwyciła wodze i ruszyła ścieżką prowadzącą do wsi, gdzie widzieli łodzie.

- Powrót do cywilizacji będzie wielką ulgą.

Gorzko się rozczarujesz, pomyślał Quin, oganiając się przed muchami gęsto ulistnioną gałązką. Zmierzamy na nękanie zarazą pole bitwy i powinnaś się modlić, by uznano twojego ojca za łatwowiernego idiotę. W przeciwnym razie głodny krokodyl może być najlepszym rozwiązaniem.

Koło zdezelowanego pomostu, gdzie cumowały feluki, kręcili się jacyś ludzie, ale Quin skierował się do największego z domów.

- Przypuszczam, że tu znajdę miejscowego szejka - rzucił tonem wyjaśnienia. - Zechce pani poczekać na zewnątrz z osłem, kiedy będę prowadził negocjacje?

Spodziewał się protestu, tymczasem Kleo zakryła dolną część twarzy rąbkiem chusty i spokojnie usiadła w cieniu muru.

- Znam swoje miejsce - powiedziała. W jej głosie nie było urazy ani pretensji, a mimo to Quinowi coś kazało na nią spojrzeć. - Tak? - Uniosła pytająco brew. - Zakładam, że wystarczająco zna pan arabski, czy może oczekuje pan pomocy?

- Nie, dzięki. - To raczej ty jej potrzebujesz, pomyślał stając przed drzwiami. - *Salaam alejkum* - zwrócił się do starszego mężczyzny, który je otworzył i gestem zaprosił gościa do środka.

Quin wiedział, że targowanie się wymaga cierpliwości i uporu - zdobył spore doświadczenie, kupując wielbłądy - ale rozmowy trwały ponad dwie godziny. Quin tłumaczył cierpliwie, że jeśli łodzi i ich załóg nie będzie we wsi, kiedy pojawi się Murad Bey ze swymi ludźmi, bezpiecznie przetrwają. Jeśli zgodzą się je wynająć, uchronią je przed rabunkiem i jednocześnie zarobią. Gdy wreszcie doszli do porozumienia, wypił gorzką kawę i wręczył połowę ustalonej sumy. Kleo wciąż siedziała

bez ruchu w tym samym miejscu. Kiedy oddalał się od brzegu żegnany machaniem i żartobliwymi uwagami swoich nowych znajomych, podniosła się, dołączyła do niego i ruszyli.

- Długo zajmie zwijanie obozu? - odezwał się w końcu Quin, kiedy wyszli ze wsi.

- Nie. Zwłaszcza z pańską pomocą. - Zastona na twarzy tłumiała jej głos.

- O co chodzi, Kleo? - Quin zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią pytająco. -

Nie chce pani stąd wyjeżdżać? - Jego misja okazała się bolesna, w dosłownym sensie, ale przynajmniej wierzył, że niesie ratunek. A teraz wyglądało na to, że ofiara wcale nie chce być ratowana.

- Oczywiście, że chcę wyjechać. - Jednym ruchem zerwała materiał, odsłaniając usta. - Tylko głupiec chciałby tu zostać.

- Zatem martwi się pani, że ojciec może okazywać upór i odmawiać wyjazdu? Jestem pewien, że potrafię...

- Jeśli odmówi, to go zostawimy. - Wyminęła go, ciągnąc za sobą posłusznie drepającego osła.

- Jest pani gotowa porzucić ojca? - zwrócił się do jej sztywno wyprostowanych pleców. Pomyślał, że madame Valsac będzie prawdziwym rekinem w wytwornej szatawce londyńskiego towarzystwa.

- On porzucił mamę. I mnie też. Była dla niego jedynie darmową służącą, podobnie jak ja teraz. Chcę, żeby był bezpieczny i miał opiekę, ale poza tym...

Quin musiał wykonać kilka długich kroków, żeby ją dogonić.

- Porzucił? Ale przecież jest pani tu razem z nim.

- Porzucił w sensie uczuciowym, nie dba o mnie. Rodzina jest dla niego kłopotem, kulą u nogi. Mama wierzyła, że ją kocha, i chętnie z nim uciekła. A jemu podobał się posag, liczył, że dziadek mu go wypłaci, kiedy małżeństwo będzie *fait accompli*. Tymczasem dziadek odciął mamę od pieniędzy. A nim się zorientowała, że wyszła za wyjątkowo samolubnego człowieka, ja byłam już w drodze na ten świat.

Przynajmniej dziadkowi na niej zależy, westchnął w duchu Quin. Wolał się jednak nie zastanawiać nad motywami, które kierowały seniorem rodu; oprócz miłości w grę mogła wchodzić duma lub poczucie obowiązku. Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko objął ją za ramiona i lekko uściśnął.

Kleo natychmiast strząsnęła z siebie jego rękę.

- Kiedy dorastałam, mama wiecznie go usprawiedliwiała. Papa jest bardzo zapracowany; jest bardzo ważnym człowiekiem tak jak jego praca. Nie wolno papie przeszkadzać. To wystarczało we Włoszech, w Grecji i w Anatolii, kiedy byłam dzieckiem. Potem przyjechaliśmy do Egiptu, mama umarła, a ja zrozumiałam...

- Co pani rozumiała?

- Że czas przestać być małą dziewczynką i stać się kobietą. Przestać czekać na to, czego on nie może dać.

- Na miłość? Dlatego wyszła pani za kapitana Valsaca?

- Oczywiście. - Popatrzyła na niego swoimi tajemniczymi szarozielonymi oczyma i zniechęca się uśmiechnęła. - Z jakiego innego powodu miałabym wychodzić za mąż, jak nie z miłości?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Z jakiego innego powodu, jeśli nie z miłości? - powtórzył Quin, zrównując się z nią krokiem. - Mógłbym podać wiele takich powodów. - Zyskanie opieki, pieniędzy, statusu. - Na moment uciekł wzrokiem. - Z powodu pożądania.

Kleo wzdrygnęła się, ale udała, że po prostu uchyla się przed natrętną muchą. Żeby uciec, dodała w duchu. I z powodu żądy, powiedzmy sobie szczerze. Pożądałaś Thierry'ego, który był rośli, przystojny... i pełen życia. Widział w tobie coś więcej niż tylko roboczego wołu. Tak ci się przynajmniej zdawało.

- Kochałam mojego męża, wychodząc za niego - przyznała szczerze. A kiedy owdowiałam trzy miesiące później, już go nienawidziłam, dopowiedziała w myślach. Była głupia, wychodząc za człowieka, którego prawie nie знаła. I chyba od tego czasu nie zmądrzała, bo nie udało jej się zrozumieć, dlaczego Thierry się z nią ożenił. Nie zamierzała się jednak do tego przyznawać przed tym mężczyzną, który także był rośli, przystojny i pełen życia. I do tego niepokojąco inteligentny.

- Dziwi mnie, że znalazła tu pani księdza, który dał wam ślub - powiedział Quin. - Czy może pobraliście się w koptyjskiej świątyni?

- Pobraliśmy się w Kairze. Byliśmy tam z ojcem, kiedy Francuzi zdobyli miasto w lipcu dziewięćdziesiątego ósmego roku.

- Dobry Boże - mruknął Quin.

- Nie było wesoło - przyznała Kleo, używając zwrotu, który w najmniejszym stopniu nie oddawał grozy tamtych wydarzeń. Natarczywie wracały wspomnienia niosące zapach dymu, krwi i chorób. Wystarczyło zamknąć oczy, by krzyki chorych i umierających zagłuszyły szum rzeki. - Na szczęście oblężenie nie trwało długo. Ojciec od razu dał się poznać nowym francuskim władzom, bo wie pan, słyszał wcześniej o sawantach.

- I pozwolili mu, Anglikowi, zachować wolność nawet po przegranej w bitwie u ujścia Nilu?

- Musieli uznać, że jest nieszkodliwy. Rozmawiał z gubernatorem i widocznie musiał go przekonać, że jest tym, za kogo się podaje. Wzięli go pod ochronę i nawet pomagali mu w przesyłaniu korespondencji.

- Dlaczego nadal tam nie mieszkacie?

- Mieszkaliśmy przez rok, a potem w lipcu następnego roku znaleziono kamień z Rosetty i sprowadzono do Kairu. Nikomu poza francuskimi uczonymi nie pozwolono jednak go oglądać. Ojciec się wściekł. Napoleon wyjechał do Francji, żeby dokonać zamachu stanu, a w Kairze zapanował chaos, generałowie się kłócili, brakowało pieniędzy i żywności, zaraza zbierała coraz większe żniwo. Ojciec zgłosił chęć wyjazdu na południe i dostał odpowiedź, że może jechać, ale tylko z oddziałami, które także zmierzały w tamtym kierunku.

- I tak się szczęśliwie złożyło, że jednym z oficerów był Valsac? Musiała się pani bardzo cieszyć?

- Nie znałam go wcześniej. Przedstawiono nas sobie na etapie planowania wyprawy. Thierry zaczął się do mnie zalecać. Ojciec i generał zgodnie stwierdzili, że niezręcznie mnie zabierać jako jedyną i do tego niezamężną kobietę. Więc się oświadczył.

- Co za szczęście, że małżeństwo z rozsądku okazało się takie romantyczne. Szkoda, że trwało tak krótko. Jak umarł? Jeśli w ogóle chce pani o tym rozmawiać.

W głosie Quina pobrzmiewało szczere współczucie. Pewnie własne, przykre doświadczenia kazały jej się doszukiwać śladów ironii w jego słowach.

- Zginął w potyczce, kiedy wpadliśmy na tylne straże Murada Beya podczas jego powrotu na południe. Od tamtej pory panuje spokój, dlatego nie mieszkamy w wojсковym obozie. Oni sobie znaleźli lepsze miejsce, a ojciec chciał zostać bliżej świątyni.

- I wróciła pani do namiotu ojca.

- Zawsze tam mieszkałam, kiedy Thierry wyjeżdżał. - Kto inny by się nim opiekował? pomyślała z goryczą. - Proszę spojrzeć, widać już wioskę. Muszę zorganizować na jutro jakąś pomoc do przeniesienia naszych rzeczy na łodzie.

Nie nastroczało to żadnych trudności, ponieważ znano ją i darzono zaufaniem, chociaż mieszkańcy wsi uważali jej ojca za dziwaka, a samej Kleo współczuli braku męża. Udało się załatwić z najstarszą żoną szejka, że da im ludzi, którzy przewiożą na osłach bagaże do Daraw w zamian za osła Kleo i wszystko, co nie zmieści się do łodzi.

Quin nie wchodził z nią do wsi, prawdopodobnie wyczuwając, że obecność nieznanego im mężczyzny byłaby dla Kleo krępująca. Okazywał dużą wrażliwość, jakiej wcale by się nie spodziewała u inżyniera. Doszła do wniosku, że już bardziej by pasował do roli dyplomaty.

Zatrzymali się na chwilę nad rzeką, żeby Kleo mogła naścinać trawy na paszę dla osła. Kiedy po chwili rozejrzała się za Quinem, dostrzegła go na szczycie piaskowego pagórka, koło świątyni; stał w cieniu jednej z wielkich kolumn. Wyjęła z kosza pakiet listów, nóż i bukłak, wrzuciła na dno naręcze ściętej zieleniny, po czym ułożyła wyjęte rzeczy na wierzchu. Poprawiając sznurek na listach, zauważyła, że węzeł wygląda inaczej niż rano, kiedy sama go zawiązała, a róg jednego z nich jest lekko zagięty. Wydało jej się to dziwne, ale uznała, że pewnie paczka została przygnieciona w koszu przez inne rzeczy.

Może to Quin odsunął sznurek, żeby przeczytać adresy na kopertach, pomyślała. Po co jednak miałyby to robić? Przypomniała sobie swoją rozmowę z kapitanem Laurentem. Czy Quin mógł być szpiegiem? Przecież w miejscu, do którego trafił, znajdował się jedynie angielski uczonec z córką i niewielki oddział francuskich żołnierzy, oddalonych wiele kilometrów od głównej kwatery ich armii. Ale wracamy do Kairu i on jedzie z nami...

Nie, to zbyt pokrętne domniemanie. Miałyby przejechać setki kilometrów na południe, narażając się na rozmaite niebezpieczeństwa tylko po to, by znaleźć garstkę ludzi i zabrać się z nimi do Kairu? Niedorzeczność.

Karcąc się w duchu za niemądre podejrzania, chwyciła uzdę osła i pociągnęła go za sobą w kierunku ścieżki. Wszystko przez to, że czuła się samotna i nie miała z kim porozmawiać. I tak powinna się cieszyć, że nie widzi podejrzanych typów za

każdym rogiem i nie prowadzi konwersacji z osłem.

Gdzieś daleko istniał świat pełen ludzi, którzy mieli normalne rodziny. Ci ludzie troszczyli się o siebie nawzajem, rozmawiali ze sobą, robili zakupy, chodzili do teatru, spotykali się z przyjaciółmi. Tamten świat wydawał jej się równie odległy i nieznanym, jak świat starożytnego Egiptu z jego tajemniczymi budowlami.

Osiół znalazł rachityczny krzaczek u stóp świątyni i wziął się do obskubywania bladych listków. Kleo wypuściła wodze z ręki i weszła na górę osypującego się piasku. Stojąc na szczycie, miała grube poziome belki zaledwie kilka metrów nad głową. Zjechała po piasku do środka budowli i stanęła koło Quina, który zadzierając głowę, patrzył na wewnętrzną stronę dachu.

- Proszę spojrzeć - rzekł z nieskrywanym zdumieniem. - Na sklepieniu są wymalowane gwiazdy.

- Jest też Nut. - Kleo wskazała na wydłużoną postać kobiety przecinającą niebo. - To wszystko jest niewyobrażalnie stare. Słyszałam, jak Napoleon przemawiał do swoich oddziałów w Kairze: „Żołnierze! Ze szczytu piramid patrzy na was czterdzieści wieków.” Ale moja wiedza jest bardzo skąpa. Ojciec tylko wszystko mierzy. A ja chciałabym pozbyć się tego piachu...

- I znaleźć skarb? Mówią, że są tu złote trumny i pozłacane posągi z lapis-lazuli.

- Po to pan tu przyjechał? - wyrzuciła z siebie bez zastanowienia. - Jest pan poszukiwaczem skarbów?

- Ależ nie, skądże. - Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. - Po prostu wydaje się oczywiste, że do takiego przedsięwzięcia potrzeba wielu robotników. - Dopiero kiedy wzrok jej przywykł do półmroku, dostrzegła, że Quin na nią patrzy. - Powiedziałem pani, kim jestem. Nie wierzy mi pani?

- Wierzę, oczywiście. Ale inżynier by wiedział, jak oczyścić takie miejsce...

- Wiem, jak je oczyścić, ale nie wiedziałbym, czego szukam i jakie szkody mogę niechcący wyrządzić - przerwał jej szorstko. - Tak trudno mi zaufać, Kleo? - Wyciągnął do niej rękę. - Lepiej już stąd wyjdźmy. Te cztery tysiące lat zaczynają mnie przygniatać.

Udała, że nie widzi jego gestu. Wspięli się po piaszczystej stromiźnie i stanęli w skrawku cienia na szczycie. Kleo obserwowała Quina kątem oka. Chciał jej dotykać, wcześniej, kiedy strząsnęła z siebie jego ramię, i teraz... Jednak w jego zachowaniu nie było lubieżności, nie próbował jej obmacywać, jak zdarzało się niektórym mężczyznom, zanim nie pogroziła im nożem.

- Nie wygląda pan dobrze - stwierdziła. - Jest pan blady.

- Po takim komplemente od razu poczułem się lepiej - mruknął Quin. - Prawdę mówiąc, jestem wykończony.

- Ostrzegałam pana.

- Proszę się nade mną nie pastwić.

Oparł się o kolumnę i zamknął oczy.

- Nie triumfuję, tylko stwierdzam fakt. - Kleo położyła mu dłonie na ramionach i zmusiła go, by usiadł. - Proszę odpocząć.

Quin chwycił ją za nadgarstek i pociągnął za sobą, zsuwając się plecami po gładkim kamieniu.

- Boi się pani mojego dotyku... Proszę usiąść koło mnie i zająć się mną... Oczywiście.

ście z zachowaniem zasad przyzwoitości.

Kleo prychnęła z oburzeniem, ale przycupnęła obok niego, pilnując, by dzieliła ich stosowna odległość. Rzadko jej się zdarzało w ciągu dnia tak po prostu sobie siedzieć i nic nie robić. Postanowiła nie przyznawać się do tego, jak wielką sprawia jej to przyjemność

- Zaczynam się obawiać, że w takiej kondycji nie bardzo mi się pan przyda podczas pakowania.

- Potrzebuję paru minut, żeby dojść do siebie. - Nie otwierając oczu, oparł głowę o ciepły kamień.

Nie mogła uwierzyć, że mężczyzna przyznaje się do słabości. Thierry nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił. Uznałby to za niegodne. A przecież korzystanie z odpoczynku nakazanego przez rozsądek nie czyniło z Quina słabeusza. Patrzyła na jego duże dłonie o długich palcach spoczywające na kolanach. Nie było w nich nic niemęskiego. W momencie, kiedy to pomyślała, uniósł prawe ramię i ją objął.

- Co pan robi? - wykrzyknęła, odwracając się do niego twarzą.

- Przytulam panią - odpowiedział Quin, przygarniając ją mocniej do swego boku. - Bez obaw, nie mam zamiaru posuwać się do niczego zdrożnego. Wierzę, że przytulanie jest potrzebne, ludzie powinni sobie okazywać tego rodzaju bliskość. To bardzo ważne, nie sądzi pani?

Kleo wzruszyła ramionami. Ojciec nigdy jej nie przytulał. Thierry brał ją w ramiona jedynie w małżeńskim łóżu. Zapewne była tulona przez matkę, ale tego nie pamiętała. Zresztą mama zawsze była zajęta albo zmęczona. Kleo odprężyła się nieco i musiała przyznać, że taki bliski kontakt z inną istotą ludzką, przyjazną i rozmowną, sprawia jej przyjemność. Quin zgodnie z deklaracją nie posuwał się dalej. Czowała bicie jego serca i zapach swojego mydła.

- A z kim ma pan zwyczaj się „przytulać”? - odważyła się spytać. - Z żoną?

- Nie jestem żonaty - odparł sennym głosem.

- A zatem z kochanką...

Nieznacznie się uśmiechnął.

- Kochanki nie są od przytulania.

- Więc kto?

- Dawniej moja matka oraz bratanice i bratankowie. Moja stara niania, kiedy akurat nie robiła mi o coś awantury. Moi bracia. Przyjaciele.

- Przytula się pan z mężczyznami?

Kącik ust Quina znowu nieznacznie się uniósł.

- No wie pani... mówię o tych sztywnych objęciach, kiedy klepiemy się po plecach, chrząkamy i zaczynamy rozmawiać o koniach... albo o kobietach.

Najwidoczniej ten rytuał należał do świata, którego nie znała.

- A pański ojciec?

- Ojciec nie - odpowiedział poważnie.

No tak, pomyślała, o ojcach, którzy pozbawiają swoje dzieci uśmiechu, akurat wiedziała całkiem sporo.

- Rozumiem, że ma pan czterech starszych braci. Jest też Sixtus?

- Nie, tylko ja dostałem numer zamiast imienia. - Ton Quina stał się jakby chłodniejszy. - Pozostali nazywają się Henry, James, Charles i George.

Najwidoczniej stosunki z ojcem nie układały się wzorowo. O czym mieli teraz rozmawiać? Może powinna zadbać, by po prostu odpoczywał? O dziwo, czuła się całkiem swobodnie, siedząc tak przy nim i milcząc. Zamknęła oczy. Ależ byłam głupia z tą swoją podejrzliwością. To całkiem miły, nieskomplikowany człowiek, stwierdziła w duchu.

- Proszę mi opowiedzieć o tych żołnierzach.

Gwałtownie otworzyła oczy.

- Co pan chce wiedzieć?

- Zastanawiam się, jakimi będą towarzyszami podróży. Są przyjaźni czy nastawieni niechętnie? Czy zdaniem pani są sprawni w swoim rzemiośle? Dobrze uzbrojeni?

- Nie mam pojęcia o ich umiejętnościach czy uzbrojeniu - powiedziała ostrożnie. - Nie znam się na takich rzeczach. Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ zamierzam spisać to wszystko w raporcie i wysłać Brytyjczykom pocztowym sędem. - Wywrócił oczami. - Na litość boską, Kleo! Ponieważ nasze bezpieczeństwo będzie zależało głównie od nich, ma się rozumieć. Nie jedziemy na wycieczkę dla przyjemności. Sam nie mam broni. A pani ojciec?

- Ma muszkiet i dwa pistolety. I chyba trzyma w kufrze także szablę. Ale nie używał ich od lat.

- Wyciągnijmy ten arsenał i sprawdzimy dziś wieczorem. Sir Philip dobrze strzela?

- Pewnie by trafił w piramidę, stojąc odpowiednio blisko niej, ale nigdy go nie widziałam z bronią w ręku. - Nawet kurczaki na zupełną mamę musiała zabijać własnoręcznie.

- W takim razie będziemy się trzymać blisko pani żołnierzy. - Odepchnął się od kolumny i wstał z lekkością, która zważywszy na jego stan zdrowia, musiała go kosztować sporo wysiłku.

- To nie są moi żołnierze - obruszyła się. Widząc, że odruchowo podtrzymuje lewe ramię, spytała: - Boli?

- Przeżyję. Wyszła pani za jednego z nich - przypomniał jej, najwyraźniej nie zamierzając porzucić tematu.

Kleo zeszła po zboczu.

- Z miłości - usłyszała głos Quina tuż za sobą; kiedy gwałtownie przystanąła, wpadł na nią od tyłu.

- Oczywiście, już to panu mówiłam. - Odwróciła się i ponownie ruszyła w stronę obozowiska tak szybko, że osioł musiał przejść w trucht. - Jest pan bardzo dociekliwym człowiekiem, panie Bredon.

- Ciekawym czy wścibskim? - Wydłużył krok, co musiało go męczyć, ale była zbyt wzburzona, żeby się tym przejmować.

- Jedno i drugie.

- Zastanawiałem się... Przyzna pani, że to dziwne, żeby Angielka wychodziła za wroga. Ale skoro decydowała miłość, to rozumiem.

- Francuzi nie są moimi wrogami. Nigdy nie byłam w Anglii, a moi angielscy dziadkowie mnie nie chcą, więc dlaczego ten kraj miałby mnie obchodzić? Jedyne, co mi się w nim podoba to to, że tam ciągle pada. - Spojrzała na nieskazitelnie czyste, rozpalone niebo. - I nie ma piasku. Ale Thierry mówił, że we Francji pada prawie



tyle samo co w Anglii. I że tam też nie ma pustyni. Nie mogłam się doczekać wyjazdu do Francji – dodała prawie szeptem.

Widać jednak nie dość cicho.

– W Ameryce też dużo pada – stwierdził Quin. – Pustynie są, ale łatwo je omijać, jeśli się chce.

Kleo, stojąc już przed namiotem, nagle się odwróciła.

– Czy to propozycja, panie Bredon?

Miała nadzieję, że go zaniepokoi, wprawi w zakłopotanie, ale on tylko się zaśmiał.

– Nie, a pani się ze mną droczy, *madame*. To była czysto geograficzna uwaga, jak pani sama doskonale wie.

– Córko! – Ojciec Kleo wyłonił się zza namiotu. – Jesteś wreszcie. – Podniósł pakiet listów z więdnącej trawy w koszyku. – Dlaczego ich nie wysłałaś? I nie przyszło nic do mnie?

– Żołnierze wyjeżdżają, ojczu. – Odprowadziła osła do zagrody i zdjęła z niego kose. Quin wziął je od niej i zaczął wykladać osłą paszę. Kleo podejrzewała, że chciał taktownie zostawić ją sam na sam z ojcem.

– Wyjeżdżają? To kto będzie dbał o moją korespondencję? – Ojciec poczerwieniał na twarzy, jak zawsze, gdy coś szło nie po jego myśli.

– Nikt. My też wyjeżdżamy, ponieważ nadchodzą mamelucy. Pan Bredon wynajął dwie feluki, a ludzie z wioski przyjdą nam pomóc przenieść bagaże jutro wczesnym rankiem. Musimy zaraz zacząć się pakować.

– Nonsens. Tu jest praca do wykonania. Nie będą nam przeszkadzać, bo niby czemu? Zostajemy. – Odwrócił się, żeby odejść.

– Ale, ojczu...

Quin wyszedł z zagrody.

– Wyjeżdżam jutro rano i zabieram ze sobą *madame* Valsac razem z jej dobytkiem. To, czy pan dołączy do nas z własnej woli, czy będzie się upierał przy pozostaniu, zależy wyłącznie od pana, sir Philipie.

Woodward zachnął się gniewnie.

– Ona nie wyjedzie, zrobi to, co jej każę, zostanie ze mną.

– *Madame* Valsac jest wdową, pełnoletnią, sir Philipie. Może robić, co chce. Sumienie nie pozwala mi was tu zostawić, niezależnie od pańskiego uporu, sir. Jeśli pan się będzie opierał, to obawiam się, że będę zmuszony pana ogłuszyć i przewieźć przez grzbiet tego nieszczęsnego osła.

– Jest pan gotów podnieść rękę na człowieka, który mógłby być pańskim ojcem? Po tym, jak pana przyjąłem, uratowałem panu życie...

Kleo zniknęła wewnątrz namiotu.

– To *madame* Valsac mnie przyjęła i uratowała mi życie, sir Philipie. Przypuszczam, że pan by mnie zauważył dopiero, gdybym zaczął się rozkładać i śmierdzieć, nie wcześniej... o ile by się pan o mnie nie potknął. – Quin mówił zupełnie spokojnie. – I nie zostawię człowieka, który mógłby być moim ojcem, na łasce bandy konnych maruderów, uzbrojonych po zęby i żądnych krwi. Więc jak będzie? Będzie pan współpracował czy wybiera rozwiązanie siłowe?

– A niechże pana...

– To jest klucz do kufra z bronią, panie Bredon. Właśnie ją zamknęłam. – Kleo sta-

nęła u boku Quina, podała mu klucz i patrząc ojcu w twarz, powiedziała: – Wiesz, że to dla twojego dobra.

Sir Philip nie kryjąc oburzenia, pośpiesznie się oddalił.

– Wezmę to za wyrażenie zgody – oznajmił Quin. – Jest pani prawdziwą żoną żołnierza, Kleo. – Podrzucił klucz i złapał go w locie. – A teraz chodźmy obejrzeć nasz arsenał.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kleo doskonale sobie radziła z pakowaniem. Quin zastanawiał się, czy nabrała tej niebywalej wprawy podczas zaledwie kilkumiesięcznego małżeństwa z żołnierzem, czy też była z natury dobrze zorganizowana. Doszedł do wniosku, że chyba jednak to drugie. Sam pomagał zrządzającemu sir Philipowi upychać jego papiery w skrzyniach; książki i notatki stanowiły większą część dobytku Woodwarda.

- Dziś wieczorem nic więcej nie możemy zrobić - oznajmiła, kiedy go wreszcie znalazła karmiącego osła w zagrodzie, dokąd uciekł przed utyskiwaniami sir Philipa. - Zostały naczynia do gotowania, pościel i oczywiście namiot, ale to już pójdzie bardzo łatwo.

- Doprawdy? - Quin nalał zwierzęciu wody do wiadra i spojrzał z niedowierzaniem na konstrukcję ze słupków i płacht materiału.

- Owszem, jeśli ktoś to robił tak często, jak ja - odparła Kleo. - Proszę, tu jest kilka zapasowych ubrań mojego ojca. - Wręczyła mu zwinięty tobołek, nakryty słomkowym kapeluszem o szerokim rondzie. - Łatwiej się pan dogada z żołnierzami, jeśli pan będzie wyglądał bardziej po europejsku. - W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie wzruszyła ramionami. - Nie zadają sobie trudu, żeby poznać miejscowych ludzi. Uważają mieszkańców okolicznych wiosek albo za chłopów, albo za bandytów... albo za jedno i drugie.

Quin strzepnięciem rozwinął parę luźnych bawełnianych spodni, koszulę i długi serdak bez rękawów. Żaden z elementów tego stroju nie nadawałby się do Almacka, ale doskonale się sprawdzały w egipskim upale.

- Dzięki, muszę przyznać, że chodzenie w tej sukni już mnie zaczynało męczyć.

- Spodnie będą za duże, ale może pan użyć kawałka sznurka jako paska. Zaraz znajdę coś odpowiedniego - dodała, wracając do namiotu.

- Kleo. - Przystanęła, ale się nie odwróciła. - Proszę to zostawić, dam sobie radę. Wygląda pani na wyczerpaną. Chyba nie ma pani dzisiaj już nic do roboty?

- Tylko przygotować kolację, nagrzać wody do zmywania i wyprać parę rzeczy.

- Kleo. - Tym razem odwróciła głowę, pionowa zmarszczka między brwiami przecinała jej czoło. - Proszę tu podejść.

Zawróciła w jego stronę, ze zmęczenia poruszała się ciężko, bez zwykłego wdzięku. Quin rozpostarł ramiona, przygarnął ją do siebie i po chwili poczuł, że Kleo obejmuje go w pasie, a potem przywiera policzkiem do jego piersi. Rozluźniła się i westchnęła.

Quin trzymał ją w ramionach i chłonał jej zapach. Czuł, że zaczyna mu na niej za bardzo zależeć. Miał do wykonania określoną misję i właściwie nie wiedział, czy Kleo jest tak naprawdę niewinną ofiarą.

Kleo poruszyła się w jego ramionach, co utrudniło mu jasne, krytyczne myślenie. Nie deklarowała lojalności wobec Anglii, wyszła za Francuza z miłości, a do tego nosiła do francuskiej jednostki wojskowej podejrzane zapiski swego ojca. Czy

w ogóle wiedziała, co się dzieje? Nie brakowało jej inteligencji, ale żyła nienaturalnie odizolowana od rzeczywistego świata. Była niewinną, posłuszną córką czy gorliwie służyła Francuzom?

Bliskość kobiety musiała wywołać naturalny odzew w jego ciele, a że miał na sobie luźną galabiję z cienkiej bawełny, raczej nie mógł go ukryć. Uświadomił sobie jednak, że również jej ciało nie pozostało obojętne, czuł na piersi napór stwardniałych sutków, słyszał przyspieszony oddech.

Miał ochotę się z nią kochać, ale to, rzecz jasna, w ogóle nie wchodziło w rachubę. Nie zamierzał uwodzić kobiety z pobudek patriotycznych. Otworzył ramiona, żeby ją wypuścić, na wpół z wdzięcznością, na wpół z żalem. Dopiero po chwili się zorientował, że odsunęła się od niego po to, by mógł ją pocałować. Kto tu kogo uwodzi? – pomyślał. A może chce pocieszenia, potrzebuje, żeby ją uspokoić? Wiedział, że jeśli ulegnie, sam raczej nie zazna spokoju tej nocy... Nachylił się do jej ust.

Prawie natychmiast rozchyliła wargi. Choć trudno mu było nad sobą zapanować, starał się zawrzeć w pocałunku więcej ciepła niż namiętności, trzymał dłonie na jej plecach i czuł, jak leciutko drży.

Kiedy się od niej oderwał, oczy miała pociemniałe i szkliste od łez.

– Kleo...

– Puść moją córkę! – Spoglądając ponad ramieniem Kleo, Quin zobaczył jej ojca wychodzącego z namiotu. – Jak śmiesz, ty libertynie! – krzyknął sir Philip, zaciskając dłonie w pięści.

Quin poczuł, jak opuszcza go starannie wypracowana dyplomatyczna ogłada. Nagle przestało go obchodzić, czy kobieta, którą trzyma w ramionach, pisuje choćby i do samego Napoleona i przekazuje mu dokładne plany lorda Nelsona, ponieważ jeśli to robiła, winę za to ponosił ten czerwony na twarzy, samolubny, kipiący złością człowiek.

Delikatnie odsunął Kleo na bok i zrobił dwa kroki w stronę sir Philipa.

– Mam pana serdecznie dość, sir – oznajmił. Kiedy starszy mężczyzna zamachnął się do ciosu, Quin zrobił unik, a następnie walnął go w podbródek i patrzył, nie bez satysfakcji, jak wznosząc oczy ku niebu, pada na piasek.

Oto czego mu brakowało w dotychczasowej karierze dyplomatycznej: okazji do użycia siły. Złość natychmiast z niego wyparowała, kiedy patrzył na nieprzytomnego człowieka rozciągniętego na ziemi u swych stóp.

– Do licha... – mruknął nagle zakłopotany. Zachował się niezbyt honorowo, a do tego zupełnie niepraktycznie. – Kleo...

– Nawet nie próbuj mnie przeproszać! – natarła na niego.

Quin zakotłosał się na piętach. Przypomniawszy sobie łzy widziane wcześniej w jej oczach.

– Ale powinienem przeprosić.

– Nie. Ani za to, że go uderzyłeś, ani za pocałunek. – Stała nad ojcem. – Ale nie możemy go tak zostawić, a jest od ciebie znacznie cięższy.

– Chyba możemy, od tej strony jest cień. – Quin uklęknął i obejrzał nieprzytomnego z bliska. Sir Philip oddychał normalnie, nie krwawił, miał jedynie siniaka na brodzie i małego guza z tyłu głowy. – Przynieś, proszę, matę, to przetoczę go na bok, żeby się nie zakrztusił... i podłożę mu coś pod głowę. Wkrótce powinien się ocknąć.

Kleo zaczęła przygotowywać kolację, nie oczekując, że Quin jej pomoże. Poczucie rycerskości nakazywało wyręczyć damę, jednak postanowił wykorzystać okazję i wszedł do części namiotu zajmowanej przez sir Philipa. Skrzynie były już spakowane, ale wciąż otwarte. Quin przyklęknął przed pierwszą z nich i zaczął ją przeszukiwać, jednocześnie nasłuchując szmeru kroków na piasku.

Przejrząwszy rzeczy w jednym pomieszczeniu, przeszedł do drugiego, służącego za sypialnię. Wsuwał rękę kolejno pod materac, kołdrę i poduszkę, między schludnie ułożone koszule i bieliznę, przekartkował książki leżące na podłodze przy łóżku.

- Quin! Ojciec się rusza, możesz tu przyjść i pomóc mu usiąść na krzesło? - zawołała Kleo. Quin wyszedł z namiotu od drugiej strony, wycierając w ręcznik świeżo umyte ręce.

- Tak, oczywiście. No już, wstajemy, sir. - Chwycił Woodwarda pod pachami, uniósł do pozycji stojącej, a następnie bezceremonialnie opuścił na krzesło przy nakrytym do kolacji stole. Spodziewał się wybuchu złości, tymczasem starszy mężczyzna tylko spiorunował go spojrzeniem. Najwidoczniej potrafił być tyranem jedynie wówczas, gdy nic mu za to nie groziło.

Kleo rozstawiła na stole talerze, doniosła koszyk z podpłomykami i usiadła. Wszyscy troje udawali, że nic szczególnego się nie stało, ale jakoś żadne nie miało ochoty nawiązywać rozmowy.

Milczenie pozwoliło Quinowi zastanowić się w spokoju nad tym, co znalazł. A raczej czego nie znalazł. Podejrzewał, że w grę wchodził jakiś wyjątkowo skomplikowany system kodowania, polegający na przykład na wymienianiu liter w którejs z książek, mógłby niczego nie znaleźć nawet po trwających tydzień poszukiwaniach. Z drugiej strony umiał rozpoznać wszelkie ingerencje w wymianę korespondencji, a niektóre pieczęcie na listach sir Philipa zostały podważone cienkim, rozgrzanym ostrzem i powtórnie dociśnięte, zanim właściwy adresat je złamał przy otwieraniu koperty. Mogło to dotyczyć wszystkich listów, ale nie mógł być pewien, bo niektóre pieczęcie zostały całkowicie zniszczone.

- Jeszcze daktyli, ojczy? - Kleo przesunęła talerz po blacie, a Quin patrzył, jak sir Philip nabiera garść drobnych owoców i zaczyna je obierać. Jeśli listy otwierano, zanim trafiały do jego rąk, to prawdopodobnie w ogóle o niczym nie wiedział... chyba że otaczano go jakąś specjalną ochroną. Czy mógł być aż tak naiwny i nie widzieć, co się dzieje pod jego nosem? Jakkolwiek było, Kleo nie ponosiła żadnej winy, co zapewne bardzo ucieszy księcia St. Osyth. A i Quin poczuł się z tą świadomością znacznie lepiej.

- Co zrobisz, jak już dotrzemy do Kairu, Quin? - spytała Kleo.

- To będzie zależało od sytuacji. Ale chyba wkrótce wyruszę w drogę do domu.

- Do swojej żony, sir? - odezwał się sir Philip, tak niespodziewanie, że Kleo aż upuściła nóż.

- Nie jestem żonaty, sir Philipie.

- A powinien pan być w pańskim wieku. Ile pan ma lat? Dwadzieścia siedem?

Po raz pierwszy Woodward prowadził rozmowę, która nie dotyczyła wyłącznie jego osoby i zainteresowań. Przybrał nieco podejrzliwy ton, jak ojciec przepytujący kawalera zalecającego się do córki. Quin opanował ironiczny uśmiech, który cisnął mu się na usta, i odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Dwadzieścia osiem, sir Philipie. I planuję założyć rodzinę, kiedy już na dobre osiadę w rodzinnych stronach.

Ożenek stanowił ważny element kariery dyplomatycznej, a zwierzchnicy przypominali mu o tym przy każdej okazji. Wprawdzie nie stanowiło tajemnicy, że lord Quintus Deverall nie jest biologicznym synem swojego ojca, ale jak go zapewnił sam markiz, mógł uchodzić za odpowiednią partię dla panien z kręgów tej mniej wymagającej arystokracji. Wiedział, że w miarę rozwoju kariery jego atrakcyjność na matrymonialnym rynku jeszcze wzrośnie, a nie widział powodu, by ukrywać przed ewentualnym przyszłym teściem, jak daleko sięgają jego ambicje.

Quin był nawet gotów się przyznać, że pragnie zerwać wszelkie więzy łączące go z człowiekiem uchodzącym oficjalnie za jego ojca. Status łaskawie tolerowanego kukułczego pisklęcia w gnieździe markiza bynajmniej mu nie odpowiadał, bo ranił dumę i honor. Z wiekiem coraz trudniej mu było się godzić z powszechnym udawaniem, że skoro mąż matki nie wyrzekł się go przy narodzinach, to musi być jego synem. W przyszłości świat miał przyjąć, że Quintus Deverall jest tym, kim jest, żyje na własnych warunkach i nic innego się nie liczy.

Do realizacji szeroko zakrojonych planów jak na razie brakowało mu inteligentnej, dobrze wykształconej kobiety z talentem do prowadzenia rozmowy na różne tematy; powinna przy tym znać kilka języków i radzić sobie z organizowaniem przyjęć na najwyższym poziomie. Jednym słowem, potrzebował damy, która w przyszłości podoła roli żony ambasadora. Żeby to wszystko osiągnąć, musiał jedynie cały i zdrowy wrócić do Londynu, unikając po drodze kolejnych postrzałów i zarazy; nie mógł też dopuścić, by jakaś wdowa po francuskim żołnierzu w złości wydrapała mu oczy. Nowy sezon oznaczał dla niego wiele interesujących możliwości.

Na czele listy znajdowała się lady Caroline Brooke. Blondynka, jak na niezamężną kobietę niesłychanie wręcz obyta w towarzystwie i do tego córka prominentnego członka rządu. Quin miał okazję widzieć jak umiejętnie - zarazem pewnie i taktownie - poradziła sobie w trakcie przyjęcia z trudną sytuacją: spotkaniem pewnego rosyjskiego księcia z włoskim hrabią, sypiającym z jego żoną...

- Quin?

Zamrugał gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że gapi się nieobecny spojrzeniem na pociemniałą od słońca twarz Kleo, wyobrażając sobie, że ma przed sobą nieskazitelnie mleczne lico lady Caroline, okolone modnie ufryzowanymi loczkami. Gdyby Kleo oddała pielęgnację swoich włosów w ręce wprawnej pokojówki, nie mówiąc już o fryzjerze, rezultat mógłby zadziwić...

- Przepraszam, myślałem o... o jutrzejszym dniu. O której musimy wstać?

- O świcie - odparła spokojnie Kleo. - Ma się rozumieć.

Bez wątpienia musiała odgadnąć, że rozmyślał o innej kobiecie. Cóż, kobiety posiadały w tej kwestii niesłychane wyczucie.

- Posprzątam ze stołu - zaoferował, podrywając się z miejsca. Pomyślał z ironią, że wróci do Anglii jako wykwalifikowana pomoc kuchenna.

Kleo bez trudu obudziła się przed wschodem słońca, zwłaszcza że całą noc miotała się na pościeli, od czasu do czasu tylko zapadając w krótki, kilkuminutowy sen. Poczucie spokojnej rezygnacji, które wypracowywała w sobie przez lata, nagle zu-

pełnie ją opuściło. Podniecona perspektywą powrotu do Kairu martwiła się, że nie wystarczy jej stanowczości, by stamtąd uciec i przedostać się do Anglii lub Francji. Do tego jeszcze dochodził lęk przed niebezpieczeństwami czyhającymi na podróżujących rzeką, nie mówiąc już o obawach związanych z faktem, że miała być jedyną kobietą wśród grupy mężczyzn stłoczonych w niewielkiej łodzi.

A gdzieś w głębi, pod warstwą tych czysto praktycznych trosk, krył się dodatkowy niepokój, wywołany niedawnym pocałunkiem. Czuła, jak ciało Quina tężeje, a jej własne ożywa, poruszone szybszym krążeniem krwi.

Odwróciła się na drugi bok, żeby wypatrywać smug szarości zwiastujących rychłe nastanie świtu. Niemal poprosiła o ten pocałunek, a Quin odpowiedział na jej niewypowiedzianą prośbę bez wahania. Nie próbował jednak wykorzystywać sytuacji dla własnej przyjemności... Co by się stało, gdyby teraz wstała i poszła do niego? Gdyby uklękła przy łóżku Quina i dotknęła jego twarzy, a potem nachyliła się i ucałowała jego skroń, kąciki oczu, usta...

Nic, powiedziała sobie, siadając na łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Quin przecież by się z nią nie kochał w namiocie, gdzie za płócienną zasłoną spał jej ojciec. Zresztą ona też nie zamierzała folgować tym niedorzecznym fantazjom.

Nagle zasłona zafalowała, szelest kroków nie pozostawiał wątpliwości, że Quin już wstał. Kleo przechyliła głowę na bok i nasłuchiwała, próbując po odgłosach zorientować się, co robi. Usłyszała plusk wody, a potem, po dłuższej ciszy, dźwięk podobny do szurania przy palenisku i pomruk, towarzyszący słowom skierowanym do osła.

Podniosła się z pośłania, włożyła szlafrok i sandały i wyszła na zewnątrz. Szare powietrze miało jeszcze w sobie nocny chłód, nad rzeką wisiały białe kłęby mgły. Zadrżała i owinęła się szczelniej połami szlafroka.

- Podejdz tutaj - odezwał się Quin od strony rozpalonego ogniska. - Zagrzałem dla ciebie trochę wody.

- A ty nie chcesz się umyć? - Odruchowo unikała jego wzroku, jakby w obawie, że odczyta jej niedawne myśli.

- Już się umyłem. Zimną wodą. - Wręczył jej parujący dzbanek i znów przykucnął, skupiony na tłącym się drewnie. - Nie mogłem spać - rzucił przez ramię.

Nie odpowiedziała. Poszła się umyć, żałując, że i ona nie robi tego zimną wodą. Następnie ubrała się i dokończyła pakowanie. Zwinęła pościel w zwarty tobołek, uprzednio dokładnie trzepiąc każdą jej część. W czasie podróży Nilem mogły ich czekać różne rzeczy, ale cieszyła ją myśl, że przynajmniej nie będzie się musiała zmagać z wszechobecnym piaskiem.

- Co mam zrobić z ramą łóżka? - zawołał z oddali Quin.

- Ustaw ją obok zagrody osła. Zostawię tam dla ludzi z wioski wszystko, czego nie zabieramy.

Od drugiej strony namiotu dobiegło gniewne chrząknięcie obudzonego sir Philipa.

- Przy ogniu jest gorąca woda, ojciec - zawołała do niego Kleo i poszła szykować śniadanie.

Nim pojawili się ludzie z wioski z osłami do transportu bagaży, wielki namiot został całkowicie opróżniony, a dobytek rozdzielony na dwa stosy - jeden do zabrania

w podróż, drugi dla wieśniaków. Quin pozostawił Kleo negocjacje dotyczące załadunku, a sam zajął się wyrywaniem z ziemi słupków. Kiedy skończył, podbiegła do niego i zaczęła dyrygować pomocnikami, pilnując przy tym, by konstrukcja została złożona w odpowiedni sposób i powiązana sznurkami.

- Bardzo sprawnie ci poszło - pochwalił, wrzucając do podstawionej torby ostatnie linki mocujące.

- Radzę sobie.

Odpowiedział uśmiechem, ale Kleo odwrócona do niego plecami maszerowała już do oczekujących w gotowości tragarzy, by pokierować załadunkiem. Tego ranka zachowywała się wobec niego bardziej szorstko niż zwykle. Domyślał się dlaczego: chodziło o pocałunek. Nie potrafił go żałować, choć przysporzył mu bezsenności. Nie uwiedziesz szacownej wdowy, powtarzał sobie w duchu stanowczo. Ona nie zasługuje na takie potraktowanie i z pewnością nie skończy jako twoja kochanka. Patrzył, jak Kleo dogląda ładowania skrzyń sir Philipa na grzbiety osłów; nie przejmowała się nimi bardziej niż swoimi kuchennymi naczyniami. Kufrowi z bronią poświęciła znacznie więcej uwagi i starań, co upewniło Quina, że Kleo nie ma pojęcia, że korespondencja jej ojca może być ważna czy kompromitująca.

Mogę dopilnować, byś nie ucierpiała, Kleo Valsac. I oddając cię pod opiekę dziadka, księcia St. Osyth, z czystym sumieniem zapewnię go, że byłaś jedynie niewinną ofiarą. Możesz być damą, mieć pozycję, na jaką zasługujesz z racji urodzenia, i zostawić za sobą niedolę na obczyźnie. Muszę cię jedynie bezpiecznie dowieźć do Anglii, a znając twój upór i determinację, mogę być pewien, że bynajmniej mi tego nie ułatwisz.

Quin pomasaował mięśnie chorego ramienia; poczuł trochę bolesne napięcie skóry w miejscu, gdzie goiła się rana. Pomyślał z westchnieniem, że czeka go długa, trudna podróż.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jakże wspaniale władasz arabskim, panie amerykański inżynierze. Ciekawam, po co ci znajomość akurat tego języka. Kleo siedziała na stosie koców i patrzyła, jak załoga łodzi kierowana przez Quina buduje na obu pokładach coś w rodzaju wydzielonych pomieszczeń, wykorzystując do tego płachty ze zwiniętego namiotu.

Wiedziała, że załoga będzie spędzać każdą noc na brzegu, ale te prowizoryczne kabiny miały jej zapewnić minimum komfortu, za co była głęboko wdzięczna.

Każda z feluk mogła pomieścić co najmniej dwanaście osób, było więc wystarczająco dużo miejsca na ich dobytek, a także na rzeczy czterech ludzi ze wsi, którzy mieli prowadzić łódź. Wielkie trójkątne żagle chwytaly każdy, nawet najłżejszy powiew wiatru. Dość wysoki stan wody w głównym korycie dawał nadzieję na podróż bez przykrych niespodzianek; musieli tylko dotrzeć do wojskowych barek, kierując się w górę rzeki, by następnie zawrócić i podążać z prądem.

- Świetnie, wezmę tę kabinę. - Słyszając głos ojca, Kleo podniosła wzrok i zobaczyła, że sir Philip układa swoje rzeczy na przedniej feluce, zajmując prawie całą wygradzoną burtami przestrzeń.

- Musi pan zostawić miejsce dla swojej córki, sir Philipie. - Quin przeszedł z powrotem na angielski.

- Może spać na tej drugiej łodzi. - Rozstawił już swoje składane krzesło i zabrał się do porządkowania książek.

- Ja popłynę drugą łodzią, bo na pierwszej się z panem nie zmieszczę. Jako jedyna kobieta w tym towarzystwie *madame* Valsac powinna spędzać noc przy panu.

- Pan może spać na lądzie, skoro tak się przejmuje obyczajnością. Tak czy inaczej, kto miałby się dowiedzieć?

Quin przeskoczył przez burtę i brodząc w wodzie, szedł do brzegu.

- Nie chciałbym cię zostawiać samej na feluce, zwłaszcza kiedy znajdziemy się na północy. Miałabyś coś przeciwko temu, żebym spał na pokładzie?

Na tyle blisko, pomyślała mimowolnie, żebym mogła cię dotknąć. Na tyle blisko, żebyś mógł przyjść do mojego łóżka i...

- Byłabym wdzięczna - odpowiedziała Kleo, kiedy już otrząsnęła się z niepokojących wizji. Widok Quina krzątającego się swobodnie przy łodzi, jego długich nóg oblepionych mokrym płótnem i ogorzałego torsu w rozchylonej koszuli budził w niej odczucia, do których wolała się nie przyznawać nawet przed samą sobą. Jakby nie wystarczało wspomnienie nieszczęsnego pocałunku, wyobraźnia natrętnie podsuwała jej obraz nagiego ciała Quina i to ze wszelkimi szczegółami.

- Jesteśmy gotowi, *efendi* - zameldował najstarszy z czwórki marynarzy.

W odpowiedzi Quin pomachał do niego uniesioną ręką.

- A ty jesteś gotowa? - zwrócił się do Kleo. Gdy potwierdziła skinieniem, bez uprzedzenia wziął ją na ręce, przeniósł przez płytką wodę i umieścił na pokładzie. Niemal poczuła się urażona, bo zrobił to w taki sposób, jakby ładował worek ze

zbożem.

Mieszkańcy wioski zgromadzili się na brzegu, żeby obserwować widowisko. Ci *Inglizi*, ze swoimi dziwnymi zwyczajami, spadli na nich jak z nieba, a teraz odpływali, jeden Allah wiedział dokąd. Ich przodkowie musieli tak samo patrzeć na budowniczych świątyni, którzy przyjeżdżali i odjeżdżali, i potem przez setki pokoleń, kiedy piasek zasypywał święte miejsca, a ich kraj opanowywała nowa religia i nowi najeźdźcy.

Kleo nie miała pojęcia, co ci ludzie o nich myślą; machała do nich przyjaźnie, na co dzieciaki odpowiadały takim samym gestem, biegnąc wzdłuż brzegu za oddalającymi się łodziami. Kiedy żagle załopotały, chwytając wiatr, kobiety z wioski zaczęły wracać do swoich zajęć, zupełnie ich nie obchodziło, dokąd tym razem zmierzają *Inglizi*.

- Mam nadzieję, że ludzie z wioski nie ucierpią od mameluków.

- Nie powinni. Przypuszczam, że ukryją swój dobytek na wyspach. - Quin, bosy, stał oparty o maszt głównego żagla. Lekka bryza mierzwiła mu włosy i targała nogawkami mokrych spodni. Kleo obserwowała go ukradkiem i dziwiła się w duchu, że w swym dwudziestoosmioletnim życiu nie tylko przyswoił sobie wiele umiejętności, ale też najwyraźniej zdobył spore doświadczenie. Dlaczego więc nie potrafiła go sobie wyobrazić w roli inżyniera, za którego się podawał?

Był niewątpliwie inteligentny i do tego praktyczny, ale...

- Jak długo to potrwa? - spytała, siadając naprzeciw niego.

- Podróż do Kairu? Zależy od wojskowych barek. - Wzruszył ramionami. - Zakładam, że będą chcieli się przemieszczać jak najszybciej, ale nie możemy płynąć nocą, ze względu na mielizny. Według mnie dziesięć dni powinno wystarczyć, jeśli nie wystąpią jakieś kłopoty na rzece albo z barkami.

Miała zatem dziesięć dni na planowanie, co zrobi, kiedy już dotrą do Kairu. Tam przynajmniej mogła zostawić ojca z czystym sumieniem, a ostatnie dni pokazały, że gdyby mu pozwoliła, wyssałby z niej dosłownie wszystkie siły. Tylko dokąd mogła się udać sama? Do Francji czy do Anglii? Oba te kraje były jej obce, oba w stanie wojny. Niezależnie od tego, który z nich by wybrała, żeby tam dotrzeć, potrzebowała pieniędzy.

Zerknęła na Quina, który z zaciekawieniem obserwował wielkie stada gęsi i ibisów na brzegu. A on dokąd zamierzał jechać? Wracał do Ameryki? Tak czy inaczej musiał najpierw pojechać do Francji albo do Anglii, żeby wsiąść na jeden ze statków, które przemierzały Atlantyk. Na tyle znała geografie.

- Quin. - Odwrócił głowę, nadal oparty o maszt w niedbałej pozie. - Skąd popłyniesz do Ameryki?

- Z jakiegoś portu na Morzu Śródziemnym. Może z Grecji, a może trafi się jakiś statek w Aleksandrii. Pływają stamtąd po całej Europie. - Uśmiechnął się do niej. - Dlaczego pytasz? Myślisz o rozpoczęciu nowego życia na drugim końcu świata?

- Nie. - Pokręciła głową na boki. Ameryka nie wchodziła w grę, bo inaczej mógłby sobie pomyśleć, że buduje jakieś mrzonki na tamtym pocalunku. - Po prostu staram się podtrzymać rozmowę. - Cóż, potrzebowała nabrać wprawy w miłym gawędzeniu o niczym. - Zobowiązania zawodowe każą ci wracać czy będziesz szukał nowej posady? - spytała, nie mając pewności, czy nie uzna ich za zbyt wścibskie.

- Posada na mnie czeka. - Quin zamknął oczy; odnosiła wrażenie, że potrafił wykorzystać każdą okazję na odpoczynek. - Ale dzięki za okazaną troskę.

Zapadła cisza. Kleo nie wiedziała, czy posunęła się za daleko, czy powinna zadać kolejne pytanie.

- Byłem zatrudniony, zanim przyjechałem na Środkowy Wschód. Po powrocie mogę podjąć przerwana pracę.

- Komfortowa sytuacja. Działasz w rodzinnym interesie?

Mogłaby przysiąc, że Quin znieruchomiał.

- Nie - odrzekł po chwili wahania. - Moja rodzina nie prowadzi interesów. Żadnych.

Arystokrata? Nie, niemożliwe, przecież oni tam w Ameryce nie mieli tytułów. Może jednak ludzie z wyższych klas żyli podobnie jak w Anglii, korzystając z odziedziczonych majątków i czerpiąc dochody z ziemi? Jeśli tak, to dlaczego Quin miał zawód? Czyżby ojciec go wydziedziczył?

- Skąd ta kwaśna mina? - Quin miał otwarte oczy i na nią patrzył.

- Mam chwilę słabości - przyznała. Czasami zdarzało jej się westchnąć z goryczą na myśl o swoim nielekkim, samotnym życiu, ale gdyby chciała się wiecznie nad sobą użalać, już dawno by oszalała. Łatwiej było tłumić w sobie uczucia, po prostu trwać, z dnia na dzień, i oszczędzać siły na wypadek, gdyby trafiła się możliwość ucieczki.

- Chyba nie chcesz zostać w Kom Ombo?

- Nie, za nic w świecie. O, spójrz, dotarliśmy do barek. - Pokonawszy kolejne zakole rzeki, ujrzeli około dziesięciu barek załadowanych pakunkami i zwiniętymi namiotami; na pokładzie każdej znajdowało się kilku żołnierzy i skład broni. W porównaniu ze zgrabnymi felukami barki wydawały się nieruchawe i ciężkie, jednak prowadzone za pomocą długich żerdzi dzięki swej stabilności całkiem dobrze radziły sobie z prądem rzeki.

Kapitan Laurent, z rękami splecionymi na piersi, stał na brzegu i nadzorował przywiązywanie ładunków.

- Popłyniecie przodem - oznajmił, patrząc na cumujące feluki.

- *Bonjour, Capitaine* - przywitał go Quin z uśmiechem. - Myślę, że jednak popłyniemy za wami - dodał w tym samym języku, nie przestając się uśmiechać. - Nie chcę, żeby moje łodzie zostały zniszczone w razie, gdyby któraś z barek wymknęła się pańskim ludziom spod kontroli.

- Pańskie łodzie? - zdziwił się kapitan.

- Moje pieniądze, to i łodzie moje - odparł Quin. - Ale jeśli pan woli, możemy od razu odpłynąć i zachować dużą odległość.

- Nie. *Madame* wymaga ochrony mojego oddziału. - Laurent odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy do swoich żołnierzy.

- Według mnie chodzi raczej o to, że *monsieur* chce mieć na nas oko - powiedział Quin. Usiadł i spod opuszczonych powiek przyglądał się krzątaniu na barkach. - On naprawdę mnie nie lubi, zauważyłaś? Zastanawiam się dlaczego. Zwykle uchodzę za całkiem miłego gościa.

- Był najlepszym przyjacielem Thierry'ego.

- I uważa, że trzeba cię chronić przede mną? A może chce cię mieć dla siebie

i wolałby być tu na moim miejscu?

- Czy mnie chce? Nie sądzę - odparła Kleo. - Powiedział Thierry'emu, że nie powinien się być ze mną żenić...

- Ale Thierry nie miał wyboru, prawda? - Zgromiła Quina spojrzeniem, ale i tak dokończył. - Zakochany mężczyzna jest bezbronny.

Pozory miłości nie trwały długo, kiedy się już znaleźli na pustyni. Ogłupiała Kleo, zakochana i niepewna siebie, mając za wzór jedynie zupełnie nieudane małżeństwo swoich rodziców, próbowała zbliżyć się do mrukliwego męża w tych rzadkich chwilach, które z nią spędzał. Zarzucał jej, że jest oziębła, zbyt wymagająca, za dużo mówi, źle przyszywa guziki, okazuje wyższość jego znajomym lub z nimi flirtuje, zachowując się jak dziwka. Upokorzona i wściekła protestowała, ale raz uderzył ją. I nie wiadomo co naopowiadał o niej Laurentowi.

Na uwagę Quina tylko wzruszyła ramionami.

- Z całą pewnością nie zamierzam zapraszać kapitana na obiad.

- Do licha! - Quin poderwał się na równe nogi. - Jedzenie. Powinienem być pomyśleć... Nie chcę być zależny od Laurenta.

- Ja pomyślałam. Mamy dość żywności na kilka dni, a jak zapasy zaczną się kończyć, to zawiniemy do nadbrzeżnej wioski. Koniecznie przed barkami, żeby było jeszcze coś do kupienia. O, jest i koza.

- Koza? Skąd się tu wzięła? - zdumiał się Quin, patrząc, jak wierzgające zwierzę ląduje na pokładzie feluki. Sternik z uśmiechem przywiązał je do drugiego masztu, skąd łypała na nich swymi dziwnymi oczami o podzielonych tęczęwkach i meczała irytująco.

- Posłałam wiadomość, kiedy trwał załadunek - wyjaśniła Kleo. - Nie możemy liczyć na codzienną dostawę świeżego mięsa, a w tym gorącu szybko się psuje. Koza może nam być potrzebna.

- A kto miałby odegrać rolę rzeźnika? - Kleo tylko wymownie się uśmiechnęła, więc mruknął z rezygnacją: - Rozumiem, że ja.

- Jak nałowisz ryb, to nie będziemy musieli jej zjadać, najwyżej ją wydoimy - powiedziała uspokajającym tonem. Tak naprawdę właśnie po to ją sprowadziła, nie miała zamiaru jej zabijać, ale bawiło ją droczenie się z Quinem. - Jesteś bardzo wrażliwy. Nigdy nie polujesz?

- Nie mam zwyczaju mieszkać ze zwierzętami. - Inny wieśniak wrzucił na pokład naręczę zieleniny, koza przestała meczeć i zaczęła się z ochotą posilać. - Poza tym ona śmierdzi.

- Biedna Delilah. - Kleo nachyliła się i zakryła kozie uszy. - Nie mów tak, bo ją obrazisz.

- Dość tego. - Quin skrzywił się z niesmakiem. - Nie będę jadł czegoś, co ma imię. Delilah, a niech mnie! - Dostrzegł, że Kleo się z niego śmieje. - Co cię tak bawi?

- Ty! Jesteś dorosłym, silnym mężczyzną, a rozczulasz się nad kozą, którą dopiero co zobaczyłeś.

- Wcale się nie rozczulam - zaprotestował, ale też pokazał zęby w uśmiechu. - Nałapię ryb, a jeśli nadasz im imiona, podsunę ci je do wypatroszenia.

Kleo wzruszyła ramionami.

- Zawsze to robię.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Nie powinnaś. Jesteś damą, a nie kuchcią.

- Damą? - Wyciągnęła do niego ręce pełne odcisków, poplamione sokiem z granatu, z na wpół zagojonym rozcięciem na palcu.

Quin chwycił je i odwrócił wewnątrz dłoni ku górze. Następnie przesunął delikatnie kciukami po stwardniałej od pracy skórze.

- Damą. Tak! - powtórzył z uporem.

Naraz przypomniała sobie o dziadku, wpływowym księciu. Ciekawe, czy jeszcze żyje?

- Mój ojciec jest baronetem. Sądziłam, że na Amerykanach tytuły i status nie robią wrażenia.

Ręce leciutko jej drżały, nieprzyzwyczajone do takiego pieśczośliwego dotyku.

- Potrafimy dbać o kobiety powierzone naszej opiece, tak samo jak inni dżentelmeni. - Nadal nie puszczał jej dłoni; kiedy spojrzała mu w oczy, wydały jej się dziwnie pociemniałe. Z pożądania? Tęsknoty? Czy zwykłej przyjacielskiej troski? Nie potrafiła odczytać ich wyrazu i czuła się przez to dziwnie skrępowana.

- Nigdy nie będę żyć tak, jak żyje córka baroneta w Anglii - powiedziała, odzyskawszy w końcu głos. - Jeśli... kiedy uwolnię się spod kurateli ojca, będę musiała zarabiać na swoje utrzymanie.

- To się dopiero okaże. - Przesunął kciuki wyżej, przykładając je do miejsc na nadgarstkach, gdzie dało się wyczuć puls. - Jak ptaszek uwięziony za szybą - wymruczał. - Łopot małych skrzydełek.

- Nie jestem uwięziona i nie jestem bezbronnym małym ptaszkiem. - Kleo jednym ruchem wyswobodziła ręce. - Tu na pustyni niewiele mogłam zrobić, ale kiedy już dotrzemy do cywilizacji... - Urwała, zaskoczona napięciem malującym się na twarzy Quina. - Będę niezależna. Zbyt długo żyłam zdana na męskie widzimisię - zakończyła z mocą. Mogła się spodziewać, że będzie chciał ją „chronić” przed tym, co zamierzała zrobić. Wciąż jednak nie miała żadnego konkretnego planu.

Quin znów oparł się plecami o maszt i uniósł rondo trzciniowego kapelusza, żeby lepiej widzieć uwijających się żołnierzy.

- Laurent sprawnie dowodzi - stwierdził, jakby nic szczególnego między nimi nie zaszło. - Musi taki być, żeby udało im się przeżyć. W pogoni za władzą Napoleon zostawił swoje wojska na pastwę losu.

- Przynajmniej dzięki niemu ustało zabijanie ludności cywilnej we Francji.

- Myślisz, że możesz bezpiecznie tam jechać? Żeby na przykład odnaleźć swoich teściów? Nie radziłbym. Francja prowadzi wojny na wielu frontach. Zrobiłabyś lepiej, udając się do Anglii.

Zatem koniec fantazjowania, że mógłby ją poprosić, by jechała z nim do Ameryki. Nie to, że chciałyby z nim być, ma się rozumieć, ale miałyby zapewnioną ochronę podczas podróży, no i mogłyby zaspokoić swoją ciekawość względem inżyniera Quina Bredona.

Kapitan Laurent podszedł do nich energicznym krokiem.

- Jesteśmy gotowi. Chciałbym, żeby pan pamiętał, że to ja dowodzę tym oddziałem, *Monsieur Bredon*.

- Ależ oczywiście - odparł Quin. - Pan dowodzi swoim oddziałem, ja dowodzę swo-

imi felukami i płyniemy w konwoju z wami, kiedy mi to odpowiada. Do zobaczenia przy obiedzie, *Capitaine*. Albo w Kairze.

- Niedobrze mieć go za wroga - mruknęła Kleo, patrząc na sztywne plecy Laurenta wracającego do swoich ludzi, którzy zaraz potem zaczęli spychać ciężkie baraki w stronę nurtu.

- Mnie też - odpowiedział jej Quin z krzywym uśmiechem. Następnie zwrócił się do człowieka przy sterze. - *Taiyih?*

- *Taiyih* - powtórzył sternik, po czym krzyknął do reszty załogi, żeby odczepiali liny, bo czas odbijać od brzegu.

Wszystko dobrze, przetłumaczyła Kleo. I poczuła, że rzeczywiście tak jest, mimo że Laurent wzbudzał w niej jakiś dziwny niepokój, a sama podróż obfitowała w niebezpieczeństwa, całkiem nieoczekiwane, choć takie łatwe do przewidzenia. Wierzyła Quinowi, kiedy mówił, że lepiej nie mieć go za wroga, choć nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Wiedziała, że nie jest żołnierzem, poprzedniego wieczoru umiejętnie pakował broń do skrzyni, ale w jego ruchach nie było mechanicznej wprawy, jaką widziała u Thierry'ego.

Quin nasunął kapelusz głęboko na oczy i oparty o maszt odpoczywał, udając drzemkę. Kleo usadowiła się wygodnie i przyglądała się temu, co wystawało spod opuszczonego runda: mocnemu zarysowi szczęki, prostej linii ust i ciemnej szczecinie zarostu.

Uważała go za pewnego siebie i wytrwałego. Dzielnie zniósł opatrywanie rany. Nie ustąpił przed wrogością Laurenta. A przy tym nie okazywał głupiego uporu. Został w łóżku, dopóki kryzys nie minął, przyznawał się do słabości i odpoczywał, kiedy mu kazała, uznając to za konieczne. Wobec Laurenta zastosował dyplomatyczny unik, nie ryzykując konfliktu. Był inteligentny i dostosowywał swoje zachowanie do sytuacji. Sprytny gracz. Niebezpieczny.

Nie miała zamiaru mu ufać. A co do pożądanego... cóż, nad nim nie potrafiła w pełni zapanować.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Łóżko trzęsło się i kołysało. Kleo poderwała się z pośłania, przyciskając do piersi cienką kołdrę. Serce jej waliło jak oszalałe.

Łóżko znów zachwiało się na boki, rozległ się plusk wody i nagle Kleo przypomniała sobie, gdzie się znajduje – na feluce przycumowanej do brzegu w Esnie.

– Ćśś... Jestem tu. – Spokojne, wypowiedziane ściszym głosem słowa dobiegły zza płóciennej ściany „kabiny” i natychmiast uśmierzyły lęk.

– Przepraszam – wyszeptała. – Zapomniałam, gdzie jestem. – Odsunęła pas zasłony i ujrzała Quina wyciągniętego na pokładzie. Leżał podparty na łokciu; w świetle księżycy wyraźnie widziała jego twarz.

– Nie ma potrzeby szeptać. Wszyscy ludzie z załogi nocują na brzegu, wartownik przechodził tędy parę minut temu, a twój ojciec chrapie na drugiej łodzi. Nawet Delilah śpi.

– Kto... a, koza, no jasne.

Quin domyślił się, że poprzedniego dnia wymyśliła to imię na poczekaniu.

– Ale ty nie śpisz – zauważyła. – Niewygodnie ci?

– Wygodnie, po prostu nie mogę zasnąć.

Tłumaczenie jakoś nie trafiało jej do przekonania.

– Lepiej się przyznaj, że pełnisz straż. Ale przecież załoga śpi przy linach cumujących, a do tego wyznaczono dwóch wartowników...

– Którzy patrolują całkiem spory odcinek brzegu. Nikt nie zwraca uwagi na niebezpieczeństwa mogące czyhać na rzece. Gdybym planował obrabować te łodzie, podpłynąłbym i wciągnął się przez burtę od strony wody.

– Pocieszające – mruknęła Kleo.

– Dlatego tu jestem.

– Na moim progu... jak niewolnik w jakimś starożytnym pałacu?

– Pewnie. Czyż nie jesteś królową Nilu?

Kleo zbyła pytanie kpiącym parsknięciem.

– Powinieneś się przespać.

– Mogę to zrobić w ciągu dnia. Ucinam sobie drzemkę, ale cały czas zachowuję czujność jak kot. Ale ty możesz spokojnie spać, nie masz się czego obawiać.

– Niczego się nie obawiam. – Opuściła zasłonę i wśliznęła się pod przykrycie, ale w następnej chwili głośny plusk kazał jej usiąść na pośłaniu.

– To tylko ryby wyskakują nad wodę. – Męska dłoń wsunęła się pod zasłonę i dotknęła jej ramienia. – Śpij.

Wraz z nastaniem świtu Quin wreszcie zamknął oczy i pozwolił sobie na sen. Jedyne na dwa kwadransy, pomyślał, starając się nie zwracać uwagi na drętwienie prawego barku. Kleo zasnęła, trzymając go za rękę, więc pozostał w niewygodnej pozycji. Nie chciał ryzykować, że ją obudzi, próbując się wyswobodzić.

Ocknął się, kiedy słońce stało już wysoko na niebie. Po odgłosach chlapania odgadł, że Kleo już wstała i myje się w wiadrze z wodą, które poprzedniego wieczoru zabrała do swojej kabiny. Koza popatrzyła na niego i zameczała. Quin posprzątał zabrudzony przez nią pokład, po czym przeniósł wierzgające zwierzę poza łódź i postawił w płytkiej wodzie.

- Zostań tu i się napij, za chwilę po ciebie przyjdziemy.

- Z kim rozmawiasz? - zawołała Kleo zza zasłony.

- Z Delilah. Idziemy pospacerować, wziąć kąpiel i się ogolić, jeśli znajdziemy trochę gorącej wody. - Koza znów zameczała. - A ty bądź cicho, bo ci zgolę brodę.

Kleo wybuchnęła śmiechem; Quin po raz pierwszy słyszał, jak otwarcie dawała wyraz rozbawieniu. Mógłby przysiąc, że nieczęsto jej się to zdarzało.

- Chodź, Delilah. - Przeszedł przez burtę, trzymając pod pachą zestaw do golenia otrzymany od Kleo, wolną ręką chwycił postronek i rozchlupując wodę, ruszył do brzegu, żeby poszukać gorącej wody i choćby skrawka zieleni, którą koza mogłaby się pożywić.

Rozebrał się szybko, zażył kąpieli w rzece, ponownie włożył ubranie, po czym ogolił się, podczas gdy Delilah skubała trawę u jego stóp.

- Ktoś będzie musiał cię wydoić - stwierdził, przyglądając się nabrzmiałemu wymieniu. Koza uniosła głowę i spojrzała na niego wyniośle, co przypomniało mu o innej Delilah, owdowiałej markizie Dawlish. Poza tym, że markiza powszechnie uważana za wyjątkową heterę miała pierś płaską jak deska, podobieństwo było doprawdy uderzające. Quin usiadł i zaniósł się śmiechem, aż łzy pociekły mu z oczu.

- Bredon? Co się z panem, u licha, dzieje, człowieku? - Sir Philip, odziany w niebiesko-żółtą koszulę gapił się na Quina, jakby zobaczył wariata.

- Po prostu coś mnie rozbawiło, sir - odparł, wstając. Chwycił postronek wleczony przez kozę po ziemi. - Chodź, Delilah. Miejmy nadzieję, że *madame* Valsac będzie umiała cię wydoić.

- Jesteście wreszcie - powitała ich Kleo po kilku chwilach. - Nie wydoiłeś jej?

- Nie mam pojęcia, jak się to robi. A ty wiesz?

- Oczywiście. - Kleo związała swój długi warkocz tasiemką i przerzuciła na plecy.

Quin pomyślał z żalem, że wolałby oglądać jej włosy rozpuszczone swobodnie na ramiona.

- Proszę. - Wetknęła mu do rąk talerz i dzbanek, kiedy wsadziwszy kozę na pokład, stał po kolana w wodzie. - Mógłbyś to podać mojemu ojcu?

Sir Philip jeszcze nie wrócił, więc Quin zostawił jedzenie na drewnianej ławie i skierował się z powrotem ku swojej łodzi. Miał świadomość, że Kleo pilnie go obserwuje, podczas gdy jej palce rytmicznymi ruchami opróżniały wymię z mleka do podstawionej miski. Chwycił się burty obiema rękami i jednym skokiem wylądował na pokładzie. W na wpół zagojonej ranie czuł ból, ale mięśnie działały bez zarzutu.

- Jesteś bardzo sprawny - zauważyła Kleo. - Dzięki pracy?

Dyplomacja, przynajmniej w normalnych okolicznościach, zwykle nie wymagała fizycznego wysiłku; już miał jej to powiedzieć, gdy w ostatniej chwili sobie przypomniał, za kogo się podał.

- Uprawiam szermierkę, boksuję, jeżdżę konno i pływam - odpowiedział zgodnie z prawdą. - To pomaga. Również w pracy inżyniera.



- No tak, jasne - przyznała Kleo. Jej twarz zachowała przy tym nieprzenikniony wyraz. - Już prawie skończyłam... możemy się napić mleka do śniadania.

O zachodzie słońca dopłynęli do Kiny, gdzie rzeka skręcała ostro na zachód. Kleo z trudem trzymała nerwy na wodzy, poirytowana narzekaniami ojca, który miał im za złe, że minęli Teby, w ogóle się nie zatrzymując.

Za to przynajmniej raz kapitan Laurent i Quin całkowicie się ze sobą zgadzali. Kapitan oświadczył, że nie dba o to, ilu sawantów pracowało w ruinach, Quin natomiast stwierdził rzeczowo, że nie mają czasu na zwiedzanie Doliny Królów po to tylko, by sir Philip mógł krytykować książkę Jamesa Bruce'a o jednym z grobowców.

Tak więc ojciec Kleo musiał się zadowolić przelotnym widokiem świątyń w Luksorze i Karnaku, kiedy je mijali.

- Powinieneś być mu pozwolić wysiąść na brzeg - powiedziała do Quina Kleo, kiedy cumowali na nocny postój. - I zostawić go tam. Właściciel łodzi byłby zadowolony z zarobku, a ojciec miałby się doskonale w towarzystwie innych naukowców i ich eskorty.

- Byłabyś gotowa zostawić własnego ojca? - W głosie Quina pobrzmiewała nuta łagodnej kpiny.

- On był gotów zostawić mnie. - Kleo tym razem nie miała nastroju na docinki, nawet niewinne. - Sam słyszałeś, Laurent powiedział, że nie pozwoli mi wysiąść na brzeg z ojcem, na co odparł, że tylko bym przeszkadzała i że mogę jechać do Kairu z tobą.

- To by nie wystarczyło do uśmierzenia moich wyrzutów sumienia. Lepiej, żeby jechał z nami. - Quin stanął na burcie i pomagał przeciągnąć liny.

Kleo przesunęła się, żeby go lepiej widzieć. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale była całkowicie przekonana, że Quin Bredon nie jest inżynierem. Tego ranka, gdy wyraziła uznanie dla jego fizycznej sprawności, odpowiedział podejrzenie ogólnikowo. Mężczyźni zwykle lubili rozprawiać o swoim życiu i zainteresowaniach. Wszyscy, poza tym jednym.

Kapitan Laurent przyszedł sprawdzić, co robią, i skinął przyjaźnie do Quina. Najwyraźniej wspólna utarczka z sir Philipem złagodziła ich wzajemną niechęć. Kleo zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Laurentowi o swoich obawach, ale z drugiej strony nie chciała, aby Quin został oskarżony o szpiegostwo i zastrzelony.

- Uważaj! - Quin pochylił się szybko, żeby złapać żagiel, który o mały włos na nią nie spadł. - Zamyśliłaś się?

- Nie, po prostu mam kłopot z podjęciem pewnej decyzji. - Zaczęła zbierać w rękach materiał żagla, żeby Quin mógł go związać. Robił to zręcznie, stopniowo zbliżał się do niej, aż w końcu mogła z bliska spojrzeć w intensywnie niebieskie oczy o przyjaznym wyrazie. - Rano na pewno będzie mi łatwiej.

Niestety, sen nie chciał przyjść. Kleo leżała z otwartymi oczami w dusznej ciemności. Jeśli Quin był szpiegiem, to dla kogo pracował? Prawdopodobnie dla Francuzów, a ona przez małżeństwo stała się obywatelką Francji. Tyle że nie czuła się Francuzką ani trochę bardziej niż Angielką. Czy Francuzi kiedykolwiek coś dla niej zrobili? Wydali ją za człowieka, który kłamał, był niewierny i do tego ją uderzył.

Gdyby poszła do Laurenta i podzieliła się swoimi podejrzeniami, z pewnością zechciałby poznać szczegóły działalności Quina, a to oznaczało tylko jedno. Zastosowałyby tortury, a jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by Quin się poddał na sam widok rozpalonego żelaza. Długo by cierpiał i na końcu został rozstrzelany, a ona już nigdy by nie zaznała spokoju sumienia.

- A do tego cię lubię, chociaż mnie wkurzasz - wymruczała pod nosem. Prawdę mówiąc, czuła nawet coś więcej. Pożądała go. Nie miała zbyt dobrych doświadczeń w intymnym kontakcie z mężczyznami, czuła jednak, że powodem była jej własna niewiedza połączona z brakiem starań ze strony Thierry'ego. Przypuszczała, że z Quinem byłoby inaczej. Nie zamierzała jednak nigdy zaufać mu na tyle, aby pozwolić na fizyczną bliskość.

Przewróciła się na bok, teraz niemal dotykała nosem zasłony oddzielającej ją od pokładu, na którym Quin pełnił swą dobrowolną funkcję strażnika. Łódź kołysała się delikatnie na falach, ryby z pluskiem wyskakiwały nad wodę, gdzieś w oddali zawył szakal. Żadne z tych zjawisk nie budziło już jej lęku, a i tak nie mogła zasnąć. Nie chodziło też o męczącą ją niepewność i żądzę. Ktoś szeptał.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Rozpoznała głos Quina. - Nie zależy mi. Bo dlaczego miałoby mi zależeć?

Kleo uniosła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. Quin leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Miał na sobie jedynie cienkie bawełniane kalesony, jakie wszyscy miejscowi mężczyźni nosili pod galabijami. Widoczne w świetle księżyca drobne kropelki potu rosły mu skórę na piersi.

- Quin? - Dotknęła lekko jego ramienia. Wyraźnie coś mu się śniło. Wiedziała, że jeśli zacznie mówić głośniejszym głosem, zwróci uwagę wartownika, a tego z pewnością by nie chciał.

Przycichł, uspokoiony jej głosem... a może dotykiem.

- Nie taki jak ojciec. Ani jeden, ani drugi.

Nie rozumiała, o co mu chodzi. Poruszył niespokojnie głową. Sięgnęła po koc i przykryła go. Quin znów zaczął coś mamrotać. Nie dało się rozróżnić poszczególnych słów, ale była w nich gorycz i żal. Przypomniała sobie, że poczuła się lepiej, kiedy ją przytulił, i postanowiła sprawdzić, czy ten gest podziała tak samo na niego.

Położyła się przy nim, oparła mu głowę na ramieniu i przerzuciła rękę przez jego pierś.

- Ćśśś, jestem tutaj - powiedziała to samo, co on do niej poprzedniej nocy. - Śpij, Quinie. Po prostu śpij.

Z sennym westchnieniem objął ją i przyciągnął do siebie; od tego momentu słyszała już tylko jego równy, głęboki oddech.

Quin obudził się w godzinie najgęstszego mroku tuż przed świtem. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie pojedynczymi głosami ptaków, cichym pluskiem wody o kadłub łodzi, skrzypieniem lin... i szmerem oddechu kobiety, śpiącej w jego ramionach. W błogim rozmarzeniu z powrotem zamknął oczy i zapadł w drzemkę; wspomnienie złęgo snu rozwiało się niczym mgła.

Kobieta? Do licha! To była Kleo, poznałby jej zapach i kształty zawsze i wszędzie, choć znali się od niedawna.

- Kleo - wyszeptał i odwrócił się do niej twarzą. Tylko tego brakowało, żeby się poderwała z krzykiem, znalazłszy mężczyznę w swoim łóżku. Choć... nie miał pojęcia, skąd się tam wzięła.

- Hm...? - Przeciągnęła się sennie i przywarła do niego jeszcze mocniej.

- Obudź się... - Jej włosy przyjemnie łaskotały go w policzek. Miał ochotę pocałować ją w czubek głowy i pozwolić dłoniom wędrować po gładkim, rozgrzanym ciele.

- Quin! - Stłumiła okrzyk, przyciskając twarz do jego nagiego barku. Narzuciła na siebie koc i umknęła do swojej płóciennej kabiny. Błogosławił w duchu panującą ciemność, dzięki której nie było widać, jak bardzo jest podniecony. Kleo działała na niego jak żadna inna kobieta.

- Zasnąłam - wyszeptała Kleo tonem usprawiedliwienia przez szparę między zasłonami. - Przepraszam, miałam tu wrócić, kiedy tylko się uspokoisz.

- A co ja takiego robiłem? - Domyślił się, że mówił przez sen, i poczuł się zawstydzony.

- Mówiłeś przez sen - potwierdziła Kleo zgodnie z jego przewidywaniami. - Że nic cię to nie obchodzi i że ci nie zależy. I jeszcze coś o ojcu.

- Przepraszam, że cię obudziłem. To tylko powtarzający się zły sen.

- Nie szkodzi. Mówiłeś coraz głośniej, więc doszłam do wniosku, że pewnie byś nie chciał, by wartownik przyszedł tu sprawdzać, co się dzieje. - Z tonu Kleo wnioskował, że też jest zakłopotana. - Pomyślałam, że kiedy cię przytulę, to się uspokoisz. I rzeczywiście tak się stało. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde po swojej stronie płóciennej ściany. Mrok stopniowo ustępował miejsca szarości.

- Mówiłeś coś o podobieństwie do swoich ojców. Brzmiało to co najmniej dziwnie. - Nie zadała pytania, ale wyczuwał jej zaciekawienie.

Niech to wszyscy diabli, zaklął w duchu. Opuścił głowę i dotknął czołem podciągniętych kolan. Uznał, że lepiej będzie od razu jej powiedzieć. Poza tym odkrył, że po wyznaniu prawdy, co zdarzyło mu się zaledwie parę razy, senne koszmary ustępowały na długie miesiące.

- Ubierz się, porozmawiamy na brzegu - zaproponował, wciągając na siebie spodnie i koszulę. Wziął pod pachę protestującą kożę, zaniósł ją pod drzewo i przywiązał do pnia, jako przekonujące usprawiedliwienie tak wczesnej pobudki. Następnie wrócił, żeby pomóc Kleo, która czekała na niego, siedząc na burcie i machając nogami nad wodą.

Zarzuciła Quinowi ręce na szyję i pozwoliła się przenieść na suchy ląd.

- Jesteś silny - pochwaliła go, chichocząc.

- A ty lekka jak piórko. Powinnaś nabrać więcej ciała, za ciężko pracujesz. - Bynajmniej nie uważał, że czegokolwiek jej brakuje. Wręcz przeciwnie. - I pachniesz znacznie lepiej niż Delilah - dodał, by nadać rozmowie lżejszy ton. Odwiązał kożę od drzewa i puścił ścieżką prowadzącą do miejsca, gdzie prąd rzeki uformował skrawek półkolistej plaży. - Idź się napić - poradził ożywionemu swobodą zwierzęciu.

Kleo podeszła i usiadła obok Quina na wygładzonym przez wodę pniu.

- Zrobię się gruba i leniwa, jeśli przeleżę na pokładzie całą drogę do Kairu.

- I dobrze. - Quin pochylił się do przodu, oparł łokcie na udach i obserwował piasek między swoimi stopami. - Należy ci się odpoczynek.

Kleo odwróciła się bokiem, uniosła nogi, postawiła je na pniu i oparła się o Quina plecami.

- Powiedz mi, dlaczego masz dwóch ojców - poprosiła. Zdawała się odgadnąć, że doda mu otuchy dotykiem. Brał pod uwagę to, że kiedy pozna prawdę o jego urodzeniu, może się od niego odsunąć. Wziął głęboki oddech i zaryzykował.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Kiedy miałem osiem lat, a najstarszy brat skończył siedemnaście i wybierał się na studia, mój ojciec wezwał nas, wszystkich pięciu chłopców, do swojego gabinetu i oświadczył, że musi nam coś powiedzieć, ponieważ Henry wkrótce prawdopodobnie usłyszy różne plotki. Oznajmił, że jestem synem naszej matki i innego mężczyzny, który już nie żyje. Postanowił mnie uznać, żeby oszczędzić rodzinie skandalu, zwłaszcza że pomiędzy mną a tytułem miał czterech prawowitych synów. Wyjaśnił, że nie jestem podobny do braci, ponieważ przypominam swojego ojca, co zresztą z wiekiem miało się nasilać. Mówił to wszystko takim tonem, jakby rozmawiał o sprzedaży ziemi albo skarżył się na nieudolnego służącego.

Kleo milczała, westchnęła tylko głęboko, jakby długo wstrzymywała oddech.

- Nie zamierzał zaniedbywać mojej edukacji, jak stwierdził, planował też wydzieścić dla mnie pewną część swych gruntów, żebym nie przynosił dodatkowego wstydu rodzinie swoim nieuctwem, brakiem manier czy ubóstwem, ale nie życzył sobie, żeby moi bracia się ze mną zadawali. Sam więcej w zasadzie nie miał ze mną żadnego kontaktu.

Kleo w końcu się odezwała, nadal nie odrywając wzroku od rzeki.

- Och, biedny mały chłopiec! Co na to wszystko powiedziała twoja matka?

- Nic. Już wtedy nie żyła, a wcześniej i tak rzadko ją widywaliśmy. Teraz wiem, że każde z nich miało swoje, osobne życie. Przeżyłem szok. - To jedno krótkie słowo miało w sobie zawrzeć cały wstyd, złość i dziwny rodzaj ulgi, że człowiek, którego uważał za swojego ojca, miał mu za złe nie to, jaki jest, tylko kim jest. - Wiedziałem, że ojciec mnie nie lubi, ale wcześniej nawet się nie domyślałem z jakiego powodu. Od tamtej pory miałem nocne koszmary. - Mimowolnie przywarł mocniej do Kleo. - Wyrosłem z nich, oczywiście, ale nadal wracają, kiedy jestem bardzo zmęczony albo coś mnie niepokoi.

- Byłeś chory. Nic dziwnego, że wróciły tamte sny.

Dobrze, że przynajmniej nie usłyszała dalszej części jego sennych majaków, związanych z obsesją, by żyć na własnych warunkach, podążać własną drogą, zostać wysokiej rangi urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych. Powtarzał sobie, że będzie najlepszy, kiedy głowa mu pękała od nauki, obrywał cięgi różgą od nauczyciela albo markiz traktował go jak powietrze. Postanowił odnieść sukces - zdobyć własny majątek, własny tytuł, reputację człowieka honoru, dotrzymującego słowa w każdej sytuacji i każdym kosztem.

Do Egiptu przywiodła go misja, której wypełnienie uważał za swój obowiązek. Chciał też przy okazji zademonstrować swoją biegłość w obcych językach i inicjatywę, a także pokazać się od najlepszej strony jednemu z najpotężniejszych ludzi w rządzie. To, co robił, musiało, rzecz jasna, być utrzymywane w tajemnicy, jednak mógł zakładać, że wiadomość o wykonaniu trudnego, niebezpiecznego zadania dotrze do ojca lady Caroline Brooke. Po powrocie do Londynu zamierzał poprosić

o urlop i skupić się na zabieganiu o jej przychyłność.

- O czym myślisz? - spytała Kleo głosem osoby wyrwanej z drzemki. Siedziała bez ruchu, z głową odchyłoną do tyłu i wspartą na jego ramieniu.

- O małżeństwie - odpowiedział podobnym tonem Quin. Poniewczasie ugryzł się w język.

- Jak ma na imię wybranka?

- Caroline - uznał, że nie ma sensu ukrywać prawdę. Jej ojciec jest... bardzo wpływowym człowiekiem. Byłaby doskonałą partią.

- Byłaby? - Czyżby mu się zdawało, czy naprawdę przybrała chłodniejszy ton? - Jeszcze jej nie powiedziałeś, że chciałbyś się z nią ożenić? Ona cię kocha?

- Jeszcze nawet nie dałem jej w żaden sposób do zrozumienia, że jestem nią zainteresowany. Poza tym nie zna mnie na tyle, by żywić tego rodzaju uczucia.

Kleo opuściła nogi na ziemię i podniosła się z pnia.

- I ty też jej nie kochasz? - spytała, patrząc na niego z ironicznym uśmiechem. - Cóż za zimny, wykalkulowany związek. Ale jakże praktyczny!

- Takie są zasady życia społecznego... Opierają się na małżeństwach z rozsądku, pomiędzy odpowiednio dobranymi partnerami. - Nie rozumiał, dlaczego brzmi, jak ostatni bufon, skoro wyjaśnia rzeczy absolutnie oczywiste. Przecież takie rozwiązanie samo się nasuwało w przypadku człowieka o jego pochodzeniu i ambicjach.

- Sądziłam, że w Ameryce jest inaczej - powiedziała Kleo. Zbiegła nad wodę i chwyciła kozę za postronek.

- Na całym świecie jest tak samo.

Kleo wzruszyła ramionami i ciągnąc za sobą oporne zwierzę, rzuciła przez ramię:

- Zatem tak naprawdę żenisz się z jej ojcem. Bardzo romantycznie.

- A kto mówi, że ma być romantycznie? - próbował się bronić Quin; czar poranka uleciał bezpowrotnie. - A ty za kogo wyszłaś? Za francuską armię, żeby sobie zapewnić ochronę?

Kleo przystanęła i zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

- No tak, prawdziwy mężczyzna - prychnęła, po czym szybkim krokiem ruszyła w kierunku łodzi.

- Mam nadzieję - rzucił Quin do jej pleców i zaklął pod nosem. Przyspieszył, żeby pomóc Kleo we wniesieniu kozy na pokład.

Ależ paskudny mam nastrój, uświadomił sobie z pewnym zdumieniem. Lata samodyscypliny nauczyły go panowania nad emocjami. Tak mu się przynajmniej zdawało. Jak to możliwe, że jedna młoda kobieta, bez życiowego doświadczenia, edukacji i obycia, wytrąciła z równowagi dyplomatę, radzącego sobie dotąd bez trudu ze spiskami, uwodzicielskimi przedstawicielkami obcych mocarstw i nerwowymi urzędnikami o wybujałych ambicjach... Nie wiedział.

Wziął się w garść i przybierając neutralnie uprzejmy wyraz twarzy, podszedł do Kleo, która z zainteresowaniem obserwowała wielkiego pająka na łodydze sitowia.

- Mogę ci pomóc wejść na łódź?

- Możesz mi podać sierp, jeśli łaska - odpowiedziała chłodno Kleo. - Musimy naciąć paszy dla Delilah.

- Pomogę ci wsiąść do feluki, a ty mi podasz sierp.

- Przyda mi się trochę ruchu.

- Nie powinnaś wykonywać prac fizycznych. - Quin wszedł na łódź, znalazł narzędzie, po czym wskoczył z powrotem do wody i rozejrzał się po skąpo porośniętym brzegu.

- W takim razie nie będę doić kozy ani przygotowywać posiłków - oznajmiła Kleo, rozsiadając się wygodnie. Rozpostarła wokół siebie niebieską bawełnianą spódnicę i zaczęła rozplatać warkocz z miną kobiety, która zamierza spędzić cały dzień na błogim lenistwie.

Quin zabrał się do ścinania zieleniny dla Delilah, zadowolony, że może w ten sposób dać upust złości. Ułożył w myślach złośliwą uwagę pod adresem Kleo, ale kiedy się odwrócił, żeby ją wygłosić, natychmiast wyleciała mu z głowy.

Mógł tylko podziwiać rozpuszczone włosy Kleo, spływające falami, rozświetlone słońcem, niczym płynne złoto. Zamknął usta i mijając Kleo bez słowa, zaniósł kozie paszę.

- Nasi ludzie już wstają - odezwał się sztywno, ruchem głowy wskazując prowizoryczne obozowisko.

Tak jak miał nadzieję, Kleo poderwała się z miejsca, związała włosy i podeszła do łodzi.

- Zechce pan mi pomóc, panie Bredon?

Więc znów jestem panem Bredonem, tak? - pomyślał. Chwycił ją w pasie i podszedł tak, by mogła usiąść na burcie. Podczas ruchu włosy Kleo zsunęły jej się przez ramię i musnęły miękko jego dłoń, budząc w nim nagły dreszcz pożądania. Zamknął oczy, próbując nad sobą zapanować.

Zaniepokojona jego miną Kleo pochyliła się nad nim z troską. Poczuł na twarzy powiew jej oddechu, co jeszcze pogorszyło sprawę.

- Quin?

- Nagle zakręciło mi się w głowie. Przepraszam. - Wolał poświęcić dumę, przyznając się do słabości, niż wyznać prawdę. Odepchnął się od kadłuba feluki. - Pójdę zapytać, co Laurent planuje na dzisiaj.

Odszedł, nie oglądając się za siebie. Bał się sprawdzić, czy Kleo odprowadza go wzrokiem. Pewnie uważała go za dziwaka, który ma złe sny, nietypowe pochodzenie i do tego rozmaite słabości.

On mnie pragnie. To nagłe zakłopotanie nie mogło jej zmylić. Zakręciło mu się w głowie, akurat! To było pożądanie, nic innego, nic więcej, bo też jaki pożytek mógł z niej mieć Quin Bredon poza chwilą cielesnej przyjemności? Poważne plany wiązał z jakąś Caroline, wpływową kobietą, której prawie nie znał. Kleo mogła mieć tylko nadzieję, że Caroline nie wystraszy się jego złych snów, bo jakoś jej nie widziała w roli pocieszycielki.

Rozejrzała się po bałaganie panującym na pokładzie, zastanowiła się, co przygotować na śniadanie, po czym wzruszywszy ramionami, usiadła i zaczęła splatać włosy w warkocz. Była pewna, że to one wprawiły Quina w zakłopotanie. Mężczyźni byli jednak dziwni...

Kiedy Quin wrócił, na feluce panował wzorowy porządek. Kleo zdążyła też podać ojcu śniadanie i ogarnąć nieład.

- Proszę. - Podsunęła Quinowi talerz, gdy tylko stanął na pokładzie. - Nasi ludzie przynieśli mi kacze jaja. Jedz, zanim wystygną.

Quin wymruczał słowo podziękowania i zasiadł z talerzem w swoim zwykłym miejscu, oparty plecami o główny maszt. Po przełknięciu paru kęsów odezwał się bez wstępów:

- Do Laurenta docierają różne plotki. Brytyjczycy ściągnęli posiłki z Indii pod dowództwem generała Bairda. Są w Al-Kusajr nad Morzem Czerwonym, na wschód stąd. Zamierzają udać się do Kiny.

- Ale przecież to prawie dwieście kilometrów pustyni. - Kleo spojrzała w stronę wierzchołków wydm, wznoszących się za pasem żyznej, uprawnej ziemi wzdłuż brzegu, jakby oczekiwała, że ujrzy czerwone kurtki wspinających się na nie brytyjskich żołnierzy.

- Są przyzwyczajeni do gorącego klimatu, a poza tym biegną tamtędy szlaki karawan. - Quin nabrał resztki jajka na kawałek chleba. - Dlatego Laurent chce jak najszybciej dotrzeć do Kairu.

Wydawał się tym lekko rozbawiony, być może odezwała się w nim dawna antypatia do kapitana.

- Dojdzie do starć - wyraziła swe obawy Kleo.

- Owszem - potwierdził spokojnie Quin. - Spodziewam się, że Baird pójdzie wzdłuż rzeki do stolicy. Generał Belliard musi pilnować swoich fortyfikacji.

- Może napotkają mameluków. I to ich powstrzyma - powiedziała z nadzieją Kleo.

- Być może. Zobacz, barki Laurenta już odpływają - zauważył Quin, następnie rzucił podniesionym głosem do marynarzy na rufie: - Jesteście gotowi, przyjaciele? Ścigajmy się z żołnierzami!

Kleo patrzyła na przesuwane się za burtą brzegi rzeki; wcześniejszą radość z podróży zastąpił niepokój. Pamiętała Kair jako piekielne miejsce, ale miała nadzieję, że podczas swych trzyletnich rządów Francuzi odbudowali miasto i życie choć w części wróciło do normy.

- Nie martw się - próbował ją pocieszyć Quin. - Będę się tobą opiekował. Musiał dostrzec niedowierzanie w jej wzroku, bo uśmiechnął się cierpko i dodał: - Zaufaj mi.

- Co możesz zrobić? Sprawisz, że nie będzie wojny?

- Zrobię to, co będzie dla ciebie najlepsze.

- A wiesz, co jest dla mnie najlepsze? - Cierpliwie znosiła pobyt na pustyni, nie pozwalała sobie na marzenia, kiedy nie było szans na ucieczkę. Teraz zmierzała w stronę wielkiego miasta, w stronę morza, i nadal nie snuła żadnych planów. Miejsce wcześniejszego odrętwienia zajął strach, który bała się wyrazić czy pokazać, aby całkowicie nią nie zawiądnął.

Skrzyżowała ramiona na piersi, żeby Quinowi nie przyszło do głowy dodawanie jej otuchy przytulaniem. Gdyby ją objął, prawdopodobnie wybuchnęłaby płaczem, a do tego nie mogła dopuścić. Jednak Quin nawet nie próbował się do niej zbliżyć.

- Według mnie potrzebujesz bezpieczeństwa, wygody, normalnego życia należącego córce baroneta czy wdowie po oficerze. Wiem, że miasto stojące w obliczu nieuchronnego oblężenia może nie być najlepszym miejscem do zrobienia pierwszego



kroku, ale jakoś z tego wybrniemy. Tylko mi zaufaj – powtórzyl. – Proszę.

Kleo spojrziała na jego minę wyrażającą pewność siebie, dumnie uniesione czoło i stanowczą linię ust. Ufała mu. Czy to oznaczało, że jest naiwna?

– Dobrze, zaufam ci.

Quin ją objął jednym ramieniem i na moment do siebie przyciągnął. Kleo zamrużyła, żeby powstrzymać łzy. Czuła, że gdzieś głęboko w środku zapłonęła w niej mała iskierka. Nie od razu ją rozpoznała, ale kiedy to nastąpiło, pomyślała o przyszłości z nadzieją i nawet pewnym zaciekawieniem.

Siedem dni zajęła im podróż do Bani Suwajf, a stamtąd, jak zapewniali ich marynarze, mieli już tylko jeden dzień drogi do Kairu. Dotarła też do nich wiadomość, że Murad Bey umarł od zarazy podczas marszu na północ, a jego ludzie pod nowym dowódcą sprzymierzyli się z Brytyjczykami.

– Wątpię, żeby przez to byli dla nas mniej niebezpieczni – powiedział Quin, gdy tego wieczoru siedzieli przy ognisku rozpalonym na brzegu. Sir Philip narzekał, że niepotrzebnie opuszczali Kom Ombo; nieoczekiwanie Quin okazywał niepoprawnemu marudzie więcej zrozumienia niż własna córka.

Kleo mieszała kawę w kubku, ale skupiała uwagę raczej na profilu Quina widocznym w blasku płomieni. W miarę zbliżania się do Kairu robił wrażenie coraz bardziej zaniepokojonego, coraz częściej popadał w zamyślenie. Wydawało jej się to dziwne, prędkiej by oczekiwała, że z ulgą powita perspektywę uwolnienia się od ciężaru opieki nad nią i humorów jej ojca.

Zaczął nawet sypiać z dala od jej kabiny, oczywiście na tyle, na ile to było możliwe na niewielkiej łodzi. Kiedy go o to zapytała, żartując, że pewnie wystraszył się jej chrapania, odpowiedział słabym uśmiechem.

– Delilah znosi noce gorzej niż ty. Ona mnie bardziej potrzebuje.

– Dziwne, że nie mamy żadnych wieści z północy – odezwała się, wylewając resztki fusów do żaru na palenisku. – Zauważyłeś, że przez ostatnich kilka dni nie widzieliśmy żadnej większej jednostki zmierzającej na południe, jedynie łodzie rybackie?

Quin wzruszył ramionami, ale zauważyła, że spojrzął na obóz żołnierzy rozbityjakiś sto metrów dalej.

– Władze mogły zakazać żeglugi na rzece, jeśli słyszały, a do tej pory musiały usłyszeć, o przybyciu Bairda. Nie chcą, by jakiś większy i cenniejszy transport wpadł w ręce wroga.

– Pewnie tak – przyznała mu rację. Wstała i zaczęła zbierać kubki i dzbanek po kawie.

– Mógłbym pożyczyć od ciebie przybory do szycia? – spytał zniecierpliwiony Quin. – Chodzi mi o nożyczki, igłę i nici.

– Tak, ale chętnie pomogę i cię w tym wyręcę.

– Poradzę sobie. Trzymasz te rzeczy na naszej feluce?

– Teraz światło jest za słabe na szycie. – Kleo włożyła brudne naczynia do koszyka, po czym wyprostowała się i oparła ręce na lędźwiach.

– Poradzę sobie – powtórzyl Quin. – Możesz mi je teraz podać? I jakiś stary czador, jeśli masz. Kupię ci inny w Kairze.

– Czador? Ale po co?

- Potrzebuję czegoś ciemnoniebieskiego - odparł wymijająco.

Widziała, że nie zamierza jej niczego wyjaśniać. Wspięła się na pokład, korzystając ze skrzynki ustawionej przez kogoś przy rufie i poszła szukać przyborów do szycia i swojego najstarszego czadora. Znalazła obszerną czarną burkę i nikab. Odłożyła je na bok, nie znosiła zakrywania twarzy, ale ściąganie na siebie uwagi w mieście na północy kraju byłoby ryzykowne poza terenem zajmowanym przez Francuzów.

Kiedy wróciła do ogniska, ojca już tam nie było, a Quin rozmawiał z marynarzami po arabsku, energicznie przy tym gestykulując. Odniosła wrażenie, że uważnie go słuchają; kiedy podeszła i rzuciła na ziemię zwój niebieskiego płótna, zapadła cisza.

- Dziękuję - powiedział Quin tonem, w którym usłyszała jednocześnie życzenie dobrej nocy.

- Dobranoc - odpowiedziała, zawracając na pięcie. Quin prosił, żeby mu zaufała, a ona szczerze się na to zgodziła. Teraz dawne wątpliwości, których o mało nie wyjawiała Laurentowi, nagle powróciły. Skarciła się w duchu za głupotę. Nazajutrz o tej porze mieli być już w mieście opanowanym przez Francuzów, gdzie ani jej, ani jej ojcu nic nie groziło. Ponadto jako wdowa po francuskim oficerze mogła liczyć na godne traktowanie.

Nawet jeśli Quin wypełniał jakąś szpiegowską misję, o której nie miała pojęcia, jej to nie dotyczyło.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy wszystko było już przygotowane do nocnego odpoczynku, Kleo rozsunęła zasłony kabiny i spojrzała na brzeg. Jeden z młodszych marynarzy rozwijał swój turban, długi pas materiału połyskiwał czerwienią w świetle ognia. Podał go Quinowi, a sam zaczął sobie nakładać nowy turban, tym razem biały.

Kleo wzruszyła ramionami, weszła do kabiny, położyła się i próbowała zasnąć, jednak zmęczenie i natłok myśli nie pozwoliły jej zmrużyć oka. Nadal nie miała żadnych planów, wiele zależało od sytuacji, jaką zastała w stolicy. Miała poczucie winy, że chce zostawić ojca i jednocześnie irytowała ją własna słabość.

No i był jeszcze Quin... Pożądała go, musiała to przyznać, choć planował się ubiegać o względy innej kobiety. Jej wewnętrzny głos podpowiadał nieśmiało, że tak naprawdę nie ma jeszcze wobec tej kobiety żadnych zobowiązań.

Kleo przewróciła się na drugi bok. Leżała bezsennie od co najmniej godziny, a nie czuła kołysania łodzi pod jego krokami ani powitalnego meczenia Delilah. Odsunęła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. Quin nadal był przy ognisku. Podsycił ogień i siedział pochylony nad płótnem rozciągniętym na kolanach. Czyżby szył dla siebie jakieś przebranie?

Pierwszą piramidę ujrzeli około południa; Kleo dawno nie widziała ojca tak szczęśliwego, kucnął przy burcie i robił notatki, raz po raz wykrzykując:

- Widzicie? Dahszur!

Kleo udzieliło się jego podniecenie. Piramidy fascynowały ją już podczas podróży z Kairu na południe, teraz także oglądała je oczarowana, dopóki Quin nie nakazał załodze ustawić obu feluk obok siebie na wodzie i nie przeskoczył na pokład łodzi jej ojca.

- Co pan robi? - Sir Philip przerwał szkicowanie i rzucił się ratować swoje zapiski, kiedy Quin zgarnął papiery zaścielające blat stołu do najbliższej skrzyni i zamknął wieko na kłódkę. - Niech pan przestanie! Potrzebuję ich!

- W zamknięciu są bardziej bezpieczne - powiedział Quin, zawiesił sobie sznurek z kluczem na szyi i jednym skokiem wrócił na łódź Kleo. - *Yalla! Yalla!* - zawołał do ludzi przy sterze. Słyszając go, Kleo pomyślała z oburzeniem, że zwraca się do nich, jakby byli wielbłędami.

Jednak sternik tylko uśmiechnął się szeroko i skierował felukę na główny nurt. Cokolwiek Quin knuł, załoga wyraźnie go popierała.

- Sakkara - oznajmił ojciec, wyraźnie rozdarty pomiędzy urazą za złe potraktowanie a chęcią dzielenia radości z widoku wspaniałych budowli.

- Pal sześć piramidy - mruknęła Kleo.

Uczepiona burty, z sercem w gardle czekała na rozwój wydarzeń, lecz wprawnie prowadzona łódź niemal frunęła nad wodą, niczym jaskółka polująca na owady, z pełną wdzięku lekkością przemknęła między ciężkimi barkami i pognała naprzód.

Ludzie na barkach zaczęli krzyczeć. Kleo widziała, jak kapitan Laurent podbiega do burty; ruszał ustami, ale nie było go słychać, bo wiatr porywał słowa. Zaraz potem barki zostały za nimi, minęli Torę, przed sobą po lewej mieli Gizę z wielkimi piramidami, a po prawej miasto.

Kleo weszła do kabiny po czador i nikab i pośpiesznie je na siebie narzuciła. Kiedy znów się ukazała na zewnątrz, Quin mocował do masztu kawałek płótna. Na jej widok wypuścił go z rąk.

- Ściągnij to i załóż europejski strój.

- Nie, będzie bezpieczniej...

- Rób, co mówię, bo inaczej sam cię przebiorę. - Odwrócił się i szarpnął za linkę, wciągając płótno na maszt. Kleo zobaczyła wzór czerwonych i białych krzyży na niebieskim tle. Na drugiej feluce marynarze wieszali identyczną flagę.

- Co robisz? - Kleo stanęła jak wryta i gapiła się na prymitywnie naszyty wzór. - Przecież to angielska flaga.

- Chcesz, żeby Brytyjczycy do ciebie strzelali?

Popatrzyła na brzeg pełen nieznanym jej czerwonych mundurów, tłum mężczyzn i gromadę wielbłądów, szeregi namiotów i flagi.

- To są wojska brytyjskie? - wydukała.

Quin wepchnął ją do kabiny.

- Rób, co powiedziałem, przebieraj się. Chcę, by widzieli, że na pokładzie jest Europejka.

- Ale... Brytyjczycy? Skąd wiedziałeś? Laurent nie wiedział.

- Wiedziałem przez cały czas - odparł Quin, rozglądając się po brzegu. - Przybyłem razem z nimi w marcu.

- Wiedziałeś? Zdradziłeś nas!

- Czyżby? - zapytał spokojnie. - Jesteś Angielką, twój ojciec jest Anglikiem. Dlaczego uważasz sprowadzenie was z wrogiego terytorium do naszego wojska za zdradę?

Nie umiała na to odpowiedzieć; mogła mu zarzucać jedynie, że zataił przed nią prawdę.

- Ale Laurent...

- Laurent jest żołnierzem, a toczy się wojna. Więc jak, przebierzesz się w końcu czy mam ci pomóc?

- Nie! - Usiadła skulona na łóżku i próbowała zebrać myśli. Dlaczego Quin jej nie powiedział, że brytyjskie wojska oblegają Kair? Użył określenia „nasze wojska”. Zatem nie był Amerykaninem. Był Brytyjczykiem i od samego początku ją okłamywał.

Ściągnęła z siebie czador i uniosła nieco zasłonę, wpuszczając trochę światła niezbędnego w poszukiwaniu muślinowej sukni, której nie miała na sobie od czasu ślubu. Znalazła ją w końcu, mocno wymiętą, i włożyła na siebie, a potem przytroczyła do nogi nóż w pochwie. Czuła się dziwnie w takim stroju, ale nie chciała, żeby Quin jej dotykał albo, co gorsza, odkrył schowany nóż.

Zbliżali się już do nabrzeża w Kairze, kiedy znów wyszła na pokład. Tu także rościło się od żołnierzy. Nagle gdzieś z tyłu za nimi wybuchła strzelanina.

- Laurent! - Kleo wychyliła się z łodzi, żeby lepiej widzieć, ale Quin zaraz kazał

jej się cofnął i sam wskoczył na burtę.

- Cholerny głupiec. - Osłonił oczy przed słońcem. - Musi wiedzieć, że nie uda mu się zawrócić berek ani się wymknąć tak licznym siłom wroga. O, teraz poszedł po rozum do głowy, poddają się, któryś z nich macha koszulą.

- Pełnił swoją powinność - usiłowała bronić kapitana Kleo. - Co ich teraz czeka?

- Będą jeńcami. Znacznie bezpieczniej dać się pojmać tutaj niż w trawionym zarażą, obleżonym mieście, możesz mi wierzyć.

- Okłamywałeś mnie.

- Tylko w kwestii mojego zawodu. Nie jestem inżynierem. Owszem, tu cię oszukałem. Stosowałem grę słów, to prawda. Zapytałem cię, czybyś mi uwierzyła, gdybym powiedział, że jestem Amerykaninem, ale nigdy nie twierdziłem, że nim jestem.

- Podejrzewałam, że jesteś szpiegiem - wyrzuciła z siebie Kleo. Usiadła w takim miejscu, żeby widzieć jego twarz; miała nadzieję, że rozpozna kłamstwo, gdyby znów jakimś chciał ją uraczyć. - Uważałam, że powinnam o tym powiedzieć Laurentowi.

- Więc czemu tego nie zrobiłaś? - Przyjrzał jej się z dziwnie napiętą twarzą.

- Bobby cię torturował. Moje sumienie by tego nie zniosło.

- Wielkie dzięki. Nie jestem szpiegiem. Raczej agentem albo kurierem przysłanym po dwie osoby. - Odwrócił się, żeby wydać załodze instrukcje po arabsku. - Dopywamy do celu. Zacumujcie przy zachodnim brzegu.

- Miałeś nas stąd zabrać? Ojca i mnie? Ale dlaczego?

- Nie wiesz? - Quin uniósł pytająco brew. - Nie, chyba rzeczywiście nie wiesz.

- Uratowałam ci życie.

- Owszem - przyznał Quin. - Dwukrotnie, jeśli liczyć rezygnację z oddania mnie w ręce Laurenta. Jestem ci bardzo wdzięczny, ale nie tylko żołnierze muszą wypełniać swoje obowiązki.

- Co tu się, u diabła, dzieje? Proszę natychmiast zawrócić do Kairu! - dobiegło z drugiej feluki.

- A pan niech się uspokoi, sir Philipie - odpowiedział Quin takim tonem, że Kleo miała ochotę wypchnąć go za burtę. - Płyniemy z prądem do głównej bazy brytyjskiej. Tam jest o wiele bezpieczniej.

- Brytyjskiej! A co się stało z Francuzami? - zdziwił się sir Philip. - Co z moją korespondencją?

- Boże, daj mi siły - mruknął Quin, następnie oznajmił podniesionym głosem: - Jesteśmy w środku wojny, sir. Według mnie mamy poważniejsze zmartwienia niż kilka listów. Na przykład bezpieczeństwo pańskiej córki.

- Akurat cię ono obchodzi - powiedziała Kleo z goryczą. Quin, jakby jej nie słyszał, zaczął pomagać marynarzom w opuszczaniu żagla. Zmierzali w stronę brzegu, na którym ciągnęły się rzędy schludnie rozstawionych namiotów, a wokół niewielu glinianych budynków wyraźnie coś się działo.

- Zatrzymaj - rzucił Quin do sternika, gdy kilku żołnierzy z gotowymi do strzału muszkietami ustawiło się wzdłuż nabrzeża. Pomachał do nich, a potem przykładając do ust zwinięte dłonie, zawołał:

- Lord Quintus Deverall z osobami towarzyszącymi. Sir James Houghton nas oczekuje.

Lord Quintus? Jest lordem?

Kleo wpatrywała się w Quina z niedowierzaniem. Uważałam go za nieślubnego syna jakiegoś amerykańskiego obszarnika, a tu, proszę, posiada tytuł. Ile z tego, co mi mówił, może być prawdą? Czy w ogóle mogę mu wierzyć? – kołatały się w jej głowie pytania.

Na przystani pojawił się niższej rangi oficer.

– Milordzie! Sir James wyraża swe uznanie. Prosi, żeby pan przybił do nabrzeża i wysiadł na brzeg.

– Lepiej spakuj swoje rzeczy – zwrócił się Quin do Kleo. – Bo chyba nie chcesz, żeby żołnierze zrobili to za ciebie.

– Cóż za wzruszająca troska. – Przełknął jej uszczypliwość bez jednego mrugnięcia.

Potrzebowała zaledwie kilku minut, by zapakować wszystko, co trzeba. Więcej czasu zajęło jej opanowanie łez złości... i strachu. Quin namówił ją, żeby mu zaufała. Dał jej nadzieję, a teraz znalazła się w sytuacji, której nie rozumiała i nad którą zupełnie nie miała kontroli.

Zaufanie okazało się głupotą. Przecież wiedziała, że na mężczyznach tylko w jednej sprawie można polegać – że będą się kierować wyłącznie swoimi korzyściami i dążyć do zaspokojenia swoich pragnień. Lubiła Quina, pragnęła go, omal nie polubiła go za bardzo. Zamrugła, aby powstrzymać łzy. Nie płakała, kiedy wyszło na jaw, jak mało Thierry'emu na niej zależy, nie płakała po śmierci matki, choć często czuła się bardzo zmęczona i schwyтана w pułapkę, i nie zamierzała teraz zacząć płakać.

Łódź delikatnie uderzyła o pomost; Kleo, w chustce narzuconej luźno na włosy, wyszła z kabiny z bagażami w rękach. Widząc ją w takim stroju, Quin uniósł brew w zdumieniu, ale minęła go bez słowa. Podała dłoń młodemu oficerowi, który podbiegł, żeby jej pomóc, i pozwoliła mu się wyprowadzić na brzeg. Po miesiącach noszenia arabskiego stroju Kleo czuła się dość nieswojo z gołą głową i w sukni z krótkim rękawkiem.

– Panno Woodward, witamy serdecznie. Mamy...

– *Madame Valsac* – przerwała mu Kleo.

– No tak, rzeczywiście... Jeśli pani zechce pójść tędy, zaprowadzę panią do kwatery. – Rozejrzał się niepewnie. – A pani pokojówka?

– Nie mam pokojówki – wyjaśniła Kleo. Ustawiła torby podróżne u jego stóp i uśmiechnęła się w taki sposób, że aż zrobił krok do tyłu.

– Jenkins! Zabierz pani bagaże. Proszę tędy.

Poszła za oficerem. Pomieszczenia, które jej pokazał, były skromnie urządzone, ale czyste. W jednym znajdowało się łóżko, krzesło, niewielki stół i lampa, w drugim umywalnia i wiaderko z przykrywką. Oba miały bardzo małe okna, żeby się nie nagrzewały od panującego na zewnątrz żaru, i wychodziły na zacienioną werandę, na której stał wartownik.

– Zapewne jest pani przyzwyczajona do większego komfortu, *madame* – odezwał się przepaszająco jej przewodnik.

Kleo zrobiło się go żal, ostatecznie nie ponosił za nic winy.

– Będzie mi tu bardzo wygodnie... – zawiesiła głos pytająco.

- Chorąży Lloyd, proszę pani - przedstawił się szybko. - Znajdę w obozie jakąś kobietę, żeby się panią zaopiekowała. Jedną z tych porządnych - dodał, a jego twarz przybrała jeszcze ciemniejszy odcień pąsu.

- Dziękuję. - Kleo wyszła na zewnątrz. - Pójdę teraz do mojego ojca.

- Lepiej będzie, jak pani tu zostanie, *madame*. - Może i był skrepowany, ale całą postawą dawał do zrozumienia, że zamierza sumiennie wykonywać swoje obowiązki.

Kleo zrobiła krok w stronę wyjścia z werandy. Wartownik natychmiast okazał czujność.

- Czyżbym była więźniem, panie chorąży?

- Chodzi o pani bezpieczeństwo, *madame*. To jest obóz wojskowy, nieodpowiednie miejsce dla damy.

- Jestem wdową po oficerze, panie chorąży. Nie po raz pierwszy widzę wojskowy obóz.

- Muszę wykonywać rozkazy, *madame*. - Zasalutował i odszedł, nie kryjąc ulgi, że się z nią rozstaje.

- A pan jak się nazywa? - zwróciła się Kleo do wartownika.

- Jestem szeregowy Minton, proszę pani.

- Spędziłam wiele dni na kołyszającej łodzi, szeregowy. Zamierzam iść na spacer. - Gdzie jest ojciec? Gdzie jest ten kłamliwy, zdradziecki Quin Bredon, czy jak go tam zwą?

- Nie, *madame*. - Minton, w przeciwieństwie do Lloyda, wcale się nie przejmował, że musi stawić czoło poirytowanej kobiecie.

- Niby co pan robi, żeby mnie powstrzymać, szeregowy? Zastrzeli mnie pan?

- Chwyć panią, zaprowadzę z powrotem do pokoju i zamknę na klucz, za przeproszeniem, proszę pani.

Kleo wróciła do pokoju i usiadła na łóżku. Nie mogła mieć pretensji do szeregowego. W końcu wykonywał tylko rozkazy. Doszła do wniosku, że właściwie może się rozpakować i jakoś tymczasowo urządzić. Miała trzy sztuki bagażu. Dwie zawierały ubrania, a w trzeciej znajdowały się przybory do szycia, apteczka, przedmioty związane z utrzymywaniem higieny, dwie książki, notatnik, akt ślubu i kilka złotych ozdób. Cały skromny dobytek osoby prowadzącej proste życie.

Gdy tylko zaczęła wyjmować swoje rzeczy, zorientowała się, że zostały przeszukane. Torby z ubraniami również. Po latach wędrownego życia nabrała wielkiej wprawy w pakowaniu i robiła to metodycznie. Zawsze starannie składała czyste części garderoby, rolowała wstążki i paski, buty układała tak, że jeden dotykał czubkiem obcasa drugiego. Zmiany w ułożeniu były nieznaczne, ale oczywiste, mimo że ktoś się bardzo starał być dokładny. Książki leżały zwrócone do siebie grzbietami, choć ona zawsze układała je odwrotnie. W notatniku dostrzegła zagięcie na liście produktów potrzebnych do zrobienia *bamieh* i lekkie zabrudzenie, choć strona była nieskazitelna, kiedy chowała notatnik do torby.

To nie złodziej grzebał w jej rzeczach. Medalion po mamie, kolczyki z perłami otrzymane od Thierry'ego w prezencie ślubnym i grecka złota bransoletka, którą dostała na czternaste urodziny, nie zginęły. O co więc mogło chodzić?

Wytrzepała ubrania i rozwiesiła je na kołkach przymocowanych do ściany, po

czym ułożyła osobiste drobiazgi w jednej z opróżnionych toreb. Zauważyła, że wyściółka torby jest naruszona: widać Quin... lord Quintus szukał czegoś małego, co można wsunąć między skórzane dno a warstwę płótna. Dokumenty? Przecież niczego takiego nie miała.

Kleo zamknęła oczy i przywołała w pamięci widok Quina stojącego przy ośle tamtego dnia w obozie francuskich żołnierzy; miał pochyloną głowę, jakby odpoczywał. Albo czytał. Przypomniała sobie, że pakiet listów ojca wyglądał tak, jakby ktoś je przewertował... Tak, Quin szukał papierów, co oznaczało, że nie trafił do nich przypadkiem. Rzeczywiście spotkał bandę Beduinów, w to nie wątpiła. Nikt nie był aż tak głupi, żeby samemu się zranić, doprowadzić do poważnego odwodnienia i udaru słonecznego tylko dla zachowania pozorów.

Jak się przedstawiał jego pierwotny plan? Pewnie miał zawitać do nich na wielbłądzie, może z jakimiś instrumentami pomiarowymi. Zostałby miło powitany, jako że nie odmawia się gościny obcemu na pustyni, a potem znalazłby jakiś powód, żeby zostać dłużej i na koniec spławić ich rzeką prosto w pułapkę.

- Ty przebiegły diable... - wymruczała pod nosem. Tylko dlaczego angielski lord narażał się na niebezpieczeństwo i niewygodę podróżowania przez cały kraj, żeby pojmać naukowca i jego nieodgrywającą żadnej ważnej roli córkę?

Nie spodoba ci się odpowiedź na to pytanie, kiedy już ją odkryjesz, Kleo Woodward. Żałuję, że cię nie zostawiłam umierającego przed moim namiotem, lordzie Quintusie. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, sama bym cię pochowała na pustyni, dobrze udeptując piasek, pomyślała z goryczą. Za tysiąc lat jakiś uczony odkopałby twoje kości i próbował zrozumieć, co cię tam przywiodło. Może powinienam cię zakopać razem z tabliczką, która by to wyjaśniała. Kłamałeś, zdradziłeś. Złamałeś mi serce.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Pani Valsac?

Stojąca w progu kobieta była Angielką, Kleo poznała to od razu po jasnej cerze obsypanej piegami od słońca.

- Tak, jestem *madame* Valsac. Przysłał panią chorąży Lloyd? - Zmusiła się do uśmiechu, który kobieta natychmiast odwzajemniła.

- A jakże, on. Boże, jak ten chłopak się czerwieni! - Rozejrzała się szybko po pokoju, na moment zatrzymując wzrok na nielicznych rzeczach rozłożonych na łóżku.

- Powiedział, że nie ma pani ze sobą pokojówki.

- W istocie nie mam. - I nigdy nie miała, nawet nie wiedziała, do czego dokładnie miałyby jej służyć, jednak ta wesółą kobietą zupełnie nie odpowiadała jej wyobrażeniom o pokojówce towarzyszącej damie w podróży. - Obawiam się, że nie mam pieniędzy, żeby pani płacić.

- Nie szkodzi, pan Lloyd mówił, że sir James zapłaci.

- Proszę wejść. Jak się pani nazywa?

- Maggie Tomkins, proszę pani. To prawda, że była pani zamężna... z Francuzem?

Kleo pomyślała, że żona brytyjskiego żołnierza może nie chcieć usługiwać wdowie po oficerze wrogiej armii.

- Owszem. To pani przeszkadza? Czy może pani mężowi się nie spodoba?

- Mnie nie przeszkadza, a mój mąż zginął trzy miesiące temu na statku transportowym, Panie świeć nad jego duszą.

- Och, tak mi przykro, pani Tomkins. Długo byliście małżeństwem?

- Proszę mi mówić po imieniu, jak wszyscy. Jestem Maggie. A małżeństwem byliśmy tylko parę miesięcy. Był moim trzecim mężem.

Mówiła o swych doświadczeniach z niepokojącą obojętnością; najwyraźniej ślub z żołnierzem nie zawsze wynikał z namiętnego uczucia.

- Dziękuję, chętnie skorzystam z pomocy. Możesz mi powiedzieć, kim jest sir James?

Maggie wzruszyła ramionami.

- Nie jest żołnierzem, więc musi być dyplomatą. Nie nosi munduru, ale jak czegoś chce, wszyscy stają na baczność. Ludzie mówią, że przyjechał tu prowadzić negocjacje, kiedy Francuzi już się poddadzą. Oby z tym nie zwlekali, bo mam już serdecznie dość siedzenia w kurzu i skwarze.

- Masz dzieci? - spytała Kleo, pełna współczucia dla kobiety, która podobnie jak ona musiała się tułać po świecie z powodu mężczyzn i radzić sobie w prymitywnych obozowych warunkach.

- Mam chłopca z pierwszym mężem. - Twarz Maggie złagodniała. - Został w Chatham z rodzicami swojego taty, uczy się, żeby być szewcem, jak jego dziadek. Dzięki temu na szczęście nie pójdzie do wojska. Przyniosę pani trochę ciepłej wody, a w porze obiadu coś do jedzenia z oficerskiej kantyny.

Kleo podziękowała jej z uśmiechem, a kiedy Maggie wyszła, usiadła na łóżku. Nie miała co robić ani na co patrzeć: za oknem rozciągał się piaszczysty plac wydeptany przez musztrowanych żołnierzy, a dalej linia odwróconych tyłem namiotów i kilka palm. Z oddali dobiegał stłumiony odgłos strzałów. Bliżej słyszała okrzyki rozkazów, stukanie garnków w kuchni i chrzęst piasku pod butami wartownika.

Z braku lepszych zajęć zaczęła układać przemowę do lorda Quintusa... kiedy już starczy mu odwagi, żeby się pokazać. Dotknęła noża przytwierdzonego do łydki. Szeregowy Minton wykonywał jedynie rozkaz, zamykając ją w tym pokoju, z pewnością nie zasługiwał na cios. Potrafiła sobie jednak wyobrazić, że wbija ostrze w szeroką pierś Quina.

Quin jednak się nie zjawiał. Po mniej więcej półgodzinie, kiedy Kleo już zamierzała wstać z łóżka, Maggie przyniosła gorącą wodę, ręczniki i mydło.

Godzinę później siedziała nad tacą z obiadem, ustawioną na stoliku, który szeregowiec Drury, zmiennik Mintona, na jej prośbę wyniósł na zewnątrz. Uniosła pokrywkę i zapach jedzenia uświadomił jej, że umiera z głodu. Na kupce gotowanego ryżu spoczywała ćwiartka usmażonego na złoto kurczaka, a obok w gęstym, aromatycznym sosie pływały gotowane warzywa. W drugim naczyniu znalazła budyń z plasterkami owoców.

Delicje. Nie dość, że tak pysznych dań nie jadła od lat, to jeszcze nie musiała ich sama przygotowywać. I nie czekało jej zmywanie po posiłku. Kleo zjadła wszystko, do ostatniego ziarenka ryżu i ostatniej łyżeczki budyniu.

Zabiję Quina Bredona rano, pomyślała, leniwie rozplatając warkocz, gotowa ułożyć się do snu. Teraz nie mam siły złościć się nawet na skorpiona, a co dopiero na jakiegoś nic niewartego mężczyznę...

Maggie obudziła ją, przyniósłszy ciepłą wodę i śniadanie w postaci świeżych bułeczek, chrupiących z wierzchu i cudownie puszystych w środku, dzbanka kawy, jajek oraz miski jogurtu z ziarnami granatu.

- Utyję przez te wszystkie specjały i brak pracy - stwierdziła Kleo, patrząc, jak Maggie wyklada kolejne talerze. - Za dużo tego. Proszę, zjedz ze mną.

Nie musiała jej długo namawiać.

- Ależ to dobre - westchnęła Maggie z uśmiechem, po czym wierzchem dłoni otarła jogurtowe wąsy spod nosa. - Przepraszam panią, ale nie jestem przyzwyczajona do jadania takich pyszności.

- Ja też nie - wyznała Kleo. Mogła być pewna, że dla ludzi pokroju lorda Quintusa, takie menu nadawałoby się co najwyżej na piknik.

Chorąży Lloyd przybył marszowym krokiem, kiedy kończyły się posilać.

- Sir James życzy sobie panią widzieć za pół godziny - oznajmił bardzo oficjalnym tonem.

- A jeśli ja nie mam ochoty go widzieć? - Kleo dopiła kawę i próbowała odgadnąć, co by zrobiła dobrze urodzona dama, otrzymując niepożądane zaproszenie.

- Hm, to nie jest prośba, *madame*.

- Aha, więc jeśli odmówię, weźmie pan mnie pod pachę i zanieś, zgadza się, cho-

raży Lloyd? – Wiedziała, że droczenie się z Bogu ducha winnym żołnierzem nie świadczy najlepiej o jej manierach, ale był jedynym mężczyzną, na którym mogła wyładować swój gniew.

Chorąży Lloyd wyraźnie pobladł, ale wyprostował się przy tym jeszcze bardziej i wytrzymał jej spojrzenie.

– Jeśli będę musiał, *madame*. Z całym szacunkiem.

– Odważny z pana człowiek, panie Lloyd. Nie mówiłam poważnie. Przyjdzie pan po mnie?

– Tak jest, *madame*! – Zasalutował i się oddalił.

– Ach, *madame* Valsac. – Wysoki mężczyzna o pobrużdżonej twarzy i krótko przyciętych siwych włosach wstał, kiedy weszła do pokoju. Chorąży Lloyd zamknął za sobą drzwi i została sam na sam z nieznanym. Zaraz potem rozległo się szuranie krzesła o posadzkę; zaskoczona Kleo odwróciła się w stronę, z której dochodził odgłos, i ujrzała Quina siedzącego w kącie przy stole zasłanym papierami.

– Jestem sir James Houghton z ministerstwa spraw zagranicznych. A to...

– Wiem, kto to jest. – Nie spojrzała na Quina. – A raczej sądziłam, że wiem, ale okazało się, że mnie okłamywał.

– Jestem Quintus Bredon Deverall – przedstawił się Quin. – Obawiam się, że stworzyłem mylne wrażenie, że jestem inżynierem.

Nadal na niego nie patrzyła.

– Jestem pewna, że nie tylko to jedno, lordzie Quintusie. – Naprzeciwko sir Jamesa stało puste krzesło, zajęła je, nie czekając na zachętę ze strony gospodarza. – Gdzie jest mój ojciec?

– Ma się doskonale, a przebywa w innym pomieszczeniu tego budynku. Rozumiem, że zapewniono pani odpowiednią kwaterę i opiekę, *madame*?

– Owszem, odpowiednią dla więźniarki. Dlaczego nas uwięziono? I dlaczego lord Quintus zwabił nas tutaj pod fałszywym pretekstem?

– Mogę panią zapewnić, że groźba spotkania z mamelukami jest jak najbardziej autentyczna. – Jej wrogie nastawienie wyraźnie nie robiło na sir Jamesie najmniejszego wrażenia. – Mimo że po śmierci Murada Beya sprzymierzyli się z Brytyjczykami, nadal stanowią poważne zagrożenie.

– Zatem jego lordowska mość działał z czysto bezinteresownej troski o nasze dobro. Doprawdy wzruszające.

– Nie, *madame*, niezupełnie. Działał z mojego rozkazu, a jego misja miała związek ze zwalczaniem szpiegostwa.

– Szpiegostwa...? – wydukała Kleo z osłupieniem. – Nie znam żadnych szpiegów. Poza jego lordowską mością, ma się rozumieć. – Rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Quina, który pilnie coś zapisywał. – Chociaż teraz wygląda na zwykłego urzędnika. Można się nabrać.

– Jest pani pewna, *madame*?

– Że się nabrałam na kłamstwa lorda Quintusa czy że nie znam, poza nim, żadnego szpiega? Jestem pewna jednego i drugiego, sir Jamesie. Wyszłam za Francuza. Stąd to całe zamieszanie? Zapewniam pana, że nie szpieguję na rzecz Francji... jestem jej winna taką samą lojalność jak Anglii, gdzie zresztą również nigdy nie posta-

ła moja noga. A poza tym, o czym właściwie miałabym donosić? Ile ibisów przelatuje dziennie nad naszym obozowiskiem? O hieroglifach w świątyni Kom Ombo? O tym, ile piasku wymiatam tygodniowo z namiotu?

- Rozumiemy, że pani nie ma do powiedzenia Francuzom nic, co by ich mogło zainteresować.

Cóż za suchy typ. Czy kiedykolwiek okazuje jakieś emocje? - zastanowiła się Kleo. Próbowwała sobie wyobrazić sir Jamesa targanego namiętnością, co trochę jej pomogło opanować rozedrgane nerwy. Na pewno miał chude pośladki.

- Coś panią bawi, *madame*?

- A broń Boże. Zatem skoro nie uważa mnie pan za szpiega, to co... Aha, już rozumiem, uważa pan, że mój ojciec jest szpiegiem. Co za nonsens! Mój ojciec jest angielskim baronetem i naukowcem. Prawdopodobnie jest najnudniejszym człowiekiem na ziemi i nie miałby do powiedzenia waszym wrogom niczego ciekawego. Zasadniczo interesują go wyłącznie hieroglify.

- Jak pani sądzi, dlaczego Francuzi wam pomagali po przybyciu do Kairu? - spytał sir James, jakby w ogóle nie słyszał, co powiedziała.

- Z powodu sawantów. Mój ojciec jest uczonym, a oni, może bardziej spostrzegawczy, a może mniej podejrzliwi od pana, uznali, że może wniesić coś do ich badań.

- Dlatego pomogli wam się przenieść na terytorium przez nich opanowane, zaaranżowali małżeństwo jego córki z francuskim oficerem, a potem zajmowali się przekazywaniem jego korespondencji?

- Owszem... - I nagle zrozumiała: listy. - Więc o to chodzi? O korespondencję mojego ojca. - Podniosła się z krzesła i stanęła naprzeciw Quina, który tylko odchylił się do tyłu. - To dlatego pozamykałeś jego skrzynie na kłódki, kiedy tu przyплыnęliśmy?

Potwierdził skinieniem.

- A ty niczego nie podejrzewałaś?

Kleo oparła się o blat stołu dłońmi zwiniętymi w pięści. Nachyliła się, żeby spojrzeć Quinowi głęboko w oczy.

- Czy podejrzewałam, że coś knujesz? Oczywiście, że tak. I jak głupia nie powiedziałam kapitanowi Laurentowi o swoich podejrzeniach, bo wiedziałam, że będzie cię torturował, a tego bym nie zniosła. I oto jak mi odpłaciłeś.

Quin poczerwieniał na twarzy, ale nie odniósł się do jej zarzutu.

- Podejrzewałaś, że Francuzi wykorzystują korespondencję twojego ojca, żeby przesyłać wiadomości od szpiegów i informatorów rozsianych po całym świecie?

- Dlaczego mieliby sobie zawracać głowę antykwarycznymi wynurzeniami jakiegoś zwariowanego naukowca? - Usiadła i poprawiła wokół stóp wymiętą spódnicę.

- Bo tak właśnie działa wywiad - odpowiedział jej Quin. - Niezliczone drobne szczegóły tworzą jeden wielki obraz. Agenci pisali do twojego ojca z głównych egipskich portów, z Londynu, ze strategicznych części Indii, z całego basenu Morza Śródziemnego. Ich listy nie budziły podejrzeń. Te antykwaryczne wynurzenia, jak je nazwałaś, były naszpikowane zaszyfrowanymi danymi. Francuzi w Kairze rozcinali pieczęcie, czytali listy i dopiero potem oddawali je twojemu ojcu. Ruchy oddziałów, statków, intrygi polityczne, wywiad ekonomiczny. Maleńkie ziarenka piasku przy sprzyjającym wietrze potrafią utworzyć wielką wydnię, która może unicestwić wio-

skę.

- Albo armię lub flotę - dodał sir James.

- I sądzicie, że mój ojciec o tym wiedział? - Zaczynało jej dziwnie szumieć w uszach, palce zdrętwiały jej aż do bólu; opuściwszy wzrok, zobaczyła, że zaciska je kurczowo na fałdach spódnicy.

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć - oznajmił sir James. - Jeśli zawinił jedynie naiwnością, może nam pomóc ustalić, kto pisał szczerze, a kto nie. Mamy całą masę dokumentów do przejrzenia.

- A jeśli nie jest niewinny?

Sir James odpowiedział jej wymownym spojrzeniem, a Kleo po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Pociemniało jej przed oczyma, szum w uszach się nasilił, czuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- Jak na zawołanie - rzekł obojętny głos.

- Obawiam się, że naprawdę zemdlą - odezwał się Quin.

- Nigdy nie mdleję... - Kleo wyciągnęła ręce i uchwyciła się silnych ciepłych dłoni, jakby miały ją uratować przed wpadnięciem w czarną otchłań.

Kleo doszła do wniosku, że wszystko musiało jej się przyśnić. Nigdy nie mdlała, ale leżała w łóżku, więc nie mogło być inaczej. A poza tym zdarzenia układały się w logiczną całość. Listy ojca, opieka Francuzów, działania Quina.

Jaka była najgorsza ewentualność? Że ojciec szpiegował świadomie? Że kupił sobie opiekę Francuzów i możliwość badania swoich ukochanych ruin za cenę zdrady ojczyzny? Wtedy by go zastrzelili.

Mogła mieć nadzieję co najwyżej na to, że Brytyjczycy uwierzą w jego naiwność. Przypuszczała, że w takim wypadku czeka go wstyd i upokorzenie, a krąg jego korespondentów się rozpadnie lub w najlepszym wypadku zmniejszy.

Nie kochała ojca. Wszelkie cieplejsze uczucia do niego wygasły po latach obojętności i emocjonalnego zaniedbywania. Przekonała się z bólem, że jest samolubnym człowiekiem i złamał serce jej matce. Nadal jednak pozostawał jej ojcem i nie opuściłaby go, gdyby nie miała pewności, że ktoś się nim opiekuje. Owszem, od dawna pragnęła odejść, ale z czystym sumieniem. A teraz miała świadomość, że ratując Quina, skazała własnego ojca.

Nie mogła jednak cofnąć czasu, a bezczynne leżenie w łóżku też w niczym nie pomagało. Po szmerach w pobliżu poznała, że ktoś poza nią jest w pokoju.

- Maggie? - Otworzyła oczy i zaraz je zmrużyła przed ostrym słońcem wpadającym przez okno.

Rama łóżka zaskrzypiała, ktoś na nim usiadł za jej plecami. Przetoczyła się na drugi bok.

- To ty. - Quin oczywiście nie mógł zostawić jej w spokoju, musiał ją dalej dręczyć.

- Tak, ja. - Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z czoła. - Jak się czujesz?

Zaplątana w koldrę nie mogła od razu odtrącić jego ręki, musiała się najpierw wyswobodzić. Usiadła na posłaniu.

- Jak się czuję? Jak idiotka. Jak kobieta okłamywana przez mężczyzn, na tyle głupia, by im wierzyć. Jak córka, która nie widziała, co się dzieje tuż pod jej nosem. Jak sentymentalna kobieta, która pragnie dobrze myśleć o mężczyźnie, który się do niej uśmiecha, przytula ją i...

- Przykro mi. Musimy się dowiedzieć, kto był w to zaangażowany, powinnaś nas zrozumieć. I musimy mieć pewność, że byłaś niewinna. - Przyglądał jej się z powagą. W jego głosie słyszała żal.

Chciała mu wierzyć, zaczęła już się zastanawiać, jak mu powiedzieć, że rozumie, dlaczego ją okłamywał i wykorzystał i że na pewno nie przyszło mu łatwo...

- Zrobiłem to dla twojego dobra - dodał Quin.

- Oczekujesz, że w to uwierzę? Akurat, dla mojego dobra! Kwestia mojej winy czy niewinności była ci obojętna, byleś tylko się dowiedział. W przypadku niewinności jest mniejszy kłopot, jak przypuszczam. Do kobiet też strzelacie? Czy raczej zdarzyłyby mi się jakiś nieprzyjemny wypadek?

- Kleo... - zaczął i wyciągnął do niej rękę.

Tym razem natychmiast ją odepchnęła, tak mocno, że aż ją zabolęła.

- Au! - Odruchowo przycisnęła dłoń do piersi.

- Pokaż - poprosił. - Kiedy spojrzała na niego spode łba i nawet nie drgnęła, powtórzył: - Pozwól mi obejrzeć.

Gdy w końcu ustąpiła i podała mu dłoń, zaczął odginać palce, jeden po drugim. Jest delikatny, ale nieprzejednany, pomyślała. Wie, że mnie to boli, ale nie zamierza przestać... Dla mojego dobra.

- Nie ma żadnego złamania. Staraj się nią nie ruszać. - Zaczął owijać nadwerżoną rękę czymś miękkim. Kleo otworzyła oczy i zobaczyła, że ściągnął krawat i użył go jako bandaża.

W rozchylonym kołnierzu koszuli widziała trójkąt brązowej skóry i linię kędzierzawego zarostu, które oglądała codziennie aż do tego dnia. Ba, zdarzyło jej się widzieć go całkiem nagiego! Tymczasem poczuła się dziwnie onieśmielona, jakby ten widok i niespodziewana troskliwość poruszyły w niej czułą strunę.

- Quin. - Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że płacze. Duże, ciepłe łzy kapały na pościel i jego ręce. - Ja nigdy nie płaczę - wydukała bezradnie. Nigdy nie mdleję i nigdy nie płaczę i...

- I nigdy się nie poddajesz, prawda? Chodź tu. - Przysunął się bliżej, oparł plecami o ścianę i wziął Kleo w ramiona. - Powiedziałbym, że masz sporo powodów do płaczu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Spodziewał się oporu, tymczasem Kleo z westchnieniem przywarła do jego piersi i szlochała. Elegancka koszula, pożyczona od sir Jamesa, lepiała mu się do skóry, od niewygodnej pozycji drętwiał mu kręgosłup, a do tego pod głową czuł wystającą nierówność ściany, ale nie śmiał się poruszyć. Wiedział, że Kleo być może nigdy mu nie wybaczy, ale w tym momencie z pewnością bardzo go potrzebowała.

Nie próbował przerwać płaczu, bo uważał, że przyniesie jej ulgę, a poza tym trzymanie Kleo w ramionach sprawiało mu przyjemność. Pochylił głowę i dotknął ustami czubka jej głowy.

Kiedy w końcu ucichła i spojrzała na niego mocno zaczerwienionymi oczyma, bez słowa podał jej chusteczkę.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. - Począł, aż osuszy twarz. - Kleo, wierzymy ci. Rozmawialiśmy z twoim ojcem i jemu też wierzymy. Nie jest aż tak dobrym aktorem.

- Co wam powiedział?

- Jest wściekły, że został oszukany, odbiera to jako osobistą zniewagę. Z naszego punktu widzenia wystarczy, jak przerwie korespondencję.

Kleo wydała z siebie jęk.

- Jakie to do niego podobne! Nie przyszło mu do głowy, co się z nami stanie, jeśli mu nie uwierzycie?

Quin odślonił zęby w uśmiechu. Patrząc na całą sprawę z perspektywy czasu, uznał, że ojciec Kleo jest rozbijająco przewidywalny.

- Jest angielskim baronetem i uznanym naukowcem. Naturalnie był przekonany, że uwierzmy mu na słowo. Pewnie nie przyszło mu do głowy, że może być inaczej. Myślałem, że sir James straci panowanie nad sobą, co nigdy dotąd mu się nie zdarzyło.

- Czy ojciec pytał o mnie? - spytała Kleo z udawaną obojętnością.

- Był mocno zajęty - odparł wymijająco Quin.

- Innymi słowy, nie pytał.

- Kleo...

- Jestem do tego przyzwyczajona - przerwała mu z uśmiechem.

Widział u niej wcześniej ten uśmiech i nie dał się nabrać.

- To w nim tkwi problem, nie w tobie. - Przesunął opuszką palca po jej ustach.

Spodziewał się, że odwróci głowę i odrzuci jego pieśczętę. Tymczasem Kleo zamknęła oczy i rozchyliła usta. Nie potrzebował dalszej zachęty, przywarł do jej warg. Były miękkie, ciepłe i lekko słone od łez.

Miał wrażenie, że od pocałunku w Kom Ombo minęła zaledwie chwila, tak dobrze znajomy wydał mu się jej smak. Bez wahania objęła go zdrową ręką za szyję. To wystarczyło, by zapragnął ją posiąść, bez reszty, natychmiast.

Wydała z siebie gardłowy pomruk, czym wprawiła go w rozbawienie. Była wyma-

gająca i władcza jak kocia bogini Bastet. Przesunął dłonią wzdłuż jej boku, otoczył palcami drobną, jędrną pierś i aż wstrzymał oddech, kiedy brodawka nabrzmiała pod jego dotykiem.

Do licha, co ja robię? – spytał się w duchu. Przecież to Kleo, zdezorientowana i zgnębiona. Już wystarczająco ją skrzywdziłem. Potrzebuje otuchy i ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć, nie mogę tego wykorzystywać.

Przerwał pocałunek i delikatnie ściągnął jej rękę ze swojej szyi.

– Kleo, wybacz, to nie jest dobry pomysł.

Zadarła podbródek, jednocześnie przybierając minę, którą po raz pierwszy widział, kiedy odzyskał przytomność w jej namiocie na pustyni. Niezależnie od tego, jak bardzo niekonwencjonalnie została wychowana, nie miał czego szukać w jej łóżku.

Dżentelmen mógł dążyć do intymności z damą tylko w przypadku, gdy kierowały nim uczciwe zamiary, czyli małżeństwo... o ile nie był zupełnym łajdakiem. A dla Quina ożenek był starannie wykalkulowanym krokiem w rozwoju życiowej kariery. Gdyby miał sporządzić listę dobrze urodzonych kobiet nienadających się na żonę dyplomaty, Kleo Woodward z pewnością by ją otwierała. Co nie znaczy, że księżę St. Osyth choć przez sekundę brałby pod uwagę jego kandydaturę na ewentualnego małżonka dla wnuczki.

– Całkowicie się zgadzam, że to nie jest dobry pomysł – oświadczyła wyniosłym tonem, który jakoś nie pasował do czerwonych oczu i potarganej fryzury. – Okazałeś wielki rozsądek, przerywając tę niestosowną scenę. – Podciągnęła opadające ramiączka koszuli. – Kto mnie rozebrał i położył do łóżka?

– Ja. – Zadanie nie przedstawiało większych trudności. Kleo nie nosiła pończoch ani gorsetu, wystarczyło jedynie ściągnąć z niej suknię i nakryć kołdrą. – Ale nie ma co patrzeć na mnie jak na łajdaka, który dla swej niezdrowej przyjemności obnaża bezbronną kobietę. Zostawiłem cię w koszuli. A ty mnie rozebrałaś całkiem do naga.

Oblała się ciemnym rumieńcem gniewu.

– Musiałam to zrobić w trosce o twoje zdrowie, o czym doskonale wiesz.

Miała rację, ale to nie zmieniało faktu, że on również był na nią zły.

– Może mi łaskawie wyjaśnisz, po co ci nóż przytwierdzony do nogi? – rzucił ostro.

– Miałam nadzieję, że odwrócisz się do mnie plecami – warknęła w odpowiedzi.

– W takim razie muszę uważać, żeby się trzymać plecami przy ścianie przez całą drogę do Anglii – powiedział, wstając. – Nóż leży na stole – dodał już od progu.

– Do Anglii?

– Jeśli nadal chcesz tam pojechać. – Jakbym dawał jej wybór... – pomyślał z poczuciem winy. W tym momencie nie mógł rozmawiać z nią otwarcie, bo przecież by mu odmówiła, podejrzewając, zresztą słusznie, że postanowiono o jej losie bez pytania jej o zdanie. Tak jest dla niej lepiej, przekonywał się. – Aha, sir James byłby rad, gdybyście z sir Philipem zjedli dziś z nim kolację.

Drzwi zamknęły się cicho za Quinem. Podniesione przeciągiem drobinki kurzu zawirowały w smudze światła wpadającego oknem.



Kleo wstała z łóżka i przeszła do umywalni, żeby zamoczyć obolałą rękę w dzbanku z wodą. Dlaczego zamierzyła się na Quina? Nie mogła sobie przypomnieć. Thierry by jej oddał, ale Quin, angielski dżentelmen, tego nie zrobił. Dyplomata. Kłamca, któremu nie mogła ufać.

Ale chyba by nie mówił, że mnie zabierze do Anglii, gdyby nie miał takiego zamiaru? Nic by przez to nie zyskał. Znalazła w apteczce arnikę, zamoczyła w niej chusteczkę, a potem owinęła nią dłoń.

Anglia. Niezależność.

Wyjęła z torby notatnik, usiadła przy stole i próbowała oderwać myśli od mężczyzny o niebieskich oczach, szerokich ramionach i nieodgadnionym umyśle. Musi się znaleźć w Anglii ktoś, kto zechce mnie zatrudnić, pomyślała z nadzieją.

Choraży Lloyd zjawił się, żeby ją zaprowadzić na kolację.

- Szeregowy pełniący wartę przy drzwiach będzie panią eskortował, gdyby pani chciała jutro gdzieś pójść - oznajmił, machając ręką w stronę obozowiska. - Obawiam się jednakowoż, że nie ma tu wiele do oglądania.

- Zatem nie jestem już uwięziona?

- Mieliliśmy na celu jedynie bezpieczeństwo, *madame* - odparł Lloyd, rumieniąc się wyraźnie.

Zaprowadził ją do innej części budynku, w którym tego ranka spotkała sir Jamesa. Weszli do długiego pokoju o ścianach pomalowanych na biało, wyłożonego kolorowymi dywanami. Na stole leżał nieskazitelnie czysty obrus, a dwaj mężczyźni w białych turbanach, spodniach i tunikach układali na nim nakrycia dla sześciu osób.

Kleo wzięła głęboki oddech i starając się nie szukać wzrokiem Quina, weszła do środka.

- *Madame Valsac*. - Sir James podszedł i przywitał się. Za jego plecami dostrzegła Quina oraz dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich nosił mundur. Skłonili jej się uprzejmie. Ojciec, który rozmawiał z tym drugim ubranym po cywilnemu, odwrócił się i kiwnął jej głową z gniewną miną.

Wszyscy panowie byli nienagannie ubrani: oficer miał na sobie galowy mundur, a pozostali fraki, spodnie do kolan i pończochy; ktoś zadał sobie nawet trud, żeby znaleźć taki sam strój dla sir Philipa.

Kleo poczuła się jak pospolita szara kaczka na zgromadzeniu wytwornych kaczołów. Jej suknia prawdopodobnie raziła niemodnym fasonem, na nogach miała wsuwane pantofle bez pięt. Maggie bardzo się starała odpowiednio ją uczesać, ale że żadna z nich nie miała pojęcia o eleganckich fryzurach, mogła mieć co najwyżej nadzieję, że wygląda czysto i schludnie.

Kiedy stawiasz czoło rozbójnikom, patrz im prosto w oczy, poradziła jej kiedyś mama, po nieprzyjemnym spotkaniu na bocznej uliczce w Konstantynopolu. Nigdy nie okazuj strachu. Wyprostowała więc plecy, uniosła brwi i rozciągnęła usta w powściągliwym uśmiechu. Tym razem nic nie zagrażało jej życiu ani torebce z pieniędzmi, mogła uciec co najwyżej dumą. Za nic w świecie nie zamierzała pokazać po sobie, jaki wpływ ma na nią obecność lorda Quintusa Deveralla.

Nikt na jej widok nie skrzywił się z niesmakiem ani nie parsknął śmiechem, ale ostatecznie miała do czynienia z dyplomatami.

- Bardzo się cieszę, że zechciała pani do nas dołączyć - powiedział sir James. Jakby z trudem znalazła na to czas w swoim pełnym atrakcji towarzyskim życiu, pomyślała z ironią. - Lorda Quintusa już pani zna. - Quin przez cały czas zachowywał uprzejmy, lecz nieprzenikniony wyraz twarzy. - Major Grainger jest naszym oficerem łącznikowym, a doktor Kent został przysłany przez rząd, by pomóc w odbieraniu egipskich dzieł sztuki z rąk Francuzów, kiedy już ich zmusimy do kapitulacji. Jestem pewien, że znajdzie wiele wspólnych tematów z pani ojcem. Panowie, oto *madame* Valsac.

- Chyba wolę zostać przy panińskim nazwisku - zdecydowała Kleo. Nie widziała powodu, by zachowywać tę pamiątkę po Thierry, poza tym mogła zakładać, że w Anglii nie należy się obnosić z francuskimi powiązaniem.

- W takim razie panna Woodward. - Panowie raz jeszcze skinęli uprzejmie głowami, na co Kleo odpowiedziała niepewnym dygnięciem. Spojrzała przy tym na wytwornie nakryty stół. Pomyślała, że tak wygląda świat, o którego istnieniu mówiła matka; wyobrażała sobie, że poznanie go i zrozumienie wymaga wiedzy, przy której badanie hieroglifów wydaje się błahostką.

Musiała robić kilka rzeczy naraz, a do tego pilnować, by nienagannie się prezentować i nie okazywać złości Quinowi. Biedna mama niewiele zdążyła ją nauczyć nim zmarła, ale parę wpojonych przez nią zasad utkwilo Kleo w głowie. Nie podnosić głosu, trzymać się prosto, uśmiechać się, ani nieśmiało, ani zbyt otwarcie, nie negocjować zdania tych, z którymi rozmawiasz.

Rozmowa. Musiała prowadzić lekką, niezobowiązującą wymianę zdań z tymi mężczyznami. Tylko o czym? Mama mówiła, że damy nie rozprawiają o polityce, religii, wojnie, pieniądzu... Cóż więc pozostawało, zwłaszcza w czasie oblężenia miasta?

- Żona panu nie towarzyszy, sir Jamesie?

- Nie.

- Bardzo mi przykro, musi pan za nią tęsknić. Choć może tak wymagająca praca trochę pomaga w tych okolicznościach - zaryzykowała.

- Moja żona powiedziała by pani, że praca zawsze służy mi za wymówkę, panno Woodward. - Uśmiechnął się, czego Kleo nie spodziewała się.

- To pańska pierwsza wizyta w Egipcie? Chociaż słowo „wizyta” chyba nie jest tu najbardziej odpowiednie.

- Owszem, pierwsza. - Dłonią w białej rękawiczce ujął Kleo pod łokieć i poprowadził w stronę lokaja trzymającego tacę z kieliszkami. - Szampana, panno Woodward? - Biorąc milczenie za zgodę, podał jej kieliszek. - Obawiam się, że w tutajszych warunkach trudno uzyskać właściwą temperaturę tego trunku. Cóż, uważam Egipt za bardzo interesujące miejsce i cieszy mnie, że mogę używać języka arabskiego.

- Wielu angielskich dyplomatów mówi tym językiem? - spytała Kleo ze szczerym zaciekawieniem. - Spodziewałam się, że to raczej rzadka umiejętność.

- Potrzeba utrzymania otwartych szlaków handlowych na wschód i ciągłe kłopoty z piratami sprawiły, że wielu z nas musiało się go nauczyć. Nie mogę powiedzieć, by ten język należał do najłatwiejszych.

- Ja przyswoiłam go sobie dość wcześnie. Tureckiego uczyłam się jeszcze wcześniej i czuję się w nim mniej pewnie. Ale może po prostu arabskiego musiałam czę-

ściej używać.

- Mówi pani kilkoma językami, panno Woodward? - Major Grainger stanął u jej boku.

- Po francusku, niemiecku, włosku, turecku, grecku i arabsku. Znam też klasyczną grekę i łacinę, oczywiście.

- Mój Boże, prawdziwa z pani uczona, panno Woodward. - Sądząc po tonie, major bynajmniej nie widział powodów do gratulacji.

Kleo upiła łyk szampana i omal się nie zakrztusiła. To miało być smaczne? Przełknęła trunek, starając się nie krzywić.

- Nie, majorze, nie jestem uczoną, tylko praktycznym członkiem rodziny, który musi robić notatki i dokonywać zakupów. Gdybym nie rozumiała starożytnych języków, nie mogłabym pomagać ojcu w pracy. A gdybym nie umiała się porozumieć ze sprzedawcami żywności, umarlibyśmy z głodu.

Podniosła głos i pozwoliła sobie na cierpki ton. Skarciła się od razu w duchu. Wzięła kolejny łyk musującego wina. Tym razem smakowało jakby lepiej, może dlatego że oswoiła się z łaskoczącymi bąbelkami.

Kiedy w kieliszku pokazało się dno, sięgnęła po następny. Pomyślała, że alkohol nie różni się aż tak bardzo od sorbetu.

- Pogoda wydaje się całkiem znośna - zauważył sir James. - Oczywiście jest gorąco, ale nie aż tak, jak się obawiałem.

Kiedy inne tematy zawiodą, skup się na pogodzie, radziła mama.

- To normalne o tej porze roku - podchwyciła Kleo. - Z czasem upał przybierze na sile, a wraz z nim będzie się szerzyć zaraza.

- Podano obiad, sir Jamesie.

Czy jej się tylko wydawało, czy wszyscy mieli miny, jakby im ulżyło? Major i sir James mogli przestać zabawiać ją rozmową, a Quin i doktor Kent zwiertzyli szansę ucieczki przed perorą sir Philipa na temat starożytnych zabytków.

Sir James zajął miejsce u szczytu stołu i wskazał Kleo krzesło po swojej prawej stronie. Quin zasiadł naprzeciwko sir Jamesa, z sir Philipem po prawej, major wylądował obok Kleo, a doktor Kent naprzeciw niej.

Jakoś udało jej się przeżyć bez większych kłopotów trzy pierwsze dania, choć musiała przyznać, że po kolejnych dwóch kieliszkach wina poczuła się nieco swobodniej. Odkryła ponadto, że alkohol znacząco ułatwia prowadzenie rozmowy. Poczowała nawet coś w rodzaju sympatii do majora i jednocześnie przestała się martwić, że powie coś niewłaściwego. Ostatecznie jakież to miało znaczenie, co sobie o niej pomyślą?

Doktor wespół z Quinem zdołali parę razy odebrać głos sir Philipowi, co świadczyło o ich niepoślednich talentach dyplomatycznych, a Quin żadnym spojrzeniem ani słowem nie ujawnił, że tego popołudnia zaszło między nim i Kleo coś niestosownego.

Wiedziała, że powinna czuć z tego powodu ulgę, mimo że po opuszczeniu Kairu miała już nigdy nie zobaczyć pozostałych obecnych na kolacji mężczyzn. Zaczęło ją ogarniać przyjemne wrażenie unoszenia się w powietrzu, wszystko wokół wydawało się coraz bardziej nierealne... i coraz bardziej jej się podobało.

- Dlaczego ciągle dotykasz czoła? - spytał ją szeptem Quin.

- A ty dlaczego mnie śledzisz? - odparowała.

- Nie śledzę. Podszedłem do ciebie, okrążając stół z otwartością kawaleryjskiej szarży.

- Sprawdzam, czy przypadkiem nie mam gorączki, skoro już musisz wiedzieć. Bo trochę... kręci mi się w głowie.

Quin ujął w dwa palce jej nadgarstek i sprawdził puls.

- Nie masz gorączki, tylko jesteś wstawiona, Kleo.

- Wstawiona? - wyrzuciła z siebie donośnym szeptem. Pozostali mężczyźni rozmawiali między sobą; przypomniawszy sobie, że panie po kolacji na ogół wychodzą, umożliwiając panom swobodny odpoczynek przy drinku.

- Wstawiona, czyli na rauszu. Nigdy wcześniej nie piłaś wina? - Uśmiechał się, ale w wyrazie jego twarzy nie dostrzegła drwiny ani potępienia. Wziął ją pod rękę, na co w proteście potrząsnęła głową... i natychmiast tego pożałowała.

- Chyba czas, żebym panią odprowadził do domu, panno Woodward. Musi pani być wyczerpana po wydarzeniach ostatnich paru dni - powiedział głośno, prowadząc ją ku drzwiom. - Sir Jamesie, panowie. Sądzę, że panna Woodward powinna już odpocząć, a że nie ma z nami innych dam, które mogłyby jej towarzyszyć, sam przeprowadzę ją przez obóz.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kleo udało się pożegnać z towarzystwem i nie popełnić przy tym żadnej poważniejszej gafy.

- Stan upojenia jest bardzo dziwny - stwierdziła, uczepiona ramienia Quina, który odprowadzał ją do kwatery. - Czuję się, jakbym płynęła. To nawet dość przyjemne.

- Rano będzie cię strasznie boleć głowa - ostrzegł. - Koniecznie wypij coś, zanim pójdziesz spać. To ci pomoże. I zjedz porządne śniadanie, nawet jak nie będziesz mieć na nie ochoty.

Kleo zatrzymała się gwałtownie.

- Jesteś dla mnie bardzo miły, lordzie Quintusie. Nie rozumiem dlaczego. - Przyjrzała mu się spod na wpół opuszczonych powiek. W świetle księżyca jego włosy miały srebrzysty połysk, a rysy przypominały surową, lecz piękną maskę.

- Bo cię lubię, panno Woodward. Kłopotów z tobą co niemiara, zrozumieć cię nie sposób, ale masz odwagę, rozum i *je ne sais quoi*.

- W takim razie przykro mi, że cię dziś uderzyłam - wyznała w nagłym przypiływie wielkoduszności. - Ręka dalej ci dokucza? Może powinnam ją... pocałować, żeby nie bolała. - To bardzo miłe z twojej strony, ale obawiam się, że moglibyśmy zszokować strażników. - Quin ruszył, delikatnie pociągając ją za sobą. - Już prawie jesteśmy na miejscu.

Szeregowy Minton, stając na baczność, tak głośno stuknął obcasami, że Kleo aż się wzdrygnęła.

- Jutro porozmawiamy o wyjeździe na wybrzeże, żeby wsiąść na statek do Anglii - powiedział Quin, kiedy już stali przed drzwiami. - Szeregowy, możecie obejść budynek dookoła i sprawdzić, czy wszystkie okiennice są pozamykane? - Poczekał, aż żołnierz się oddali, nim ponownie zwrócił się do Kleo. - Niepotrzebna nam publiczność. - Pochylił głowę, kiedy mówił, czuła jego oddech na twarzy. - Dobrej nocy, Kleo. Słodkich snów.

Pocałunek był lekki jak muśnięcie i doskonale odmierzony w czasie. Kiedy szeregowy Minton znów wyłonił się zza węgła, Quin stał już dobre pół metra od Kleo. - Dobrej nocy, panno Woodward. Dobrej nocy, szeregowy.

- Tak jest!

Minton rzucił się, żeby otworzyć przed nią drzwi. Podziękowała mu, weszła do środka na dziwnie miękkich nogach i opadła na łóżko.

Od wina albo od pocałunku Quina, a może od jednego i drugiego, pokój wirował jej przed oczyma. Zamknięcie oczu bynajmniej nie pomogło. Po omacku chwyciła kubek z wodą stojący przy łóżku i opróżniła go jednym haustem. Budziło się w niej podejrzenie, że rano będzie gorzko żałować paru rzeczy.

- Nie będę teraz o nich myśleć - powiedziała na głos. Ani o nim, dodała w duchu.

- Pewnie ucieszy pana wiadomość, że pański bankier w Aleksandrii przetrwał bez

szwanku wszystkie zawirowania - oznajmił sir James, przesuwając po blacie biurka stertę papierów.

- Zawirowania? - Sir Philip wyraźnie nie rozumiał, o co mu chodzi.

Quin westchnął, po czym zaczął cierpliwie wyjaśniać:

- Okupację francuską, przybycie Brytyjczyków, kilka bitew stoczonych w najbliższej okolicy, zarazę, oddziały tureckie...

- A, to...

- Przekazał na moje ręce ostatnią transzę funduszu, o który pan się zwrócił kilka miesięcy temu. Oto pokwitowanie. - Podał sir Philipowi niewielki kwit. - Rozumiem, że musi pan wynająć asystentów i kogoś do prowadzenia domu. Doktor Kent znajdzie dla pana jakieś lokum w Kairze, kiedy tylko przejmie administrację. Do tego czasu może pan, oczywiście, mieszkać tutaj. Zakładam, że udzieli pan panie Woodward pełnomocnictwa, żeby mogła korzystać z pieniędzy w czasie pobytu w Aleksandrii.

- Po co jej pieniądze?

- Na ubranie, bagaż, rzeczy niezbędne podczas morskiej podróży, przedmioty osobistego użytku, wynajęcie pokojówki. Panna Woodward będzie też potrzebowała dostępu do pieniędzy w Londynie, żeby się urządzić, kiedy już tam dotrze - rzekł szorstkim tonem Quin.

- To wszystko zbytki - zaprotestował jej ojciec. - Nie śpię na pieniądzach. Jestem ubogim człowiekiem.

- Doprawdy? Pański bankier w Aleksandrii był na tyle niedyskretny, by napomknąć o znaczącym przyroście pańskiego dochodu z funduszu powierniczego, sir Philipie.

- Fundusz powierniczy. - Kleo zacisnęła dłonie w pięści, starając się opanować ich drżenie. - Przez cały czas miałeś pieniądze, podczas gdy mama zaharowywała się, próbując związać koniec z końcem, a ja oszczędzałam dosłownie na wszystkim.

- Cioteczna babka zostawiła mi jakieś marne grosze. - Sir Philip wyduł usta jak mały chłopiec przyłapany na brzydkim uczynku.

- Bankier dał mi wyciąg z rachunku, żebym go panu przekazał - odezwał się sir James. Zachowywał kamienny wyraz twarzy, jednak Kleo odnosiła wrażenie, że bawi go zakłopotanie jej ojca.

- Dzięki. - Wzięła od niego zapieczętowaną kopertę, zanim ojciec zdążył po nią sięgnąć. Szybko złamała woskową pieczęć i rozpostarła pojedynczy arkusz papieru. Rzędy cyfr zatańczyły jej przed oczyma.

- Ponad tysiąc funtów szterlingów.

- Suma przyrastała powoli - mruknął ojciec.

- Mogliśmy wezwać do mamy lekarza. Dobrego lekarza. I mieć dom, ze służbą, ty samolubny człowieku. - Jeszcze raz przyjrzała się liczbom. - Chcę połowę tych pieniędzy. Zarobiłam je.

- To nedorzeczne. Jesteś kobietą, nie masz pojęcia...

- Obawiam się, że znalezienie kluczy do pańskich skrzyń może napotkać ogromne trudności, sir Philipie - przerwał mu Quin. - Co więcej, może się okazać, że skrzynie zostały omyłkowo wysłane dalej. Obawiam się też, że mogę sobie nie przypomnieć, gdzie są, dopóki nie przestanę się martwić finansowymi potrzebami panny Wo-

odward, skądinąd całkiem zasadnymi.

- To szantaż!

- Ależ nie, lord Quintus ma za sobą ciężkie przeżycia, a niestety w takich sytuacjach zdarzają się zaniki pamięci - powiedział z udawaną troską sir James. - Jestem jednak dobrej myśli, że przypomni sobie, co trzeba. Z czasem.

- Mogę coś zaproponować? - Quin wręczył rozjuszonemu baronetowi przygotowany wcześniej dokument. - Wystarczy dodać datę i podpis. Jak pan widzi jest to zlecenie wypłacenia odpowiedniej sumy pannie Woodward oraz przesłania funduszy do jej dyspozycji w londyńskim banku. Och, czuję, że pamięć zaczyna mi wracać - dodał, kiedy sir Philip złożył zamaszty podpis na dokumencie. - Proszę, oto klucze.

- Quin, jesteś cudowny! - Kleo poderwała się z miejsca, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. - Dziękuję.

Dopiero w następnej sekundzie w pełni do niej dotarło, co zrobiła. Czyżby resztki alkoholowych oparów i poczucie ulgi związane z pieniędzmi tak ją oszołomiły? Przecież chodziło o lorda Quintusa, człowieka, który ją okłamał i zdradził!

Zaskoczony Quin sztywno wyswobodził się z jej objęć.

- Pani entuzjazm jest doprawdy czarujący, panno Woodward - rzekł tonem chłodnej uprzejmości. - Jednak żadne podziękowania nie są konieczne. Skoro załatwiliśmy już sprawę finansów, będzie pani gotowa wyruszyć do Aleksandrii jutro zaraz z rana? Zastanawiam się, czy kobieta przydzielona pani do pomocy w codziennych czynnościach zgodzi się pani towarzyszyć do czasu, aż znajdzie pani odpowiednią pokojówkę i wsiądziemy na statek.

Kiedyś, nie tak dawno, Kleo umiała trzymać emocje na wodzy. A potem w jej życie wkroczył Quin i cała ta z trudem przyswojona umiejętność jakby przepadła bez śladu.

- Oczywiście, że będę gotowa - odparła z dumnie uniesioną głową, starając się zachować resztki godności. - Zaraz sama zapytam o to Maggie. Dziękuję, panowie. - Rezygnując z dygnięcia, tylko skinęła głową, wzięła podpisany przez ojca dokument i ruszyła do wyjścia.

Quin wyprzedził ją szybko, by otworzyć drzwi.

- Znajdę odpowiednią łódź, wygodniejszą niż tamta mała feluka - obiecał.

- Świetnie. Dziękuję, lordzie Quintusie. - Wyszła na prażące słońce, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dojdzie do siebie po ośmieszającej scenie, jaką było publiczne rzucenie się na mężczyznę, który wcale sobie nie życzył jej wylewności.

Następnego dnia znów miała stawić Quinowi czoło, a potem spędzi z nim w podróży długie tygodnie. Mogła zakładać, że będzie wobec niej uprzedzająco grzeczny, będzie udawał, że nic się nie stało. Że nie było żadnych pocałunków, a ona nie zrobiła z siebie idiotki.

Kiedyś wierzyła, że do szczęścia wystarczy jej uwolnienie się od ojca i niezależność. Teraz wiedziała, jaka była naiwna.

Po trzech dniach morskiej podróży świeżość chłodnej bryzy i brak kurzu nadal zachwycały i sprawiały wielką przyjemność. Quin wciągnął powietrze głęboko do płuc, oparł się o reling i obserwował stado delfinów dokazujących na falach wokół dzioba „Dorabelli”.

Statek handlowy zmierzający z Lewantu do Londynu szybko zbliżał się do Sycylii, żeby zawinąć do przyjaznego portu w Syrakuzach. Mieli do wyboru kilka statków, ale wybrali właśnie ten ze względu na dogodną trasę, solidne uzbrojenie i osobę kapitana, który według Quina dobrze się znał na swojej sztuce. Niemal równie ważna jak działa i sprawna nawigacja była płynąca nim pasażerka, żona londyńskiego kupca, madame da Sota.

Madame da Sota uchodziła za postać nieco ekscentryczną, lecz równocześnie życzliwą i godną szacunku. Z radością zgodziła się odgrywać rolę przyzwoitki panny Woodward i zaoferowała jej koję w swojej kabynie. Jej własna pokojówka została ulokowana razem z Maggie.

Maggie Tomkins także w pojęciu Quina zasłużyła na jego wdzięczność. Kiedy zaproponowali jej, by towarzyszyła Kleo do Aleksandrii, sama poprosiła o możliwość wyjazdu do Anglii, tłumacząc, że dotychczasowe życie całkiem jej obrzydło i chce wrócić do syna. Quin z głębokim westchnieniem ulgi powierzył Kleo opiece obu kobiet, a sam kiedy tylko to było możliwe, starał się trzymać jak najdalej od nich.

W dniu, kiedy wypływali do Aleksandrii wynajętą przez Quina wielką feluką, sir James wziął go na rozmowę. Quin sam dobrze się orientował w sytuacji, nie potrzebował dodatkowych ostrzeżeń, ale słuchał cierpliwie.

- Dziadek panny Woodward oczekuje, że wnuczka wróci do niego w nienagannej kondycji - mówił dyplomata. - Wsparcie, którym jego wysokość otacza nasz wydział i naszą pracę jest bezcenne, zwłaszcza w kwestii zjednywania przychylności króla i pozyskiwania państwowych funduszy. Nigdy o tym nie zapominaj, Deverall.

- Z całą pewnością nie zapomnę, sir. Co zaś do kondycji panny Woodward, to zakładam, że książe wie, że jest wdową?

- Owszem, wie i nie jest tym zachwycony. Jednak chcemy być pewni, że dotrze do domu nie mniej niewinna niż jest obecnie, prawda?

Quin doskonale wiedział, co zwierzchnik chce mu przekazać, i uważał jego troskę za całkowicie zrozumiałą.

- Panna Woodward jest impulsywna i nieprzyzwyczajona do bywania w towarzystwie, sir Jamesie. Wierzę, że jej wczorajszy pokaz... serdeczności był jedynie niewinnym wyrazem podniecenia i ulgi z powodu pieniędzy. Bez wątpienia uważa mnie za bratnią duszę.

- A ty najwyraźniej uważasz mnie za starego, ślepego głupca, Deverall - odparł sir James z kwaśnym uśmieszkiem. - Tak czy inaczej, ufam, że potraktujesz tę misję z należną powagą, a twoje ambicje i plany korzystnego dla kariery ożenku pomogą ci się oprzeć niewyszukanym wdziękom panny Woodward.

- Tak jest, sir. - Quin starał się nie okazać irytacji; ostatecznie zasłużył na to, co usłyszał. - Ma pan całkowitą rację, sir Jamesie, jakkolwiek nie nazwałbym wdzięków panny Woodward niewyszukanymi. Może istotnie nie ma towarzyskiego obycia, ale posiada wiele innych talentów, którymi pewnie zaskoczy niejednego bywalca salonów.

- O ile dziadek ich z niej nie wypleni przed wypuszczeniem w świat, to zapewne masz rację. Znam jednak metody jego wysokości, zatrudni tyle przyzwoitek, nauczycieli manier i Bóg jeden wie kogo jeszcze, że zrobi z wnuczki prawdziwą damę w ciągu jednego sezonu, zapamiętaj moje słowa.



Słońce schowało się za chmurę, delfiny wykonały ostatnie zapierające dech salta i zniknęły, a Quinowi zniemacka zrobiło się dziwnie smutno. Kleo była wyjątkowa, niepowtarzalna, więc robienie z niej kolejnej dobrze ułożonej damy na wydaniu odbierał jako akt wandalizmu, nie mniejszy niż przerobienie antycznego greckiego posągu na banalną ozdobę kwiatowej rabaty.

A ja się do tego przyczynię, myślał ponuro. Po raz chyba setny wyrzucał sobie, że nie mówi jej prawdy o dziadku. Postrzegał to jako rodzaj zdrady. Próbował uspokajać sumienie, wmawiając sobie, że kiedy Kleo wyląduje już bezpiecznie pod skrzydłami swego krewnego, szybko odkryje korzyści płynące z nowego statusu.

Tylko że Kleo marzyła o wolności i prawie do podejmowania samodzielnych decyzji. A w przypadku dobrze urodzonej i wychowanej damy takie rzeczy nie wchodziły w grę.

Cóż, dał słowo, że sprowadzi ją do Anglii. Miał też dopilnować, by Kleo nie naraziła się na żadne niebezpieczeństwo i nie wywołała żadnego skandalu, dopóki będzie się znajdować pod jego opieką.

Uświadomił sobie, że po raz pierwszy jego osobiste uczucia stoją w sprzeczności z poczuciem obowiązku. A tak ciężko pracował na swoją karierę, na opinię człowieka, który sam wykuwa swój los i pracuje na swoje nazwisko, bez korzystania z herbowych przywilejów.

Weź się w garść, nakazał sobie w duchu. Dałeś słowo, więc spełnisz obowiązek wobec kraju. Poza tym, tak jest lepiej dla Kleo, czy jej się to podoba, czy nie. Wyznanie, że zabiera ją do dziadka, być może na jakiś czas uśmierzyłoby wyrzuty sumienia, ale potem musiałby stawić czoło konsekwencjom, ponieważ Kleo z pewnością by się zbuntowała przeciwko takiemu rozwiązaniu.

- Rozmyślasz, lordzie Quintusie? Czy może cierpisz na chorobę morską? - Głos Kleo tuż za plecami tak go zaskoczył, że odwrócił się gwałtownie, nie panując nad swym wyrazem twarzy. - Och! Przepraszam, wygląda, że naprawdę jesteś czymś zmartwiony. - Jej ton, jak zwykle lekko ironiczny, złagodniał, zabrzmiały w nim nuty szczerzej troski.

Jedną rękę przytrzymała na głowie kapelusz z szerokim rondem, drugą łapała końce szala. Morska bryza nadała jej policzkom zdrowy odcień różu, a zwolnienie z trudów wcześniejszego życia zaowocowało już widoczną zmianą w sposobie chodzenia - poruszała się lekko i z gracją.

- Zmartwiony? Nie, po prostu myślałem o... pracy. O różnych zobowiązaniach. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się bez przekonania. Zobowiązałem się, że będę cię nadal oszukiwał, dodał w duchu. I że cię nie tknę. Nie pocałuję. I nie poznam cię lepiej, Augusto Kleopatro Agrypino Woodward Valsac, irytująco niezwykła kobieto.

- To rzeczywiście męczące, mam nadzieję, że pozwala ci się wyspać w nocy.

Sarkazm powrócił, a wraz z nim coś, co kazało mu się zastanawiać, czy przypadkiem sama nie cierpi na bezsenność. Mógł się tylko domyślać, że powodem jest lęk przed nieznanym.

Znów go kusilo, żeby jej powiedzieć prawdę, bo przecież gdyby wiedziała, co ją czeka, ten lęk byłby mniejszy. Mógł ją uspokoić, że nie będzie musiała na własną rękę zaczynać życia w niepoznanej dotąd ojczyźnie, ponieważ od razu trafi do złotej klatki przywilejów i bogactwa.

- Prawdę mówiąc, niewiele sypiam - przyznał, wyginając usta w neutralnym uśmiechu, pierwszym grymasie, jakiego się uczy każdy początkujący dyplomata. Leżę i myślę o tobie. Pamiętam miękkie krągłości twojego ciała, długość tych ślicznych nóg jak u gazeli, wyobrażam je sobie nagie, oplecione wokół mnie... Fantazjuję, że rozpalona namiętnością raz po raz wykrzykujesz moje imię, kiedy się w tobie zagłębiam... - To naprawdę bardzo męczące - dodał, przytrzymując jej spojrzenie, żeby przypadkiem nie opuściła wzroku i nie dostrzegła, co się z nim dzieje. - Po ciszy i spokoju pustyni niełatwo spać na statku prującym fale pod pełnymi żaglami.

Nie sposób zasnąć, kiedy pożądanie burzy krew, a pierś przygniatą wyrzuty sumienia. Uśmiechnął się bezwiednie, rozbawiony swoimi nieporadnymi metaforami, na co także wyraz twarzy Kleo zmienił się na pogodniejszy.

- A ja lubię ten ruch - rzuciła przekornie. Od czasu wejścia na pokład „Dorabelli” miał wrażenie, że sprawia jej radość negowanie każdej jego opinii. - Jest taki nieokiełznany i inny. W końcu dokądś zmierzamy i czuję się prawie wolna. Wkrótce będę wolna całkowicie. - Zdjęła kapelusz i pozwoliła, żeby wiatr swobodnie rozwiewał jej włosy.

- Prawie? - mruknął Quin i oparty o reling zapatrzył się na fale za burtą. O mały włos nie poradził jej, aby cieszyła się tym, co ma tu i teraz...

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Madame da Sota bardzo się stara zakuć mnie w kajdany. Te ubrania... - Kleo niecierpliwym machnięciem wskazała na dół sukni o podwyższonym stanie. - Te pantofle. I do tego okropne pończochy z podwiązkami! Wszystko to kłuje, uwiera albo wymaga przytrzymywania na wietrze. Oczywiście nie wolno mi się sprzeciwiać, bo jako dama muszę dbać o strój. Pewnie nie powinnam ci mówić o takich rzeczach jak pończochy i podwiązki, ale było mi o wiele łatwiej, kiedy mogłam nosić, co chciałam, a na wierzch narzucać *tob sebleh*.

Quin próbował sobie wyobrazić Kleo w takim egipskim stroju na balu u Almacka i okazało się to całkiem łatwe. Powściągnął uśmiech i odsunął się na bok, robiąc jej miejsce obok siebie przy relingu.

- Ale jakoś się dogadujecie z panią da Sota? - spytał. - Jako żona kupca nie należy, rzecz jasna, do najwyższych kręgów towarzyskich, ale bez wątpienia nadaje się na przyzwoitkę.

- Jest miła - przyznała Kleo. - Jednak nigdy nie przestaje mówić, a nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajona. Przy tobie znacznie lepiej odpoczywam. - Bezcere-monialnie wzięła go pod rękę i przywarła bokiem do jego ramienia. Ona mi ufa. - Gdzie powinnam kupić dom odpowiedni do zamieszkania?

- W Londynie? Zazwyczaj się wynajmuje, ale tak czy inaczej, cały dom w dobrej dzielnicy byłby bardzo drogi. Istnieje jednak rodzaj pensjonatów, gdzie można wynająć dla siebie jedno piętro. - Uważał, żeby nie zwracać się do niej w drugiej osobie, jednak mimo to czuł się fatalnie, mówiąc takie rzeczy, skoro natychmiast po przybyciu do Londynu musiał ją wsadzić do powozu i zawieźć do dziadka. Jak to się miało do honoru? Czyżby wątpliwości wynikały u niego ze skazy spowodowanej urodzeniem? Bo przecież jego zwierzchnicy najwyraźniej ich nie mieli...

- Londyn jest aż tak drogi? - spytała, wtulając się w niego mocniej. Chciał wierzyć, że w ten sposób osłaniała się przed wiatrem.

Swobodne zachowanie Kleo kazało mu domniemywać, że całkiem zapomniała o momentach ich bliskości, które zdarzyły się w obozie pod Kairem. Wszystko wskazywało, że tamte pocałunki uleciały jej z pamięci, podczas gdy on nie mógł przestać o nich myśleć.

- Bardzo drogi - potwierdził. - Mieszkanie, służba, zaopatrzenie.

- Aha. Masz dom w Londynie?

- Mam apartament w Albany, gdzie mieszkają głównie dżentelmeni, którzy potrzebują swojego *pied-à-terre*. Tuż za Piccadilly, w okolicy St. James.

- Ale będziesz miał dom, jak się ożenisz? - Przytaknął skinieniem. - Cały? Czyli jesteś bogaty. - Potrząsnął głową przecząco, co wprawilo ją w rozbawienie. - Aha, weźmiesz sobie bogatą żonę!

- Być może. - Lady Caroline z pewnością wniosłaby znaczny posag, w jego skład mógł też wchodzić dom w Londynie. Ojciec panny, lord Camden, posiadał rezydencję

przy tym samym placu, przy którym mieszkał ojciec Quina. Quin uśmiechnął się cierpko na myśl, jak stary markiz przyjąłby wiadomość, że zostaną sąsiadami. Miałby się z pyszna, widząc, że z kukułczego jaja wykuł się dyplomata z obiecującą karierą, piękną żoną i świetnymi koneksjami.

- Na myśl o niej bezwiednie się uśmiechasz. - Kleo przyjrzała mu się z uwagą. Oczy jej błyszczały w różowionej od wiatru twarzy, rozwiane kosmyki tworzyły wokół czoła wdzięczną aureolę.

- Myślałem o tym, że wyglądasz jak menada z tymi rozwianymi włosami.

- Szalona towarzyszka Dionizosa? - Parsknęła śmiechem. Cóż, mógł się spodziewać, że będzie znała wszystkie klasyczne mity i legendy. - Zastanawiam się, czy to aby na pewno komplement. Czy chciałabym wpaść w trans za sprawą dziwnych rytuałów? Żelazo by mnie nie raniło, ogień nie palił. Mogłabym wyciskać wino, miód i mleko z kamieni.

Dziób statku podskoczył na fali, wznosząc fontannę drobnych kropli. Quin odruchowo przyciągnął Kleo do siebie, żeby ją chronić przed zmoczeniem... i zupełnie stracił głowę, mając tuż przed oczyma jej śliczną, świeżą twarz. Śmiała się radośnie, zachwycona działaniem żywiołu. Wolna, nieskrępowana...

Menady wabiły mężczyzn do lasu swoimi dzikimi tańcami, a potem rozprawiały się z nimi, nasycając ziemię ich krwią. Patrząc na ożywioną wesołością twarz Kleo, Quin rozumiał, dlaczego mężczyźni podejmowali to ryzyko.

Przycisnął ją do siebie i niemal poczuł zapach mleka i miodu na jej ustach oraz deptanych ziół pod jej stopami.

Kochaj się z nią, krzyczały w nim wszystkie zmysły. Nikt się nie dowie. Przecież pragniecie się nawzajem... Nagle czar prysł, znów stał na drewnianym pokładzie statku, woń nocnego lasu ustąpiła zapachowi smołowanych lin i morskiej soli.

- Zaraz wpadniemy do morza - odezwał się drętwo. Sam był zdziwiony, że w ogóle udaje mu się panować nad głosem. - Zmieniliśmy kierunek, dlatego kołysze bardziej niż wcześniej. Chodź, usiądź tu, tak będzie znacznie bezpieczniej.

Kleo spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma; twarz wyraźnie jej pobladła pod opalenizną, usta miała rozchylone. Ona także poczuła ten magiczny moment, tę dzikość bliską zatracenia. Dzięki Bogu, że jesteśmy na statku, pomyślał Quin. Nie ma żadnych odosobnionych miejsc. Nie ma ryzyka, że sprawy wymkną się spod kontroli.

- Mam mokre ubranie - stwierdziła Kleo. - Pójdę się przebrać. Rozumiem, że spotkamy się przy kolacji.

Quin odprowadził ją wzrokiem. Nie mógł uwieść wnuczki księcia, choć właściwie uwodzenie nie było potrzebne. Ale było to szczególnie niewskazane.

Statek podskoczył na falach jeszcze raz, a potem spokojnie sunął w obranym kierunku. Quin zaczął się przechadzać tam i z powrotem po pokładzie, jakby ruch miał poprawić jego fizyczną i umysłową kondycję. Pomijając kwestię moralności, wypełniał określoną misję i kompromitowanie jej poprzez uleganie żądzy byłoby równie naganne, co branie pieniędzy od obcego rządu czy rozgłaszanie państwowych tajemnic.

Nie możesz sobie pozwolić na nieprzemyślane działania, choćby ze względów czysto praktycznych, napominał się w duchu. Długo i wytrwale pracował na swoją

obecną pozycję i narażanie jej dla kilku skradzionych pocałunków, czy nawet jednej namiętnej nocy w jakiejś opuszczonej kabinie, zakrawało na szaleństwo. Był kundlem udającym rasowe zwierzę. Pewnego dnia, z odpowiednią żoną u boku, przy odrobinie szczęścia mógł się wznieść na szczyty swojego zawodu, służyć krajowi, zdobyć własny tytuł, spłodzić synów, którzy go odziedziczą, i wreszcie zrzucić z siebie piętno, które choć uprzejmie ignorowane przez ludzi z jego kręgu, wciąż mu ciążyło.

Musiał wierzyć, że to, co robi, jest najlepsze dla Kleo, choć mógł się spodziewać jej sprzeciwu, kiedy odkryje, że czeka ją przyszłość pod dyktando dziadka, a nie niezależność, o której marzyła i której oczekiwała. Była dobrze urodzoną młodą kobietą mimo niekonwencjonalnego wychowania i powinna zajmować odpowiednie miejsce w społeczeństwie. Zamierzał dopilnować, by uzyskała należną jej pozycję, czuł się do tego zobowiązany. Ostatecznie Kleo uratowała mu życie i zaufała mu na tyle, by go nie wydać Laurentowi.

Dlaczego więc czuł się, jakby podcinał skrzydła dumnemu sokołowi i wpychał go do klatki?

- Ile czasu będziemy mogli spędzić na łądzie w Syrakuzach? - spytała Kleo, kiedy statek zarzucał kotwicę w zatoce. Osłaniając oczy przed słońcem parasolką pożyczoną od madame da Sota, oglądała miasto na brzegu, pełne budowli ze złocistego kamienia.

- Statek odpłynie jutro, kiedy tylko napełnią zbiorniki wodą i rozładują część towaru. Będę potrzebował kilku godzin na odbycie wizyt. Nie widzę powodu, żebyś miała schodzić na brzeg, panno Woodward. - Spojrzał na nią znad listu, który został mu dostarczony przez posłańca w łodzi z wiosłami.

- Zakupy, spacer, zwiedzanie - wymieniła, dodając najbardziej przymilny z uśmiechów. Na nic się nie przydał, bo Quin nawet go nie zauważył, zajęty składaniem listu i chowaniem go na piersi.

- Nie potrzebujesz niczego, do odbywania spacerów na świeżym powietrzu masz cały pokład, a co do zwiedzania... W mieście roi się od marynarzy, żebraków, złodziei i innej hołoty kilku narodowości. - Spojrzał na nią, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Nie mam czasu, żeby cię eskortować, a załogi nie znam na tyle, by komuś z nich powierzyć takie zadanie.

- Nie może tu być gorzej niż w Kairze.

- Istotnie. Nikt nie prowadzi ostrzału, na ulicach nie dochodzi do walk wrogich oddziałów, nic mi też nie wiadomo o zarazie, ale to samo można powiedzieć o wielu miastach wokół Morza Śródziemnego, a nie chciałbym, byś odbywała samotne spacerki po którymkolwiek z nich.

Quin wyglądał niezwykle przystojnie; swobodny strój, w którym czasami nawet wspinał się na takielunek, zamienił na eleganckie wyjściowe ubranie.

- Dlaczego jesteś taki wystrojony? - Niedbałe machnięcie obejmowało nieskazitelnie białą koszulę, czarne pończochy, buty ze sprzączkami oraz dziwny płaski kapelusz trzymany pod pachą. Pomiedzy rozchyłonymi połami granatowego fraka było widać biegnący na skos barwnie haftowany pas do szpady.

- Wychodzę, żeby się spotkać z przedstawicielem króla Neapolu i to jest odpo-

wiedni strój na tego rodzaju okazję. – Quin właściwie odczytał jej pytający wyraz twarzy. – Zawsze dobrze dać się poznać, kiedy to możliwe, zamiast przemykać od portu do portu. To tylko wzbudza podejrzenia.

Kleo opuściła wzrok na swoją marszczoną spódnicę, uszytą przez szwaczkę z Kairu, której madame da Sota opowiedziała, jak wyglądają najmodniejsze damskie kreacje we Francji i w Anglii. Syrakuzy, z burbońskim królem i kwitnącym handlem, z pewnością dysponowały ofertą fasonów rzeczywiście zgodnych z najświeższymi trendami. Oczywiście nie było czasu, żeby zamawiać coś na miarę, ale mogłaby kupić materiał, wykonać kilka szkieców i potem samodzielnie uszyć.

Quin musiał usłyszeć jej westchnienie.

– Będę zajęty cały dzień, Kleo. Nie mam czasu ci towarzyszyć, więc będziesz musiała znaleźć sobie jakieś rozrywki na pokładzie.

Czekając na łódź, która miała go zabrać na ląd, rozmawiał z kapitanem; obserwująca scenę Kleo była niemal pewna, że prosi go, by nie pozwolił jej opuścić statku.

To się jeszcze okaże, pomyślała ze złością, po czym udała się do kabiny.

– Maggie?

– Tak, proszę pani? *Madame* się położyła, bo boli ją głowa.

– Maggie, nadal jesteś w dobrych stosunkach z tym marynarzem, z którym flirtowałaś?

– Z bosmanem? Owszem, można tak powiedzieć.

– Na tyle przyjaznych, żeby nas zabrał łodzią na brzeg... bez powiadamiania o tym kapitana?

– Jego lordowska mość się nie zgodził? – mruknęła domyślnie Maggie. – Zobaczę, co da się zrobić.

Pół godziny później wiosłowa łódź dobiła do pomostu, Kleo wysiadła na brzeg i podała rękę Maggie.

– Pójdziemy tamtędy – stwierdziła, wskazując kierunek. – W ślad za lordem Quintusem. Jeśli przedstawiciel króla mieszka w tej okolicy, to z pewnością są tu też eleganckie sklepy. – Rozłożyła parasolkę. – Powinny też być cukiernie, gdzie możemy się napić kawy przed zakupami.

Ulica pnąca się łagodnym łukiem pod górę była pełna miejscowych ludzi. Kleo znała włoski całkiem nieźle, ale dawno go nie używała. Z trudem rozumiała wypowiedziane ze specyficznym akcentem słowa. Wokół roило się od ciekawych małych sklepików i straganów, przechodnie sprawiali wrażenie radosnych i zajętych sobą; nic nie wskazywało na istnienie zagrożeń, o których wspominał Quin. Po prostu chciał mnie skłonić do pozostania na statku, pomyślała Kleo, kiedy weszły na długi prostokątny plac z wysokimi budowlami po prawej stronie.

– Tutaj – stwierdziła, wskazując na grupkę eleganckich kobiet wchodzących do jednej z bram. – Czujesz zapach kawy, Maggie? Napijemy się po filiżance, mogę też kupić ciastka dla jego lordowskiej mości na dowód, że nie mam mu za złe tych niepotrzebnych zakazów.

Quin wyszedł z *palazzo* na plac przed katedrą i zaczął porządkować w głowie uzyskane wiadomości. Sztywna etykieta burbońskiego dworu, konieczność wyciągania

istotnych kwestii z grubej warstwy grzecznościowych banałów oraz żar włoskiego popołudnia przyprawiły go o bolesne pulsowanie w czaszce. Plac wyłożony złotym kamieniem, otoczony budynkami z tego samego materiału, odbijał słońce, potęgując już i tak nieznośny upał.

Czuł niepokój i rozczarowanie, mimo że spotkanie przebiegło po jego myśli. W pułapce. Określenie, które mu się nasuwało, brzmiało nedorzecznie, bo przecież lubił dyplomatyczne rozgrywki oparte na subtelnościach i niedopowiedzeniach, a do tego wiedział, że jest w nich dobry. Do tej pory nawet oficjalne rytuały związane z tą profesją sprawiały mu przyjemność.

Skręcił w zacienioną uliczkę. Próbował sobie tłumaczyć, że jest nieswój na skutek braku odpowiedniej fizycznej aktywności. Chętnie by popływał, ale woda w porcie do tego nie zachęcała. Postanowił wygospodarować trochę czasu, żeby powiosłować, przejść się wzdłuż brzegu, może nawet znaleźć zatoczkę z czystą wodą i piaskiem...

Z oddali dobiegł krzyk. Słaby, jak wołanie dziecka albo głos mewy, jednak było w nim coś alarmującego, co skutecznie wyrwało go z rozmyślań. Krzyk rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy.

- *Aiuto!*

Pomocy! Głos należał do kobiety... i wydał mu się dziwnie znajomy. Nagły lęk zjeżył mu włosy na karku. Kleo. Puścił się biegiem, przeklinając eleganckie obuwie, które ślizgało się na gładkich kamieniach bruku. W końcu usłyszał z bliska jak Kleo, całkiem biegłe posługując się włoskim, tłumaczy jakiemuś tubylcowi, że wśród jego przodków musiał być osioł i wielbłąd i że pożałuje, że wszedł jej w drogę, bo jego śmiesznie małe jaja nie przetrwają tego spotkania.

Podziwiając jej fantazję, Quin wbiegł na plac tak mały, że przypominał raczej dziedziniec. Znajdowały się na nim dwie kobiety i czterech mężczyzn, na oko rybaków. Kleo stała naprzeciw nich z nożem w ręku, Maggie kucała u jej stóp i próbowała odstraszyć natrętów wściekłym grymasem. Gdzieś w górze trzasnęła zamykana okiennica, znak, że miejscowi obywatele nie zamierzają nikomu udzielać pomocy.

Mężczyźni na widok Quina przybrali zaczepne postawy, nie ulegało wątpliwości, że taka sytuacja to dla nich nie pierwszorzędna i cieszy ich okazja do bijatyki.

- Quin! - Kleo zerknęła na niego przelotnie, po czym znów skupiła uwagę na nastpniakach. - Chcą się dostać do naszych torebek i całej reszty. Maggie skręciła kostkę. Ten niski z niebieską apaszka nimi dowodzi. Raczej nie mówią po angielsku.

Zdawała mu raport niczym sprawny żołnierz powracający z misji zwiadowczej, same przydatne wiadomości ani cienia hysterii. Quin wyciągnął z pochwy swą paradną szpadę, podobną raczej do długiej stalowej igły niż do skutecznej broni.

- *Lo chiami una spada?* - Niebieska Apaszka wyjął zza paska ciężki nóż, którym z pewnością jednym ruchem patroszył dużego tuńczyka.

- Owszem, nazywam to szpadą - potwierdził spokojnie po włosku Quin, podczas gdy pozostali trzej także zaprezentowali swe równie prymitywne i groźne uzbrojenie. - Możesz jakoś rozproszyć ich uwagę? - zapytał po angielsku.

Kleo bez słowa podniosła z ziemi garść żwiru i rzuciła nim w stojącego najbliżej, tęgiego, pozornie łagodnego mężczyznę. Grubas zaśmiał się lekceważąco, ale kiedy cisnęła brukową kostką, uchylił się i cofnął o parę kroków. Widząc to, inny z bandy-

tów rzucił się ku niej, na co machnęła nożem, przecinając mu skórę na wierzchu dłoni. Natychmiast odstąpił, miotając przekleństwa.

- Prosiłem, żebyś odwróciła ich uwagę, a nie zaczynała wojnę - powiedział Quin i natarł na czwartego zbirą, który odwrócił się, żeby zobaczyć, co Kleo robi, odsłaniając przy tym lewy bok.

Jego szpada była w istocie rapierem, cienkim, lekkim i ostrym, niezrównanym jako broń do zadawania ran kłutych. Koniec ostrza zagłębił się w mięśniu tak gładko, że ranny zaczął krzyczeć z bólu dopiero, kiedy Quin cofnął rękę ruchem doświadczonego szermierza i zamierzył się ponownie, tym razem tnąc go w poprzek czoła i oślepiając krwią spływającą do oczu.

Jeden załatwiony, nie, już dwóch. Grubas trafiony wcześniej kostką klęczał na ziemi i osłaniał się przed gradem pocisków miotanych przez Maggie: było wśród nich wszystko, co znalazło się w zasięgu jej rąk, nie wyłączając zdechłego szczura.

Kleo miała rację, Niebieska Apaszka dowodził tą bandą. Przyczajony z boku obserwował scenę, pozwalając kompanowi z rozciętą dłonią przejąć główny ciężar walki.

- Uciekajcie, póki możecie, przyjaciele - poradził Quin, po czym zmienił pozycję, by mieć na oku obu przeciwników, i uniósł rapier w podręcznikowej pozycji. Chciał, by sądzili, że mają do czynienia z salonowym szermierzem. Człowiek, którego nazywał w myślach Krwawą Ręką, splunął na bruk, przełożył nóż do zdrowej dłoni i ruszył do ataku. Quin zrobił unik, podnosząc rapier w górę, a potem wykonał szybki obrót i wymierzył napastnikowi potężnego kopniaka, po którym ten padł na ziemię, trzymając się za krocze. Kleo szybko podniosła nóż, toczący się z brzękiem po kamieniach, i rzuciła Quinowi, który chwycił go w locie lewą ręką.

Nie miał już powodu udawać, że nie potrafi się bić według ulicznych reguł. Niebieska Apaszka wyciągnął z kieszeni pałkę i rozciągnął wargi w złośliwym uśmiechu, prezentując liczne braki w uzębieniu. Z pewnością nie był zadowolony z utraty łupu, tym bardziej z faktu, że trzech jego kompani poważnie ucierpieli, ale wyraźnie miał ochotę wypatroszyć Quina.

- No chodź - zachęcił go Quin. - A może umiesz atakować tylko dziewczyny? Jesteś mocny tylko z pomocą swoich...

Mężczyzna rzucił się na niego z wyciągniętym nożem, jednocześnie zamierzając się, by walnąć pałką w delikatne ostrze rapiera. Nagle stracił równowagę, bo Quin upuścił broń, chwycił rękę trzymającą nóż i wykręcił do tyłu gwałtownym szarpnięciem, aż rozległo się chrupnięcie łamanego obojczyka. Nim uszkodzony upadł na ziemię, Quin ostatecznie zakończył walkę, wymierzając mu prawy sierpowy w szczękę.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Quin omiótł wzrokiem zastygłe w bezruchu postacie. Czterech mężczyzn leżących na ziemi, Maggie z kostką brukową w dłoni i Kleo, dzierżąca jego rapier, w pozie atakującej bogini zemsty.

- Dzięki - rzekł, odzyskawszy dech w piersi, i wyciągnął rękę po swoją broń.

- Nie, to my ci dziękujemy - odpowiedziała pobladła Kleo, po czym podbiegła do Maggie i pomogła jej wstać.

- Cholera jasna - zaklęła Maggie, skacząc na jednej nodze. - Złamałam nogę w kostce... - Dorzuciła wiązaną plugastw, z których większość Quin słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Poniosę cię. - Schował rapier do pochwy, wziął Maggie na rękę i rozejrzał się za Kleo, która zbierała ich porozrzucone rzeczy. - Chodź już, zanim okoliczni mieszkańcy postanowią się przyłączyć.

Milczała, kiedy krętymi uliczkami zmierzali na nabrzeże. Quin uśmiechał się pod nosem. Niech to licho, naprawdę dobrze się bawił. Odbył zwycięską walkę, zakończoną dla jego drużyny jedynie obolałą nogą, trzymał w ramionach niebrzydka kobietę, która spoglądała na niego zalotnie spod rzęs, a u boku miał Kleo, całą i zdrową. Uświadomił sobie, że nie tylko odpłacił jej choć w części za to, że uratowała mu życie, ale też zyskał powód, żeby sobie z niej pokpiwać, na co solennie zasłużyła. Na razie jednak przybrał surową minę i przyspieszył na widok ich statku zakotwiczonego w zatoce.

- Nie poszło za dobrze - westchnęła Kleo, okładając stopę Maggie namoczoną ścierką. Pokojówka madame da Sota wśliznęła się do kabiny z kubkiem ziołowej herbaty, zabrała wachlarz, oznajmiła, że nie może pomóc, bo jej pani ma okropną migrenę, i poprosiła, by zachowywały się jak najciszej.

- Myślałam, że poszło doskonale - odpowiedziała Maggie i pokazała język plecom wychodzącej pokojówki. - Wygraliśmy. Au!

- Myślę, że jest tylko stłuczona - stwierdziła Kleo. - Quin jest wściekły i prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwię. Mam tu gdzieś lekarstwo...

- Pomoże tylko końska maść. Używają jej w wojsku na wszystko. Tu, w mojej brązowej torbie. - Maggie uniosła się na łokciach i spróbowała poruszać palcami u nóg. - Jak pani myśli, co on zrobi? - spytała, patrząc, jak Kleo moczy okład w jakiejś cuchnącej cieczy.

- Przypuszczam, że w następnym porcie zamknie nas na klucz w kabinie - odparła Kleo. - Dobrze, że nasze zakupy nie ucierpiały... przetrwały nawet morelowe ciasteczka. - Czego chyba nie można powiedzieć o mojej zażyłości z Quinem. Jakkolwiek ją oceniać... - Zaniosę resztę Quinowi.

- Jako gałązkę oliwną? - Maggie uśmiechnęła się domyślnie.

- Raczej na przeprosiny. - Kleo przysiadła na brzegu koi. - Sądziłam, że będzie

bezpieczniej niż w Kairze i że niepotrzebnie się o nas boi.

- Ale walczy nieźle, prawda? Bardzo elegancko. Ostro też umie. - Maggie sięgnęła do pudełka po ciastko. Złocista konfitura spłynęła jej po palcach. - Mniem.

- Przecież jeszcze nawet nie spróbowałaś.

- Jego miałam na myśli. Przystojny, porusza się jak marzenie, umie dobrze kopnąć...

- Jest władczy, pokrętny i nie można mu ufać...

- Inteligentny, dobry w łóżku.

- Skąd możesz to wiedzieć!

- A nie jest? - Maggie zamrugła, udając niewiniątko.

- Miło się do niego przytulić. Jest bardzo silny. I całuje... - Tak, że miękną mi kolana, pomyślała, ale nie wypowiedziała tej uwagi na głos. - ...całkiem dobrze. Jest też wyjątkowo opanowany. Zamierza mnie dostarczyć do Anglii niczym paczkę łakoci, pozwalając sobie na spróbowanie jedynie małego okruszka.

- Zliże cukier z wierzchu - powiedziała Maggie ze śmiechem. - Moje okruszki mogłyby sobie zajadać do woli... - Przechyliła głowę na bok i patrzyła na Kleo niczym kairski wróbel czekający na upuszczone ziarenko. - Jest żonaty?

- Nie. - Kleo przesunęła pudełko poza zasięg lepkich rąk Maggie. - Ale ma zamiar się ożenić. Wpadła mu w oko pewna dama, która posiada wszystkie pożądane zalety i do tego wpływowego tatę.

- A pani...

- A ja mam ojca, który przez swą głupotę nieumyślnie pomagał wrogom, dorastałam w biednych dzielnicach różnych wschodnich miast, nie umiem się zachować w eleganckim towarzystwie i nie mam wpływowych krewnych, którzy by się do mnie chcieli przyznać... Tak czy inaczej, mamy z Quinem niewiele wspólnego i mu nie ufam. Poza tym wcale nie chciałabym za niego wychodzić.

- Doprawdy? - Maggie wzruszyła ramionami. - O mało się nie nabrałam.

Kleo zagryzła wargę. No dobrze, lubię go, co znaczy, że jestem głupia. I go pożądam. Sięgnęła po ciastko i wbiła w nie zęby.

- Na słodyczach można polegać bardziej niż na mężczyznach. Zawsze poprawiają humor. Poza tym, dlaczego miałabym chcieć powtórnie wychodzić za mąż? Jeden raz mi wystarczy, dziękuję bardzo.

Zajrzała do pudełka. Zostały dwa ostatnie ciastka.

- Spróbuję się przespać - oświadczyła Maggie i wyciągnęła się na koi. Zamknęła oczy, jedno całkiem, drugie tak, że została uchylona szparka. - Powodzenia.

- Nie zużyj całej maści - mruknęła Kleo, wychodząc. - Prawdopodobnie będę jej potrzebowała.

Kapitan przydzielił Quinowi kajutę na samym dziobie statku. Kleo obesza prawie cały pokład, nim w końcu stanęła pod jej drzwiami. Nie miała pojęcia, co mu powie. Mogła się spodziewać, że Quin zrobi jej awanturę, a wtedy ona da się ponieść złości i ciśnie w niego ciastkami. Zapukała ostrożnie.

- Wejść!

Kajuta była bardziej przestronna od jej kabiny, miała kształt trójkąta i dwa spore bulaje. Quin siedział przy stoliku przytwierdzonym do ściany i coś pisał. Zdążył sięgnąć z siebie frak i kamizelkę oraz podwinąć rękawy do łokci. Rapier wisiał obok

na wieszaku i kołysał się w rytm przechyłów statku, jakby prowadził własne, sekretne życie.

Widząc, kto przyszedł, Quin poderwał się gwałtownie.

- Kleo? Nie powinnaś tu przychodzić. - Nadal zachowywał poważną, jakby urażoną minę.

- Kupiłam ci morelowe ciasteczka. - Wyciągnęła przed siebie pudełko; nie sięgnął po nie, więc po chwili odłożyła je na koję.

- Warto było dla nich narażać się na rabunek i gwałt?

- Nie. - Dla zachowania spokoju powtarzała sobie w duchu, że Quin wyratował ją z opresji, do której sama doprowadziła. - Kupiłam materiał, wykroje, nici i wstążki. I piękną bieliznę, dopowiedziała w myślach.

- Już dobrze. Gdybym wiedział, że chodziło o coś tak ważnego...

- Nie ma powodu do ironii. Dla ciebie to może nieważne... wygląda na to, że masz całe kufry wymyślnych strojów. Nie musisz się czuć jak łachmaniarz, poznając nowych ludzi. - Z przerażeniem odkryła, że głos zaczyna jej drżeć. Najwyraźniej bała się tego, co ją czekało, skoro tak bardzo potrzebowała modnych ubrań i wstążek, żeby się poczuć pewniej.

- To, co masz na sobie, nie wygląda aż tak źle. - Bezwiednie ściągnął brwi, przyrzawszy się dokładniej jej odzieniu.

- Gdybym mogła wkładać egipski strój, nie widziałabym problemu. Wyglądałabym po prostu obco. Ale to... - Strzepnęła fałd spódnicy. - To wygląda jak nieudolna imitacja prawdziwej sukni.

- Rozumiem. Masz niezbędne artykuły, żeby uszyć coś lepszego, czy chcesz, żebym cię eskortował podczas kolejnej wyprawy do miasta?

Co mu się nagle stało? - zastanowiła się.

- Dzięki, ale wracaliśmy już z zakupów do portu, kiedy skręciłyśmy w niewłaściwą ulicę.

- Kiedy dotrzemy do Gibraltaru, możesz się spotkać z paniami, które pomogą ci nabyć garderobę odpowiednią do Anglii. Kilka z nich przyjechało z mężami i zamieszkało w garnizonie. - Quin mówił takim tonem, jakby się szczerze troszczył o jej kobiece potrzeby.

Usiadła na brzegu koi.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? Popeliłam błąd, schodząc na ląd, przyznaję. Maggie ma paskudnie stłuczoną kostkę, a mogło być jeszcze gorzej - dodała ze skruchą.

- Zawdzięczam ci życie, może nawet dwukrotnie. - Usiadł na krześle odwróconym tyłem i skrzyżował ramiona na oparciu.

Kleo patrzyła na mięśnie rysujące się wyraźnie pod opaloną skórą, pokrytą meszkiem ciemnego zarostu. Nie mogła oderwać wzroku... Wzruszyła ramionami, żeby powstrzymać chęć, aby go dotknąć.

- To było co innego.

- Rzeczywiście - przyznał Quin. - Wtedy nie było mi do śmiechu.

- Do śmiechu? Nie rozumiem. - Dopiero w tym momencie zauważyła, że Quin nawet nie próbuje ukrywać rozbawienia. A już jej się zdawało, że zaczyna wyczuwać jego nastroje i zamiary...

- Schodziłem ze wzgórza po moim spotkaniu i czułem się, jakby mnie siłą wtłoczono w to wytworne ubranie. Plecy mi zeszywniały, w głowie mi huczało od poznanych faktów i uwag. Miałem wielką ochotę poczuć się wolnym i zrobić coś nierozsądnego. Udział w ulicznej bójce w obcym mieście tuż po odbyciu dyplomatycznego spotkania doskonale mieścił się w tej kategorii. - Uśmiechnął się szerzej, odsłaniając zęby.

- Mogli nas wszystkich pozabijać!

- Mocno w to wątpię, zważywszy na twoją biegłość w obchodzeniu się z nożem i celność Maggie w rzucaniu zdechłymi szczurami.

Dostrzegła w jego oczach błysk, który widziała już wcześniej: kiedy ryzykownym manewrem przeprowadzał felukę między barkami, kiedy wieszał prowizoryczną flagę i wprowadzał ich bezpiecznie do brytyjskiego obozu. Wydawało jej się, że ten sam Quin pojawił się również podczas walki na placu w Syrakuzach.

- Podnieca cię niebezpieczeństwo. Dlaczego nie jesteś żołnierzem, skoro lubisz walczyć? - Kazał jej myśleć, że się na nią gniewa za samowolną wyprawę na brzeg, podczas gdy tak naprawdę dobrze się bawił. Kolejne oszustwo.

- Wolę nie zabijać ludzi. Lubię wyzwania. Lubię ten moment, kiedy problem znajduje rozwiązanie. Czasami następuje to poprzez działanie, co lubię najbardziej.

- Wygląda, że doskonale znasz swoje potrzeby i pragnienia. - Żałowała, że z nią jest inaczej. Wolność... owszem, wiedziała, że jej pragnie. Ale co dalej?

Quin uśmiechnął się cierpko.

- Czasami aż za dobrze.

- Wiesz, czego chcesz.

- O tak, z pewnością. - Uśmiech znikł.

Kleo przypomniała sobie noc na feluce, kiedy Quin ją obudził, mówiąc przez sen. Słyszała wówczas w jego głosie gorycz. Może i wiedział, czego chce, ale ta świadomość nie zapewniała mu spokoju.

- Quinie...

Uśmiech szybko powrócił, radosny... i jakby fałszywy.

- Chcę zjeść te morelowe ciasteczka.

- Chyba na nie nie zasłużyłeś. Przyniosłam je na przeprosiny za to, że wciągnęłam cię w bójkę, a ty nie dość, że świetnie się bawiłeś, to jeszcze próbowałeś mnie wpędzić w poczucie winy.

Quin wychylił się na bok i sięgnął po pudełko leżące na koi, zanim Kleo zdążyła je zabrać.

- Hmm. Są dwa. Mogę się podzielić.

Poczęstował ją i sam wziął drugie. Przez chwilę jedli w milczeniu. Quin końcem języka zlizął resztki morelowej słodyczy z górnej wargi. Miał lekko przymknięte oczy, wyglądał jak kot napojony śmietanką.

Od tej strony zupełnie go nie znałam, pomyślała. Odkrywała kolejne jego oblicza i coraz bardziej ją fascynował. Lubiła go i mu współczuła, kiedy jej opowiadał o swoim ojcu, ale wiedziała, że umie doskonale manipulować ludźmi. Postanowił z całą mocą, że znajdzie tego prawdziwego Quina, bo bardzo chciała mu zaufać. Tak bardzo, jak go pragnęła.

Gdy już skończyli jeść, w kajucie zapanowała niezręczna cisza, ciężka od niewy-

powiedzianych słów.

- Masz tu okruch. - Quin wyciągnął rękę i przesunął palcem tuż przy jej ustach. Na moment znieruchomiał, a potem delikatnie przyłożył wewnętrzną stronę dłoni do policzka.

Kleo spojrzała mu w oczy i dostrzegła, że znów pojawił się w nich znajomy błysk. Jakby z żaru wyskakiwały języczki ognia. Bezwiednie przechyliła głowę, napierając na jego rękę.

- Co chcesz mi powiedzieć? - spytała ledwie słyszalnym szeptem.

- Obawiam się, że nie będę mógł ci zapewnić tego, czego pragniesz, kiedy już do-  
trzymy do Anglii. - Niebieskie płomyki zamigotały i zgasły. Patrzył na nią poważ-  
nym, wręcz smutnym wzrokiem. - Obawiam się, że będziesz rozczarowana.

- Tym, co tam zastanę, czy tobą? - Nie odrywał dłoni od jej policzka, jego palce poruszały się nieznacznie w delikatnej pieśczoce.

- Jednym i drugim. Sądzę, że będziesz miała mętlik w głowie, bo chyba tak na-  
prawdę nie wiesz, czego chcesz. Świat, do którego cię zabieram, bardzo się różni  
od tego, do którego przywykłaś.

- Wiem, czego chcę. - Trudno jej się było skupić, a tym bardziej znaleźć potrzeb-  
ne słowa. - Dlaczego będę rozczarowana tobą? Nie powinnam ci ufać?

- Przecież nigdy mi nie ufałaś, prawda? - Jego dłoń zastygła w bezruchu.

- Nie. - Pokręciła głową. - I miałam rację, prawda? Ukrywałeś powód przyjazdu  
do Egiptu, mówiłeś o sobie tylko część prawdy. Czuję, że nadal coś przede mną  
ukrywasz. I odmawiasz mi nawet tego. - Chwyciła jego dłoń i podniosła do ust.

- Kleo...

- Pragnę cię, a ty pragniesz mnie, ale nie chcesz tego przyznać.

- Przyznaję. - Nie próbował wyswobodzić ręki. Czuła jego puls, mocny i równy,  
choć może trochę za szybki jak na tak sprawnego mężczyznę.

- To dlaczego nic z tym nie robisz? Nie jestem chowaną pod kloszem dziewczicą. Je-  
stem wdową, mam swoje lata i jadę do Londynu, żeby zacząć nowe życie na wła-  
snych warunkach. Dlaczego nie miałabym mieć kochanka?

- Miałbym poczucie, że cię wykorzystuję - odparł.

- Nie próbujesz mnie uwieść, do niczego mnie nie zmuszasz, więc dlaczego?

- Jestem praktycznie jedynym mężczyzną, z którym nawiązałaś bliższe stosunki  
od czasu, gdy umarł twój mąż... nie licząc ojca i Laurenta. To naturalne, że między  
nami wytworzyła się pewnego rodzaju... zażyłość.

- Urocze. Zatem powinnam czekać, aż przyjadę do Londynu, poznam wielu róż-  
nych mężczyzn i będę mogła spośród nich wybrać? Może nawet załatwisz mi zaprosze-  
nia na najlepsze przyjęcia, żebym miała przegląd najbardziej atrakcyjnych par-  
tii.

- Tylko jeśli chcesz zostać elegancką kurtyzaną! - Poderwał się, na chwilę stanął  
przy biurku, a potem odsunął krzesło dalej od koi i znowu usiadł. - Jak chcesz wyjść  
za mąż za odpowiedniego człowieka przy takim nastawieniu?

- Myślisz, że chcę małżeństwa? Mówisz jak *madame* da Sota. Obojgu wam się  
wydaje, że tylko o to chodzi: trzeba dbać o moją reputację, żebym mogła złapać  
drugiego męża. Ale ja tak nie myślę. I wcale tego nie chcę.

- Oczywiście, że właśnie tak powinno się stać. - Poczzerwieniał na twarzy, jakby

go zawstydziła albo na czymś przyłapała. - Pochodzisz z dobrej rodziny, jesteś piękną i wciąż młodą kobietą. Oczywiście, że wyjdiesz za mąż, i to dobrze, kiedy już się zdomowisz w odpowiednich londyńskich kręgach.

- Nie wyjdę ponownie za mąż. - Tym razem to ona wstała. Niecierpliwym machnięciem powstrzymała Quina, gdy powodowany uprzejmością również zaczął się podnosić. - Nigdy nie wyjdę już za mąż. Nigdy.

- Aż tak bardzo kochałaś swojego męża?

- Nienawidziłam go.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kleo stała przy bulaju odwrócona do Quina plecami i obserwowała ruch panujący w porcie.

- Och, z początku wydawało mi się, że go kocham, ale przecież tak naprawdę nic nie wiedziałam o mężczyznach. Sądziłam, że nikt inny nie może być aż tak egocentryczny i samolubny jak mój ojciec. Wierzyłam, że zyskam towarzysza, kochanka, przyjaciela... Rzecz jasna, życie w obozie wojskowym niesło z sobą wiele niewygód, ale byłam do nich przyzwyczajona. Ale nic nie było takie, jak się spodziewałam.

- Nie kochał cię?

- Oczywiście, że nie. Teraz wiem, że Thierry'emu kazano się ze mną ożenić, wiem też dlaczego. Dla pewności, że nic nie powstrzyma mojego ojca przed współpracą z francuskimi władzami. Thierry wcale nie chciał zakochanej dziewczyny, która wisiała mu na ramieniu, domagając się czułości i uwagi. Wolał doświadczone markietanki albo kobiety z miasta, umiejące zadowolić mężczyznę i oczekujące w zamian jedynie zapłaty.

- Chcesz powiedzieć, że nadal jesteś dziewczyną?

- Och, nie. Po co wydawać pieniądze na coś, co można mieć za darmo? Nauczył mnie fizycznej miłości, rozkoszy, jaką mężczyzna i kobieta mogą sobie dawać nawzajem. Przeżyliśmy kilka cudownych nocy. - Tuż obok ich statku przepływała niewielka łódź. Siedziała w niej para; kobieta patrzyła na swego partnera z czułością, jej radosny śmiech niósł się czysto nad wodą. Szczęśliwi kochankowie, pomyślała Kleo z zazdrością. - Potem przestały go obchodzić moje odczucia, a po kilku następnym dniach nie liczyło się też, że jestem zmęczona albo źle się czuję. Miałam gotować, prać jego i... wszystko inne.

- Chcesz powiedzieć, że cię zmuszał do współżycia?

- Owszem. - Para na łódce zaczęła się całować.

- Uderzył cię.

- W końcu i do tego doszło, kiedy się pozbierałam po pierwszym szoku i odkrył, że jego przekleństwa i szturchańce budzą opór...

- Dobry Boże - powiedział Quin prawie szeptem. - Jak długo to trwało?

- Jedną noc. Następnego dnia zaczęłam nosić ze sobą kuchenny nóż. Myślał, że nie odważę się go użyć, ale był w błędzie. Rozciąłam mu ramię i po tym uznał, że ma ze mną za dużo kłopotów, i wrócił do swoich markietanek. - Wzruszyła ramionami.

- Och, Kleo. - Głos Quina rozległ się tuż za nią, choć nie słyszała, żeby się zbliżał.

- Kleo, nie wszyscy mężczyźni są tacy.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się z nim od razu. - Mój ojciec nigdy nie podniósł ręki na matkę. Jestem pewna, że ty też nigdy byś nie uderzył kobiety. Ale wszyscy są samolubni, tego też jestem pewna. Żenią się na swoich warunkach, w zamian za pieniądze i ziemię, dla wygody i po to, żeby spłodzić spadkobierców.

- Ale w zamian kobiety otrzymują ochronę i utrzymanie. I mają dzieci do kochania.

- Tak. - Kleo odwróciła się twarzą do niego. - Dopóki robią dokładnie to, czego oczekują od nich mężowie.

Quin stał tak blisko, że widziała leciutkie drzenie mięśni na szczęce, kiedy się odezwał bezbarwnym tonem:

- Mierzysz nas wszystkich tą samą miarą?

- Sam mi mówiłeś, że planujesz poślubić pewną kobietę, ponieważ stanowi odpowiednią partię, jej ojciec posiada wpływy, a dzięki małżeństwu staniesz się bogaty. Kochasz ją? - Pokręcił głową przecząco. - A czy chociaż ją znasz?

- Zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Biedna kobieta. - Nie zwracając uwagi na jego pytająco uniesione brwi, mówiła dalej: - A sir James w obozie pod Kairem... Gdzie była jego żona? Pewnie czekała w domu z dziećmi. Ciekawe, czy miałyby ochotę podróżować?

- Kleo, masz nierozsądne podejście. Na tym polega małżeństwo, na dzieleniu życia może nie na równych warunkach, ale z korzyściami dla obu stron - próbował tłumaczyć.

- W takim razie nie jest mi potrzebne.

- To ty chcesz być samolubna.

- Nie! Chcę równości, chcę tego, na co mama miała nadzieję, uciekając z ojcem. Tak, wiem, chcę gwiazdki z nieba...

- I umniejszasz korzyści wynikające z małżeństwa? Szacunek, opieka, zabezpieczenie finansowe...

- Dzieci, czy tego chcę, czy nie... wymuszone zbliżenia...

- Kleo! Damy nie rozmawiają o tych sprawach.

- No właśnie. Chciałabym się z tobą kochać, ale nie wolno mi nawet tego powiedzieć! Też coś! A ty możesz...

- Nie z niezamężną damą...

- Wdową. Nigdy nie miałeś romansu z wdową? - Quin tylko zacisnął usta. - Widzę po minie, że miałeś.

- Ale nie z taką, którą powierzono mojej opiece... To byłoby niehonorowe.

- Aha, czyli ważny jest tylko twój honor, a nie to, co kobieta myśli ani czego chce lub potrzebuje - wymieniała Kleo. - Zdaje się, że dopiero co oskarżałeś mnie o samolubność.

- *Touché*. Ale gdybym powiedział, że nie chcę romansu, że cię nie pożądam, to byłabyś na mnie zła.

Kleo uświadomiła sobie, że całkiem dobrze się bawi. Rozmowa przypominała partię szachów, a Quin, choć chwilami irytujący, przynajmniej potrafił grać.

- Byłabym hipokrytką, gdybym okazała złość. Bo przecież mnie pożądasz, prawda, milordzie?

Przez moment bała się, że trochę przeholowała, ale zaraz kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu, a na policzku zobaczyła dołeczek, który już wcześniej uznała za uroczy.

- Jesteś czarownicą, Augusto Kleopatro Agrypino Woodward. Owszem, pożądam cię. Nie, nie mam zamiaru nawiązywać z tobą romansu, ponieważ jestem staro-



świeckim dżentelmenem i do tego hipokrytą.

- Och, Quinie... - Stała na tyle blisko, by móc oprzeć dłonie na jego piersi i dosięgnąć ustami jego warg i tego dołeczka.

Objął ją, przyciągnął do siebie, napał na jej usta, a kiedy rozchyliła je z zaskoczenia, wsunął do środka język. Pocałunek był długi, namiętny, zdecydowany. Kiedy się wreszcie od niej oderwał, przypomniała mu ostro, że przecież nie zamierzał nawiązywać z nią romansu.

- Wiem - odparł. - Ale nie mówiłem, że nie będę się z tobą kochał. - Porwał ją w ramiona i podszedł do drzwi, żeby je zamknąć na zasuwę. - A ty mówiłaś, że mnie pożądasz i że ja pożądam ciebie, jeśli dobrze sobie przypominam.

- Owszem, ale... - Zaniemówiła, kiedy ostrożnie ułożył ją na koi.

- Zmieniłaś zdanie? Cóż, to przywilej damy.

- Nie! Ale ty manipulujesz słowami...

- Taki mam zawód. Muszę być w tym dobry. - Szybko zdjął jej z nóg buty i zmierzał wyżej, do podwiązek. - Leż spokojnie, Kleo. W tym też jestem dobry...

- Chwalipięta - rzuciła, opadając na poduszkę. - Och, co ty robisz?

- Kocham się z tobą. - Uniósł ją i nie przerywając pieśczoł, z niemal magiczną zręcznością, pozbawił ją sukni i koszuli. Sekundę później dopadł ustami jej piersi i nie była już w stanie o niczym myśleć.

Uczepiona jego ramion bezwiednie wyginała ciało, żeby jeszcze mocniej odczuwać zmysłowy dotyk warg i języka. W krótkim momencie przytomności, kiedy przenosił usta z jednej nabrzmiałej brodawki na drugą, uświadomiła sobie, że ma pod palcami jego koszulę, nie gołą skórę.

- Quinie, pozwól mi... - Sięgnęła do zapięcia, próbowała znaleźć sprzączkę paska od spodni.

- O, nie.

- Tak! Natychmiast! - Udaremnił jednak jej starania, chwytając ją mocno jedną ręką za oba nadgarstki, a protesty zdusił kolejnym łapczywym pocałunkiem. Kleo wiała się pod nim, podniecona jego siłą i stanowczością.

Wolną rękę zsuwał niżej, po brzuchu, aż odnalazł to najbardziej wrażliwe miejsce, gorące i wilgotne. Zaczął je pieścić, poruszał palcami w rytmie, które narzucało mu jej ciało. Otworzyła usta, by wyrazić rozkosz, jednak Quin zamknął je pocałunkiem, nim zdołała wydać z siebie krzyk.

Powoli dochodziła do siebie, miała już wolne ręce i mogła swobodnie oddychać, Quin nie przygniatał jej swym ciężarem, nie czuła na sobie jego ciepła. Już miała westchnąć z rozczarowaniem, gdy poczuła jego dłonie na udach, a zaraz potem usta w miejscu dopiero co opuszczonym przez palce. Odruchowo uniosła biodra, jednocześnie chwytając go za włosy.

- Nie mogę już... - Tylko tyle zdołała wyszeptać, nim porwała ją druga, jeszcze potężniejsza fala rozkoszy. - Quinie - zawołała resztką tchu. - Och, Quinie!

- Jestem tutaj - odezwał się, przygarniając ją, wciąż drżącą, do siebie. - Jestem.

Myślał o tym, jak pięknie wyglądała, kiedy bez reszty poddała się przeżywanym doznaniom, bezbronna i zarazem swobodna, całkowicie otwarta. Powstrzymywanie własnego pożądania niemal sprawiało mu ból, ale wiedział, że nie może sobie folgo-

wać. Miał świadomość, że już to, co zrobił, było naganne... ale sprawiło mu przyjemność, choć miało zaspokoić wyłącznie jej pragnienie.

Kleo otworzyła oczy i obdarzyła go uśmiechem, słodkim, czułym jak pieśczoła.

- Mmmm, to było cudowne. - Kocim ruchem przeciągnęła się w jego ramionach, co natychmiast przywiodło mu na myśl boginię Bastet, zmysłową i pełną mocy. Sięgnęła do zapięcia jego koszuli. - Jak ja mam cię pieścić, skoro wciąż nie zdjąłeś ubrania?

- Nie możesz tego robić. Nie chcę, żebyś mnie pieściła. - Posadził ją na koi, sam wstał. - Nie chodziło o mnie.

- Nie chodziło... - Skuliła się na posłaniu i patrzyła na niego zdezorientowana. - Dlaczego? - wymruczała cicho, jakby do siebie. Nagle wyraz twarzy jej się zmienił, w oczach błysnął gniew. - Oczywiście. Należało mnie zaspokoić, żebym przestała stawiać żądania. Wystarczy trochę pieśczoła, a zacznę mrużyć z zadowolenia jak pogłaskana kotka i przestanę się domagać uwagi.

- Kleo, to nie tak... - Musiał jednak przyznać, że właśnie tak to wyglądało.

- Doprawdy? - Narzucała na siebie ubranie w takim tempie, jakby ogłoszono alarm pożarowy. Quin aż się skrzywił, kiedy przez jej pośpiech trzasnęła rozdzielana paznokciami pończocha. - Ilekroć sobie mówię, że myliłam się co do ciebie, że głupio cię podejrzewałam o coś złego, natychmiast niszcysz moje zaufanie. - Rozejrzała się, trzymając w ręku jeden pantofel. - Gdzie jest drugi?

- Tutaj. - Podał jej zgubę i zamilkł bezradnie. Jak miał jej cokolwiek tłumaczyć, skoro nie do końca rozumiał swoje uczucia... Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety podobnej do niej...

Kleo zerknęła w wiszące na ścianie kajuty lustro i przeczesła palcami włosy.

- Zechcesz mnie łaskawie wypuścić?

Quin przez chwilę stał z dłonią na zasuwie, czekał, aż ucichnie targający nim zamęt. Coś w środku, znacznie potężniejszego od zwykłej żądy, podpowiadało mu, by wziął ją w ramiona, pocałował, a potem dał się ponieść namiętności bez względu na konsekwencje.

Moment wahania szybko minął. Quin otworzył drzwi i usunął się na bok; Kleo wyszła, nawet na niego nie spojrzawszy. Ledwie został sam, opadła go złość, nie wiedział tylko, czy wścieka się na siebie, na Kleo, za to, że prosiła o więcej, niż był gotowy jej dać, czy na wszystkie kobiety. A może jego gniew wynikał z przeczucia, że właśnie stracił coś bardzo cennego.

Odszukał w kufrze cienkie bawełniane spodnie i galabiję, którą nosił na pustyni. Przebrał się i bosy wyszedł na pokład.

- Kiedy odpływamy? - zwrócił się do kapitana.

- Postoimy jeszcze co najmniej cztery godziny. Musimy wymienić kilka pojemników na wodę.

- Może mi pan udostępnić małą łódkę i kogoś z załogi do pilnowania żagli? Chciałbym się nieco oddalić i popływać.

- Oczywiście, milordzie. - Przy kwocie, za jaką wynajął statek, wszelkie jego zachcianki musiały być spełniane bez mrugnienia okiem.

Po kilku minutach wypływali z portu, kierując się ku niewielkiej zatoce. Na miejscu człowiek kierujący łodzią zarzucił kotwicę i opuścił żagiel, a Quin zdjął z siebie

ubranie i zanurkował w czystej, przyjemnie chłodnej wodzie.

Po chwili wynurzył się na powierzchnię i zaczął płynąć równoległe do brzegu. Ciałem powierzchnię wody równymi, mocnymi ruchami rąk.

Kiedy się w końcu zatrzymał, łódź została tak daleko, że wyglądała jak dziecięca zabawka. Odwrócił się na plecy i popłynął z powrotem, patrząc na nieskazitelnie czysty błękit nieba.

Powrócił myślami do tego, co się wydarzyło, ostrożnie, jakby dotykał językiem chorego zęba i w każdej chwili spodziewał się ukłucia bólu. Wybrano do tej pustynnej misji niewłaściwego człowieka. A może po prostu był nieodpowiednim mężczyzną dla Kleo. Byłoby jej lepiej z jakimś zawadiackim romantykiem, który by ją porwał, nie dbając o los jej ojca, zakochał się w niej bez pamięci i wystąpił przed jej dziadkiem z oświadczeniami.

Tymczasem trafił jej się karierowicz nastawiony na ściganie szpiegów i dostarczenie księżniczce panny Woodward w jednym kawałku, jak porządnie zapakowaną przesyłkę, by móc zabiegać o bogatą pannę z koneksjami.

Zapakowana przesyłka, powtórzył w myślach i wspomniawszy moment, kiedy rozbił Kleo. Myśl ta tak go wytrąciła z równowagi, że wykonał kilka chaotycznych ruchów i w rezultacie napił się morskiej wody. Kleo była zdecydowanie zbyt inteligentna, zbyt samowolna, zbyt... Pokręcił głową.

Lubił ją i z całą pewnością jej pożądał. Próbował sobie wmawiać, że kiedy już przekaże ją księżniczce, na dobre pozbędzie się problemu. Wierzył w to jednak coraz mniej.

Ruszył szybkim tempem ku łodzi. Wdrapał się na pokład, wytarł się spodniami i włożył galabiję.

Łódź sunęła gładko po wodzie, świeciło słońce. Powinien być zadowolony, bowiem z powodzeniem realizował swój plan. Tymczasem opadło go czarne przygnębienie. Nie mógł wyzwolić się z myśli, że ją oszukiwał, że przedłożył obowiązek i ambicje zawodowe nad przyjaźń i pożądanie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- O co chodzi? - spytała z troską Maggie. Siedziała na koi i zwijała parami pończochy.

- O Quina. - Kleo czuła nieprzyjemne zawirowania w żołądku, prawdopodobnie skutek wzburzenia, napiętości, nadmiaru morelowych ciastek i napięcia związane-go z bójką w mieście.

- Uwiódł panią? I jak było? Wyobrażam sobie, że musi być fantastycznym kochan-kiem.

- Nie, nie uwiódł mnie. Powiedziałam mu, że chcę się z nim kochać.

Maggie przyjrzała jej się z zaciekawieniem.

- Chyba nie przeżyła pani rozczarowania?

- Pieścił mnie i to było cudowne, ale nie pozwolił, żebym ja go pieściła.

- Dlaczego?

- Bo chyba tak naprawdę mnie nie chce. Albo przeszkadza mu poczucie honoru. A może rozsądek. Ale oczywiście jako dżentelmen „spełnia żądania damy” - powie-działa Kleo z przekąsem. - No i dzięki temu nie będzie musiał słuchać o moich pra-gnieniach, kiedy już dotrzemy do Anglii. - Podciągnęła kolana i oparła na nich bro-dę. - Kiedy to zrozumiałam, pokłóciłam się z nim. Czy raczej próbowałam się pokłó-cić, bo wyglądało to tak, że ja na niego krzyczałam, a on zachowywał dostojne mil-czenie.

- Gdzie jest teraz?

- Nie mam pojęcia. - Kleo wzruszyła ramionami.

- Wie, co pani czuje? - Maggie upchnęła pończochy w torbie, którą następnie za-wiesiła na gwoździu wbitym w ścianę.

- Nie ukrywałam tego. Musiałby być wyjątkowo tępy, żeby się nie domyślić. A czego jak czego, ale inteligencji jego lordowskiej mości nie brakuje.

- Nie chodzi mi o to, czy wie, że jest pani na niego wściekła - powiedziała Maggie tonem cierplivej perswazji. - Czy wie, że go pani kocha?

Kleo na moment zastygła z otwartymi ustami. Potem zaśmiała się nienaturalnie głośno.

- Co za nedorzeczność... - Urwała i popadła w zadumę. - O, nie. Rzeczywiście, ja go kocham. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. To okropne. To dlatego tak mi źle...

- Niby czemu okropne? - zdziwiła się Maggie. - Jest przystojny, inteligentny... Byłby świetnym mężem.

- Mężem! Mówisz, jakbym chciała wyjść za męża. - Śmiałe słowa, Kleo, zadrwiła z siebie w duchu. Gdyby ci się oświadczył, powiedziałałabyś „tak” bez zastanowienia.

- Poza tym jest zainteresowany pewną utytułowaną damą, idealną na żonę dyploma-ty, do tego bogatą i posiadającą ustosunkowanego tatę. Dlaczego miałby chcieć mnie?

- W takim razie co pani zrobi?

- Będę go unikać - mruknęła ponuro Kleo. Mogła mieć tylko nadzieję, że Quin nie domyśli się jej uczuć. Miała swoją dumę i czasami tylko ona trzymała ją przy życiu.

- Pani też jest damą - przypomniała jej Maggie. - Wiem, że prowadziła pani trochę... surowe życie, ale nie można pani zarzucić złego pochodzenia.

- On potrzebuje kogoś, kto doskonale czuje się w eleganckim towarzystwie. Ja nie mam pojęcia, kto jest kim, a podczas proszonego obiadu przed wyjazdem z Kairu nie wiedziałam nawet, który sztuciec jest do jakiej potrawy. Rodzice uciekli i pobrali się w atmosferze skandalu, a moi angielscy krewni nie chcą mnie znać. Poza tym nie mam pieniędzy, a tym bardziej wpływów, a Quin potrzebuje jednego i drugiego, żeby rozwijać swoją karierę.

Starła się przekonać Maggie, że jej ewentualny związek z Quinem jest absolutnie niemożliwy; gdyby jej się udało, może zdołałaby zgasić w sobie ten uparty płomyk nadziei, że jednak...

- Gdyby panią kochał, to wszystko nie miałyby żadnego znaczenia. Trzeba chwycić tyle szczęścia, ile tylko się da, bo życie jest krótkie.

- Ale dla mnie to by miało znaczenie - odpowiedziała z przekonaniem Kleo. - Nie mogłabym pozwolić, żeby z mojego powodu odrzucił upragnioną karierę.

- Bardzo to romantyczne i szlachetne - mruknęła Maggie, zupełnie nieprzekonana.

- Wcale nie. Nie zaznalibyśmy szczęścia, bo miałabym poczucie winy. I wszystko by się popsuło. Jestem samolubna.

- Cóż, ja uważam, że... - Nie dokończyła, bo do kajuty wpadła pokojówka madame da Sota.

- *Madame* już wstała, czuje się znacznie lepiej i prosi, żeby pani do niej przyszła... *madame* - zwróciła się do Kleo. Zawsze dodawała tytuł po pauzie, jakby musiała się najpierw zastanowić, czy należy go użyć.

Domyśla się, że nie jestem prawdziwą damą, pomyślała Kleo ze smutkiem. W Londynie też nikt się na to nie nabierze.

- Powiedz jej, proszę, że przyjdę, kiedy tylko Maggie mnie uczesze. Na pokładzie strasznie wieje - dodała, wyciągając spinki ze zmierzwionych włosów.

Potrzebowali trzech dni, przy spokojnym morzu i łagodnym wietrze, żeby dopłynąć do Gibraltaru. Kleo trzymała się pozostałych pań i unikała pozostawiania sam na sam z Quinem. On także nie próbował jej zagadywać, a podczas posiłków odnosił się do niej z uprzejmym dystansem.

- Lord Quintus posiada doprawdy nienaganne maniery - oświadczyła madame da Sota któregoś popołudnia, gdy siedziały na pokładzie w cieniu markizy. - Typowe dla angielskiej arystokracji. Odbylam z nim dziś rano interesującą dyskusję na temat greckiej polityki.

- W istocie - rzuciła Kleo bezbarwnym tonem, kończąc ścieg na szytej przez siebie sukni. Utrzymywała na twarzy grzeczny uśmiech; serce jej krwawiło, ale miała swoją dumę.

- Widziała pani Gibraltar, płynąc do Egiptu, panno Woodward? - spytała madame da Sota, jak zwykle nagle zmieniając temat.

- Nie, *madame*. Sądzę, że dojechalibyśmy tam lądem przez Włochy, które zapamię-

tałam jako dziecko. Później przenieśliśmy się do Grecji i dalej na Bałkany.

- Zatem nie pamięta pani Anglii?

- Nigdy nie byłam w Anglii, *madame*.

- Mój Boże! Kto będzie pani służył za przyzwoitkę, kiedy pani już tam dotrze, panno Woodward?

- No cóż... - Dotąd w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Prawdopodobnie można było wynająć odpowiednią osobę w jakiejś agencji.

- Ja - odezwała się stanowczo Maggie.

- Ale przecież czeka na ciebie syn i rodzice - przypomniała jej Kleo. Zakładała, że Maggie nie będzie mogła z nią zostać.

- Freddie ma się najlepiej tam, gdzie jest teraz. Będę go odwiedzać, ma się rozumieć, ale spędził z dziadkami więcej czasu niż ze mną. Nie będę go wyrywać z miejsca, które dobrze zna, tylko po to, żeby go mieć dla siebie.

Kleo zaczynała coraz lepiej poznawać Maggie. Szeroki uśmiech i zawadiacka mina skrywały bolesne wewnętrzne zmagania: tęskniła za synem, pragnęła z nim być i jednocześnie chciała zrobić to, co dla niego najlepsze.

- Mógłby przyjeżdżać do Londynu na wakacje - podpowiedziała Kleo. - Chybaby mu się podobało. W dużych miastach zwykle jest mnóstwo atrakcji dla dzieci, no i spędzalibyście razem trochę czasu.

- Proszę mi wybaczyć, panno Woodward. Maggie jest wspaniałą pokojówką, nie wątpię, ale będzie pani potrzebowała towarzyszkę o odpowiednim statusie.

- Tak, oczywiście - zbyła ją Kleo. Żywiła głębokie przekonanie, że Maggie całkowicie jej wystarczy.

- Może zrobimy przymiarkę sukni, żeby mogła przypiąć górę do spódnicy, panno Woodward? - Maggie, jak przystało na wspaniałą pokojówkę, podsunęła wymówkę do odwrotu.

- Tak, lepiej zrobmy to od razu. Zechce nam pani wybaczyć, *madame*? - Pośpiesznie wróciły do kabiny z naręczem materiału. - Naprawdę zgodziłabyś się ze mną zostać? - spytała Kleo, kiedy były już same. - Nie wiem, jak wyglądają zarobki w Londynie, ale zapłacę ci odpowiednią sumę i to, co jestem ci winna za tę podróż.

- Tym proszę się nie martwić. Jego lordowska mość dał mi pięć suwerenów i zapłacił za przejazd, więc nic mi nie trzeba, dopóki nie załatwi pani spraw ze swoimi bankierami. - Maggie rozłożyła osobne części sukni. - Może je pani na siebie włożyć? Jego lordowska mość zobaczy, że ma do czynienia z damą.

- Gołąb w pożyczonych piórach nadal pozostaje gołębiem, nie staje się pawiem. - Kleo wyciągnęła przed siebie ręce. - Spójrz na nie. *Madame* da Sota ciągle nad nimi ubolewa. Są brązowe od słońca, widać odciski, a paznokcie jeszcze mi nie poroślały do równej długości. Moje włosy trudno uczesać w elegancką fryzurę, jestem opalona na twarzy i...

- Tak bardzo panią obchodzi, co on myśli? - przerwała jej Maggie.

- On? Masz na myśli Quina? Nie, oczywiście, że nie. Jestem ponad takie rzeczy. - Kłamczucho, chcesz, żeby padł z zachwytu, porażony twoją urodą i wdziękiem.

- Możemy obejrzeć fryzury pań na Gibraltarze i potem spróbuję panią uczesać w takim samym stylu. Może znajdzie się nawet ktoś, kto by pani przyciął włosy. A już na pewno mają tam sklepy z tymi wszystkimi kremami, których używają damy

w Anglii.

- Trudno będzie się dostać na brzeg, żeby oglądać i kupować. - Kleo stała bez ruchu, a Maggie nałożyła jej przez głowę najpierw dolną, potem górną część szytej sukni, uważając na szpilki i fastrygi.

- Ja to z nim załatwię - oznajmiła Maggie, po czym zrobiła krok do tyłu, żeby ocenić, jak dopasowała stanik. - Jeśli nam zabroni, wezmę go na stronę i powiem, że wyjście na brzeg jest absolutnie konieczne z kobiecych powodów. Będzie się wstydział zadawać dalsze pytania - dokończyła ze śmiechem.

- Widać, że radzisz sobie z mężczyznami znacznie lepiej niż ja - przyznała Kleo, przebijając się z powrotem w swoją starą suknię.

- Tak naprawdę nie są skomplikowani - powiedziała Maggie i wzięła się do zszywania góry z dołem. - Wystarczy wiedzieć, jak działa ich umysł, i wybrać odpowiednią taktykę. Jego lordowska mość jest dżentelmenem, więc nie będzie chciał wprawić damy w zakłopotanie. Proste.

Odmierzając wstążkę, Kleo myślała o teorii wygłoszonej przez Maggie. Zastanawiała się też, czy będzie miała odwagę jeszcze kiedyś zwrócić się do Quina.

*15 maja 1801, Tamiza, Londyn*

- Nareszcie w domu - westchnęła Maggie. Wychylona za burtę głęboko wciągała powietrze.

Kleo cała się trzęsła, mimo że była otulona grubym szalem zakupionym na Gibraltarze. Zadymione, wilgotne powietrze o zapachu rzeki wcale jej się nie podobało.

- Dobrze wrócić do miasta, gdzie nie ma upału i piasku, prawda, Maggie? - zagadnął Quin, przystając obok nich. Kleo przyjrzała mu się ukradkiem i stwierdziła, że jest niesłychanie wręcz elegancki. Sądziła, że angielscy dżentelmeni nie potrafią się ubrać bez pomocy kamerdynera, zwłaszcza tak wytwornie, tymczasem Quin najwyraźniej świetnie sobie z tym radził. Na Gibraltarze udało mu się nawet skorzystać z usług fryzjera.

- To jest zima? - spytała Kleo, przekonana, że nos musiał jej zsinieć. Unikali się od czasu, gdy statek wpłynął na wody Atlantyku, a odzywali się do siebie jedynie podczas posiłków i przypadkowych spotkań na pokładzie, czyli tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

Quin bez sprzeciwu przystał na wydukaną nieśmiało prośbę Maggie o zgodę na dokonanie zakupów, co więcej, poprosił zameżną siostrzenicę gubernatora, by towarzyszyła im z jednym ze swoich lokai.

Pani Denver zakładała, że Kleo dużo wie o Quinie, i nie szczędziła jej pytań. „Nie, nigdy nie tańczyła z lordem Quintusem, ale nie wątpi, że jest w tym względzie wielce utalentowany. Nie, nie zna jego rodziny, ale jest pewna, że wszyscy jego bracia są czarujący. Nie, nie ma pojęcia, co lord Quintus planuje zrobić po przybyciu do Londynu”. Poza tym, że będzie się zalecał do przyszłej żony, mogłaby dodać, ale ugryzła się w język.

- Nie kupiłaś sobie płaszcza? - spytał Quin, nie kryjąc zdziwienia. Albo widział, że drży, albo jedynie zasugerował się jej pytaniem.

- Nie. Nie przyszło mi do głowy, że będzie aż tak zimno.

- Przyznaję, że jest wyjątkowo chłodno, jak na połowę maja. Znajdę ci coś cieplejszego. - Odszedł i po pięciu minutach wrócił z czarną peleryną z najprzedniejszej wełny. Okrył jej ramiona, ale pozwolił, by sama zapięła sprzączkę pod szyją. - Jest dobre pół metra za długa na ciebie, więc uważaj, żeby się nie zaplątać.

Kleo była mu wdzięczna za uprzejmy ton.

- Dziękuję. Będę uważać, żeby jej nie ubrudzić błotem.

- W powozie nie będzie ci potrzebna - odparł Quin, wpatrzony w szybko zbliżające się nabrzeże. - Świetnie, już tu są.

- Kto? - Kleo rozejrzała się po tłumie zgromadzonym na brzegu; wydał jej się równie chaotyczny jak w Kairze.

- Po przybyciu do Gibraltaru napisałem do mojego sekretarza, żeby nas odebrano z portu, nawet gdyby to wymagało przyjeżdżania codziennie przez tydzień. Nie chcemy przebywać zbyt długo w tej okolicy. Pójdę sprawdzić, czy wszystkie bagaże już przygotowano.

- Jeśli cała ta kolejka powozów należy do jego lordowskiej mości, to musi być bogaty - odezwała się Maggie, wskazując na trzy wielkie pojazdy; nawet z daleka było widać, że są kosztowne i wygodne.

- Przynajmniej zajedziemy z fasonem do tego pensjonatu, o którym wspominał - powiedziała Kleo z zadowoleniem. - Dzięki temu zostaniemy potraktowane z szacunkiem.

Wyglądało na to, że Quin jest nie tylko bogaty, ale też dysponuje znakomitą służbą. Nie minęła nawet godzina od zarzucenia pierwszej cumy, gdy znaleźli się na brzegu; bagaży ułożonych w schludny stos pilnował barczysty osobnik, którego Quin nazywał Samem, a pan Baldwin, sekretarz Quina, prowadził ich w stronę największego z powozów.

- Wszystko jest zorganizowane tak, jak pan zarządził, milordzie. Godley czeka na pana w domu, a ja nie przyjmowałem w pańskim imieniu żadnych zaproszeń na następny tydzień. Bagaż panny Woodward pojedzie pierwszym powozem, a pański wraz ze mną, prosto do Albany.

- Dziękuję ci, George. Jak zawsze spisałeś się doskonale - powiedział Quin takim tonem, jakby to był żart zrozumiały tylko dla nich dwóch. Pan Baldwin uśmiechnął się szeroko, co natychmiast zmieniło go z suchego urzędnika w sympatycznego młodego mężczyznę. - Staram się, milordzie - rzekł, na powrót przybierając poważny wyraz twarzy.

Quin pomógł Kleo i Maggie wsiąść do powozu; wprawił przy tym Maggie w zakłopotanie, każąc jej zająć miejsce obok Kleo. Pojazd wyglądał w środku równie luksusowo, co z zewnątrz, z miękkimi kanapami pokrytymi bordowym pluszem, wyściełaną dywanem podłogą i licznymi schowkami w tapicerowanych drzwiach. Kleo nie mogła się oprzeć i pogładziła aksamitnie gładką wypukłość oparcia. Posiadanie takiego powozu, zaprzęgu i stangretów wydało jej się niesłychanym luksusem.

Pomyślała, że miała szczęście, uwalniając się od zakurzonego namiotu i całkowicie ją zadowoli przyzwoite mieszkanie, pieniądze na utrzymanie i niezależność.

- Proszę spojrzeć. - Maggie wskazała na prawo. - Katedra Świętego Pawła. Jesteśmy w City, gdzie mieszczą się największe sklepy. Są tu też banki i kancelarie



prawne.

- Czy właśnie tu znajduje się dom, do którego mnie zabierasz? - spytała Kleo, nie patrząc przez okno. Uznała, że przyjdzie czas na zwiedzanie, kiedy już się urządzi.

- City nie jest uważane za odpowiednie miejsce dla dam - odpowiedział Quin. - Gdybyś tu zamieszkała, to by oznaczało, że nie należysz do najwyższych kręgów. A chyba nie chcesz uchodzić za byle kogo?

Ale ja nie należę do najwyższych kręgów, pomyślała Kleo. Nie odezwała się jednak, skoro Quin uważał, że stać ją na mieszkanie w lepszej dzielnicy, nie zamierzała się sprzeciwiać.

Powóz zjechał ze wzgórza, a potem znów zmierzał pod górę, koła turkotały na bruku.

- Gdzie teraz jesteśmy? - spytała, zdziwiona aż tak dużym zróżnicowaniem terenu. Patrzyła na zatłoczone chodniki, witryny sklepów, wiszące szyldy gospód.

- Właśnie mijamy bramę o nazwie Temple Bar - odparł Quin. - Jesteśmy w Westminsterze.

- Strand - wtrąciła Maggie i zamilkła na pięć minut. - Pall Mall, proszę spojrzeć, Carlton House, siedziba księcia regenta... St. James. A teraz już nie wiem. Tu nigdy nie byłam. - Siedziała w milczeniu, z szeroko otwartymi oczyma.

- Jedziemy do Mayfair - wyjaśnił Quin.

Wielkomiejski gwar przycichł. I tu na ulicach było tłoczno, ale od powozów równie wytwornych jak ten, którym jechali.

- Milordzie... - zaczęła Maggie niepewnym głosem. Quin uniósł pytająco brew. - A... nic takiego.

- Jesteśmy na miejscu. - Powóz wtoczył się na rozległy plac otoczony zabudową, która przypominała rzędy połączonych ze sobą pałaców. Wokół ogrodu, czy raczej małego parku na środku, biegło kute żelazne ogrodzenie, ozdobna metalowa krata zdobiła też wejście do każdego z domów. - Grosvenor Square - powiedział Quin, kiedy się w końcu zatrzymali.

Stangret otworzył drzwi i opuścił schodki; Quin pomógł Kleo wysiąść, stangret zapewnił asystę Maggie.

- Bardzo tu... wytwornie - wydukała Kleo. Wydało jej się raczej niemożliwe, żeby dom z mieszkaniami na wynajem mógł stać w takim miejscu. Coś się nie zgadzało, ostrzegał ją instynkt.

- To jeden z najlepszych adresów w Londynie - przyznał Quin, prowadząc ją na schody. Kleo miała wrażenie, że jej nogi nagle stały się dziwnie ciężkie, a ciało wygina się do tyłu, jak pod naporem silnego wiatru. Quin mocno trzymał ją pod rękę. Drzwi się otwarły, mimo że nawet nie zapukał. Zaraz potem Kleo znalazła się w holu, który wyglądał, jakby był cały wykuty z marmuru - podłoga, schody, kolumny tworzyły obraz zimnej, czarno-białej doskonałości.

Dokąd on mnie przywiózł? - zastanawiała się gorączkowo.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Jego wysokość już czeka, milordzie. - Człowiek w nienagannym ciemnym stroju skłonił się przed nimi z uszanowaniem. - Panno Woodward, witamy. Jestem Cranton, ochmistrz. - Wziął od Quina płaszcz i kapelusz. - Zechcą państwo pójść za mną.

Jak we śnie Kleo dreptała po lśniącej posadzce. Ochmistrz otworzył podwójne drzwi, dwa razy wyższe od niej, i zaanonsował ich:

- Panna Woodward, lord Quintus Deverall, Wasza Wysokość.

Znaleźli się w pomieszczeniu, które wyglądało na bibliotekę, z przytłaczającymi ciemnymi sprzętami, setkami książek na półkach i ciężkimi bordowymi zasłonami w oknach.

Wysoki, szczupły mężczyzna po sześćdziesiątce stał przed biurkiem. Kleo zauważyła, że ma krótko przycięte szpakowate włosy, orli nos, szarozielone oczy, które wydały jej się dziwnie znajome, oraz wąskie, surowo ściągnięte usta.

- Wasza Wysokość. - Quin położył Kleo dłoń na ramieniu. - Pozwalam sobie przedstawić pańską wnuczkę Augustę Kleopatrze Agrypinę Woodward. Panno Woodward, to pani dziadek, książę St. Osyth.

- Nie! - Odsunęła się od niego gwałtownie. - Nie! Powiedziałeś, że zabierasz mnie do domu, gdzie będę mogła bezpiecznie zamieszkać. Mówiłeś...

- Trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze dla ciebie miejsce - odezwał się książę. - Może dwór królowej? - Uniósł kąciki ust, ale w oczach nie miał uśmiechu. - To twój nowy dom, Augusto. Witam.

- Nie. Obiecano mi niezależność, obiecano... - Odwróciła się do Quina. - Wycho-dzę. Sama znajdę sobie kwatery.

- I czym za nią zapłacisz? - Książę przeszedł do krzeseł i sofy stojących przy nierozpalonym kominku. - Usiądź, proszę, Augusto, wtedy i my z lordem Quintusem będziemy mogli spocząć. Może napijemy się herbaty? - Pociągnął za chwost dzwonka.

- Najwidoczniej jesteś zmęczona podróżą. Bardzo była fatygująca?

To musi być tylko zły sen, wmawiała sobie Kleo. Miała ochotę uciekać, tymczasem spojrzenie szarych oczu, tak podobnych do jej własnych i mamy, kazało jej zająć miejsce na sofie. - Mam pieniądze. Załatwiłam to z papą przed wyjazdem z Egiptu. Całkiem znaczną sumę, muszę tylko się spotkać z bankierami.

- Mam kontrolę nad wszystkim, co posiadasz, Augusto. Naturalnie otrzymasz bardzo szczodre kieszonkowe. Nie będziesz się musiała martwić o pieniądze, mieszka-jąc pod moim dachem.

- Mam na imię Kleo i właśnie staram się wyjaśnić, że wcale nie chcę mieszkać pod dachem Waszej Wysokości.

- Kleopatra to obce imię. Augusta brzmi znacznie lepiej. - Książę usiadł, skrzyżo-wał nogi w kostkach i złożył dłonie jak do modlitwy. - Jesteś niezamężną kobietą, Augusto, więc podlegasz mojej opiece. Będę decydował o twoim majątku, twoim za-chowaniu i twojej edukacji, która najwyraźniej została poważnie zaniedbana. Wyj-

dziesz spod mojej kurateli wyłącznie w ręce męża. Czy wyrażam się jasno?

- Owszem, Wasza Wysokość, jaśniej chyba nie można. - Usiłowała zachować spokojny ton, mimo lęku wzbierającego w środku. - A ja powtarzam, że nie zgadzam się tu zamieszkać ani słuchać poleceń Waszej Wysokości. Mam dwadzieścia trzy lata i jestem wdową...

- Bez grosza przy duszy - wszedł jej w słowo dziadek. - Kobieta bez pieniędzy może zarobić na życie tylko w jeden sposób, moja droga, a do tego z pewnością nie dojdzie. Deverall, napije się pan z nami herbaty - zwrócił się do Quina. - Widzę, że zadanie dostarczenia mojej niewdzięcznej wnuczki należało do przykrych i uciążliwych.

- Przeciwnie, Wasza Wysokość. Panna Woodward bez wątpienia uratowała mi życie, kiedy zostałem ranny, i bardzo mi pomogła uniknąć konfrontacji z oddziałami Francuzów.

W tym momencie drzwi się otwały i ochmistrz wprowadził służącego, który zajął się ustawianiem serwisu do herbaty i przekąsek na małym stoliku pomiędzy Kleo i Quinem.

- Jesteś kłamcą, szpiegiem i do tego podstępny gadem - powiedziała Kleo do Quina, gdy znów zostali we troje. Quin nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął szczęki.

- Augusto, lord Quintus jedynie wykonywał swoje obowiązki. Zadanie było jasne: ustalić, czy twój ojciec jest zdrajcą, i przywieźć cię do mnie. I nie chcę więcej słyszeć, jak pozwalasz sobie kwestionować honor dżentelmena.

Bo co? - miała ochotę spytać. Wiedziała jednak, że takie zachowanie byłoby dziecinne. Odwrócona plecami do księcia wycedziła Quinowi prosto w twarz:

- Nigdy nie miałam do ciebie pełnego zaufania, ale wciąż od nowa rozstrzygałam wątpliwości na twoją korzyść. Mogłam cię zostawić bez pomocy, żebyś umarł. Mogłam cię wydać Laurentowi. Ale jestem głupia i... - W ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie wyznać tego, co najbardziej ją przerażało: że się w nim zakochała. - I robiłam posłusznie to, co mi kazałeś.

- Rozumiem, że musiałeś przerwać korespondencję przechodzącą przez ręce mojego ojca - podjęła, zaczerpnąwszy tchu. - I to, że oszukiwanie było konieczne do czasu, gdy potwierdziłeś jego niewinność, też rozumiem. A co miałeś zrobić, gdyby okazał się winnym? - Quin zmrużył oczy, ale zachował milczenie. - Aha, rozumiem. Nie dość że szpieg, to jeszcze zabójca. I co mam teraz zrobić?

- Kiedy dzięki wywiadowi dotarło do mnie, w jakim położeniu się znajdujesz, uznałem, że najwyższy czas zabrać cię od ojca - włączył się książę. - Wiedziałem, że prowadzi życie ekscentryka, ale nie zdawałem sobie sprawy, że popadł w nędzę.

- Nędzę! - Kleo wyciągnęła przed siebie ręce. - Proszę na nie spojrzeć. Czy to są dłonie kobiety, która poddaje się nędzy? Pracowałam, Wasza Wysokość, gotowałam, sprzątałam i prałam. Robiłam to dla ojca po śmierci mamy, i dla męża, kiedy podstępnie mnie za niego wydano, a potem znowu dla ojca, kiedy owdowiałam. Moja matka robiła to samo, latami. Gdzie wtedy byłeś, Wasza Wysokość?

- Twoja matka sama dokonała wyboru, uciekając z tym nicponiem - odparł sztywno książę. - Byliście, wszyscy troje, daleko od Anglii.

- Aha, teraz rozumiem. - Kleo czuła, że opuszcza ją gniew, a jego miejsce zajmuje

łodowaty spokój. – Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nagle jednak zaistniała groźba, że przez ojca wybuchnie skandal i nazwisko Ashfordham okryje się niesławą, więc należało mnie zabrać z Egiptu i zmienić w słodką panienkę, która nikomu nie przysporzy kłopotów.

Mina dziadka nie pozostawiała wątpliwości, że udało jej się trafić w samo sedno.

Quin wstał.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie powinienem być obecny podczas rozmowy o sprawach rodzinnych Waszej Wysokości. Do widzenia, Wasza Wysokość, panno Woodward. Jestem pewien, że wkrótce wszystko się pomyślnie ułoży. – Skierował się ku drzwiom.

– Deverall, jestem panu niezmiernie zobowiązany. – Księżę również podniósł się z miejsca. – Pan i pański wydział możecie liczyć na moją wdzięczność.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, i zapewniam, że satysfakcja z przywrócenia panny Woodward na łono rodziny całkowicie mi wystarcza. – Mimo uprzejmych słów Kleo poznała, że Quin tłumi w sobie złość. – Tu jest jej miejsce i cieszę się, że jest bezpieczna.

Może i czuł się nieswojo z tym, co zrobił, ale wypełnienie misji miało zaowocować rozwojem jego kariery, to nie ulegało wątpliwości. Księżę musiał mieć potężne wpływy i żaden dyplomata by ich nie zlekceważył, żeby ratować wolność jakiejś mało ważnej kobiety.

Kleo wstała i ruszyła w stronę Quina. Patrzył na nią, ale nawet nie drgnął, choć musiał się spodziewać, że zostanie spoliczkowany. Tymczasem Kleo wspięła się na palce i cmoknęła go nieco powyżej ust. Czowała, jak mięśnie napinają mu się pod skórą.

– Wybaczam ci – wycedziła z jadowitą słodyczą. Quin pokręcił głową bez słowa, nie potrafiła odczytać wyrazu jego nagle pociemniałych oczu. – Ostatecznie zdradzenie kobiety, która nic dla ciebie nie znaczy, w zamian za przychyłność tak możej osoby jak księżę jest całkowicie zrozumiałe.

– Nie, Kleo, to nie tak... – zaczął; było jasne, że boleśnie go ugodziła swymi słowami.

– Żegnaj, Quinie – przerwała mu. – Mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Wygląda, że Wasza Wysokość postawił na swoim. – Za Quinem cicho zamknęły się drzwi. Kleo wróciła na sofę. Nalała sobie filiżankę herbaty i próbowała opanować zamęt w głowie. Bardzo chciała wierzyć Quinowi, jednak jej dziadek otwarcie dał do zrozumienia, że stosownie mu odpłaci za przysługę. – Może herbaty?

– Dziękuję. – Księżę patrzył, jak Kleo dodaje do herbaty plasterki cytryny, zapewne nie uznawała mleka i cukru, nakłada na talerz przekąski i stawia na stoliku przy jego łokciu.

Ponownie usiadła i przybrała na twarz najśłodszy, najbardziej fałszywy z uśmiechów. Wybrała dla siebie dwa kąski i sięgnęła po maleńki srebrny widelczyk.

– Jak widzisz, Wasza Wysokość, nie piję z talerzyka i nie wpycham sobie jedzenia do ust rękami. Może nie jestem aż tak dzika, jak się spodziewasz. – Skłoniła się ironicznie. – Nie jestem też idiotką, Wasza Wysokość.

– Nigdy cię za taką nie uważałem, Augusto. Twój ojciec, przy wszystkich swoich wadach, jest inteligentnym człowiekiem, choć o nieco ograniczonych zainteresowa-

niach. Twoja matka była bystrą młodą kobietą, dopóki nie straciła głowy i z nim nie uciekła. Ale ja też nie jestem głupi ani naiwny. Nie uśpisz mojej czujności tym przedstawieniem.

- Zostałam oszukana i znalazłam się wbrew swojej woli gdzieś, gdzie wcale nie mam ochoty być. Odcięto mnie od moich pieniędzy. Oczekujesz, że będę grzecznie powtarzać: „Tak, dziadku, czego tylko sobie życzysz, dziadku”? Jestem wściekła i nie zamierzam tego ukrywać.

- Chcesz, żebym przyznał się do winy? Dobrze. Powinienem był wysłać po ciebie agentów natychmiast, gdy tylko się dowiedziałem o śmierci twojej matki. Chcesz, żebym przeprosił? Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że tak trudno ci się żyje ani że cię wydano za jakiegoś Francuza... Owszem, jedno i drugie wynikało z mojego zaniedbania, bo nie sprowadziłem cię do Anglii zawczasu i nie znalazłem ci odpowiedniego męża.

- I tak bym nie przyjechała. Mam pretensje nie o twój wcześniejszy brak zainteresowania, Wasza Wysokość, tylko o obecne uwięzienie. Po prostu nie chcę tu być.

- Nie masz wyboru. Musisz ułożyć sobie życie tu, w Anglii, stać się damą, postępową, jak przystało na wnuczkę księcia. Nie ma dla ciebie miejsca nigdzie indziej, Augusto, tylko tutaj.

Moje miejsce jest u boku Quina, pomyślała z bólem. Kocham go, mimo że mnie oszukał. Co mogę zrobić?

Odpowiedź nie była trudna. Wiedziała, że bez pieniędzy musi się podporządkować woli dziadka.

- Zgoda, ale pod pewnymi warunkami. - W końcu była dorosła i mogła negocjować, zamiast potulnie słuchać poleceń. - Mam na imię Kleo. Maggie Tomkins jest moją pokojówką, nadal będę ją zatrudniać i otrzyma odpowiednie wynagrodzenie. Jeśli nie wyjdę za mąż do swoich dwudziestych piątych urodzin, czyli w ciągu osiemnastu miesięcy, dasz mi dostęp do moich pieniędzy i przestaniesz mnie kontrolować.

- Chcesz się ze mną targować? Świetnie. Co do pokojówki, zgadzam się. Twoja ciotka Madeleine, wdowa, będzie patrzeć, czy należycie wypełnia swoje obowiązki. Co do imienia, cóż, chyba musimy je tolerować. Przynajmniej jest zgodne z obecną zwariowaną modą na wszystko, co pochodzi z Egiptu. Pozostały warunek jest, rzecz jasna, niedorzeczny. Wyjdiesz za mąż za dżentelmena, którego dla ciebie wybiorę.

- Po chwili namysłu podjął przemowę: - Masz poważnie rozważać każdą ofertę małżeńską, którą uznam za korzystną. Gdyby jednak żaden z kandydatów nie przypadł ci do gustu, przeprowadzisz się na wieś i będziesz dotrzymywać towarzystwa swojej ciotecznej babce Millicent.

- Ale...

- Nie ma innego godnego wyjścia dla niezamężnej wnuczki księcia. To moja ostateczna decyzja.

Słowa księcia zabrzmiały jak wyrok więzienia. Pocięszało ją tylko, że zapoznając się z kolejnymi ofertami, zyska czas na poznanie tego dziwnego kraju i zbieranie pieniędzy, żeby w razie zesłania móc uciec. Miała również nadzieję, że z czasem uda jej się zapomnieć o Quinie Deverallu.

- Jeśli będziesz się opierać przed nauką i nie uda ci się zostać damą, pojedziesz na wieś od razu - dodał książę na zakończenie.

Kleo poczuła dreszcz lęku. Okazała naiwność, wierząc, że może stawiać warunki temu człowiekowi. Dziadek bez wątpienia nie rzucał słów na wiatr, a miał wystarczającą władzę, żeby spełnić swoje groźby – nikt by się nie ośmielił odmówić księciu.

Powstrzymała się od protestów. Musiała grać na czas, sprawić wrażenie, że jest mu posłuszna. Księżę znów pociągnął za sznur dzwonka.

– Poproś lady Madeleine, żeby do nas dołączyła, Cranton – zwrócił się do ochmi-strza, który wyrósł jak spod ziemi. – No, Kleo, zaczynamy.

Minęły zaledwie dwa tygodnie, a ja mam głowę pełną wiadomości o herbowych przodkach, zasad zachowania się przy stole, tanecznych kroków. Nic więcej się w niej nie zmieści! Do tego jestem kłuta szpilkami przez szwaczkę podczas ciągłego mierzenia nowych strojów.

Kleo wchodziła po schodach wpatrzona w plecy idącej przed nią matrony.

– Sądząc po liczbie zaproszonych, będzie to wielkie wydarzenie – mówiła z zadowoleniem ciotka Madeleine. – Wiedziałam, że mogę zaufać Almeirze Hazelcroft, że zorganizuje coś odpowiedniego na twój debiut w towarzystwie.

Spojrzała surowo na Kleo, która modliła się w duchu, by ciotka nie dostrzegła żadnego uchybienia w jej wyglądzie, wyrazie twarzy czy sposobie trzymania wachlarza. Kleo wiedziała, że jej dalszy pobyt w Londynie będzie możliwy tylko, jeśli nauczy się wszystkiego, czego od niej oczekiwano, i nigdy nie pokaże gorszących braków w swoim wychowaniu.

– Nie dam się zmylić biernym oporem, Kleo – ostrzegł ją dziadek. – Ujawniłaś swój buntowniczy, zuchwały charakter, który musi zostać starannie skorygowany. Rozumiesz?

Owszem, rozumiała. I odkryła, że boi się go jak jeszcze nikogo, ponieważ wyczuwała, że dziadek ma moc, by całkowicie stłamsić jej prawdziwą osobowość. Nocami nie mogła spać z obawy, że zmusi ją do małżeństwa wbrew jej woli.

Po dwóch tygodniach intensywnej nauki i kompletowania garderoby uznano, że jest gotowa, by przejść próbę. Gdyby jej się nie udało dowieść, że potrafi spełnić wszelkie wymogi stawiane wnuczce księcia, wszystko miało się skończyć właściwie, nim się zaczęło, ponieważ zbliżał się czerwiec i eleganckie towarzystwo jak co roku już planowało letnią ucieczkę od upału i kurzu stolicy. Lady Madeline postawiła sprawę jasno: gdyby Kleo nie poradziła sobie na balu, tym bardziej nie udałoby jej się dobrze wypaść na domowym przyjęciu.

Tłum gości stopień po stopniu zmierzał na piętro. Kleo, eskortowana przez dziadka i ciotkę, uniosła wzrok i spojrzała na szczyt schodów.

Quin.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Quin rozmawiał z jakimś człowiekiem w czerwonej kurtce; jego granatowy frak i śnieżnobiała koszula stanowiły żywy kontrast z barwą galowego munduru. Nie spodziewała się go spotkać, chociaż mogła zakładać, że Quin weźmie udział w tego rodzaju wydarzeniu, w końcu zamierzał stawać w konkury do przyszłej żony, a gdzie miałyby ku temu lepszą okazję?

Złość, tęsknota, żal jeszcze pogłębiły jej zdenerwowanie trudną sytuacją. Zadarła podbródek i wyprostowała się. Nie miała zamiaru pokazać, jak bardzo nieswojo się czuje, a tym bardziej wybuchnąć łzami. Kiedy Quin odwrócił głowę i skłonił się jej bez uśmiechu, odpowiedziała lekkim skinieniem i natychmiast umknęła wzrokiem.

Mogła przynajmniej mieć pewność, że nie odważy się do niej podejść po tym, jak się rozstali. Miała w uszach długie kolczyki, które kołysały się przy każdym jej ruchu, misternie upięte włosy dziwnie ciążyły jej na głowie; skupiona na tych drobnych niewygodach starała się trzymać w ryzach niesforne myśli.

Ciotka uznała, że Kleo jest tak wysoka, że nie ma sensu próbować tego maskować, a jako wdowa w przeciwieństwie do niezamężnych panien nie musiała nosić pastelowych kolorów. Jestem nie wiadomo kim, ani dziewczycą, ani matroną, pomyślała z irytacją. Gdybyż tak mogła czuć się po prostu sobą...

Dotarli na piętro, uścisnęli dłonie gospodarzy i skierowano ich do zatłoczonej sali balowej. Kleo napięta jak struna podążała za księciem, który w końcu zatrzymał się we wnęce, gdzie stało kilka rzeźbionych, lśniących złoceniami krzesel.

- Tu będzie dobrze, Madeleine? - zwrócił się do córki.

- Doskonale, papo, dziękuję. - Książę się oddalił, ciotka usiadła. - Stań tuż za mną, z ręką na oparciu krzesła, tak żeby cię widziano - poinstruowała siostrzenicę. Podchodziły do nich różne damy, następowała prezentacja. Niektóre siadały i dyskretnym gestem wzywały córki lub młode krewne, żeby do nich dołączyły. Kleo wykonywała dygnięcia, skinienia, starała się zapamiętywać imiona. I cały czas się uśmiechała.

Wiedziała, że jest obserwowana. Dobięła ją rozmowa prowadzona za osłoną wachlarzy.

- Podobno ona i jej ojciec utknęli na pustyni i dopiero jakiś francuski oficer uratował ich z rąk miejscowego dzikusa! Wyobrażasz sobie? Musiała za niego wyjść, żeby zapewnić opiekę sobie i ojcu. Potem rozegrała się bitwa, w której zginął, a jej ojciec... wiesz, ten uczonec, sir Philip Woodward, odważnie popłynął Nilem w małej łódce...

- O mój Boże! Krokodyle!

- No właśnie, też byłam przerażona! Na szczęście napotkali nasze wojska dzielnie oblegające Kair i ich uratowano. A panna Woodward... nie używa swojego francuskiego nazwiska i trudno jej się dziwić. Biedne dziecko... Wróciła do domu pod opieką żony jakiegoś bogatego kupca. Osoby wprawdzie nie z naszych kręgów, ale

bardzo szacownej.

- Dzięki Bogu. Zatem obecnie mieszka u swojego dziadka, księcia St. Osyth? Całkiem niezła partia, mimo tego francuskiego męża. Niebrzydka dziewczyna. Widziałś jej suknię? Od Madame Rochester, jeśli się nie mylę. I ten nefrytowy komplet... Oryginalny, no ale skoro jest wdową...

- Kleo, moja droga!

- Tak, ciociu Madeleine?

- Lady Jersey zmierza w naszą stronę.

Lady Jersey, jedna z osób najbardziej liczących się w towarzystwie. Kleo zeszywniała ze strachu. Miała świadomość, że jeśli źle wypadnie, będzie przegrana.

Następne pół godziny minęło jak we śnie. Najwidoczniej zachowała odpowiednią postawę, uśmiech, a nawet rozum, choć nie bardzo pamiętała, co i do kogo mówiła. Lady Jersey słuchała jej egzotycznej opowieści zainteresowana i uprzejmie rozbawiona, a po chwili zaczęli się do nich przyłączać obecni na sali dżentelmeni. Może jednak mi się uda, pomyślała wówczas Kleo z nadzieją.

- Lordzie Dryton, dobry wieczór. - Lady Madeleine zatrzepotała wachlarzem, zwracając się do jednego z otaczających je panów.

Kleo przyjrzała mu się tyleż dyskretnie, co podejrzliwie. Ciemnowłosa mężczyzna o oliwkowej karnacji, z wyrazistą linią ust i bruzdami idącymi od ich kącików ku nosowi, z uśmiechem skłonił się ciotce. Kleo odruchowo cofnęła się o krok.

- Lady Madeleine, jakże miło znów panią widzieć. Zechce mnie pani łaskawie przedstawić swojej siostrzenicy. Słyszałem ekscytujące opowieści o jej niebezpiecznej ucieczce z Egiptu. - Miał przyjemny, niski głos, ale jego spojrzenie pozostawało chłodne. Kleo odniosła wrażenie, że nim się do niej odezwał, obcesowo zmierzył ją wzrokiem.

- Oczywiście. Kleo, moja droga, to nasz dobry sąsiad z Somerset, lord Dryton. Milordzie, panna Woodward.

Kleo wykonała dygnięcie.

- Milordzie.

- Wygląda, że przeżyła pani ekscytującą przygodę, panno Woodward.

- Opowieści o krokodylach są zdecydowanie przesadzone, milordzie - odpowiedziała Kleo.

Lord Dryton przyjrzał się jej spod ciemnych brwi z taką miną, jakby ją uważał za płochą dzierlatkę.

- Doskonale. Mam nadzieję, że uczyni mi pani ten zaszczyt i ze mną zatańczy?

- Milordzie. - Wyjęła z torebki pusty karnecik, zapisała jego nazwisko przy pierwszym tańcu po kolacji.

- Deverall, mój drogi. Wróciłeś do stolicy - dobiegło nagle z boku.

Kleo upuściła torebkę; ktoś natychmiast ją podniósł. Wymruczała podziękowanie, usilnie starając się ukryć zainteresowanie Quinem.

Inni goście spoglądali w jego stronę, kiwali głowami, uśmiechali się przyjaźnie. Najwyraźniej był znany i lubiany w tych kręgach. Kleo miała ochotę czule go dotknąć... i wymierzyć policzek w tę gładko wygoloną twarz ozdobioną dyplomatycznym uśmiechem. Na wszelki wypadek mocno zacisnęła palce na trzonku wachlarza.



- Panno Woodward. - Pochylił głowę i ramiona w ukłonie.

- Lordzie Quintusie - odpowiedziała nadspodziewanie swobodnie. - Znowu się spotykamy. Lord Quintus płynął tym samym statkiem co ja z Aleksandrii - wyjaśniła ciotce.

Lady Madeleine знаła prawdziwą historię, ale nawet nie mrugnęła okiem.

- Doprawdy, moja droga?

- Ubolewam, ale znajomość była bardzo przelotna - powiedział Quin. - Cierpię na chorobę morską i spędziłem większą część tej okropnej podróży zamknięty w swojej kajucie. - Po minach jego znajomych Kleo widziała, że świadomie narażał się na bezlitosne docinki z powodu tego małego kłamstwa. - Muszę się postarać zatrzeć tamto marne wrażenie. Dlatego błagam, by zgodziła się pani ze mną zatańczyć, panno Woodward.

Wpojono jej prawidłowe zachowanie w takich okolicznościach: jeśli przyzwoitka akceptowała kandydata - a ciotka nie wyraziła zastrzeżeń - i w karneciku były wolne miejsca, należało przyjąć zaproszenie do tańca. Nie mogła więc odmówić Quinowi, podobnie jak wcześniej lordowi Drytonowi.

- Poza jednym tańcem, wszystkie są wolne, milordzie - powiedziała Kleo. Słyszając to, ciotka Madeleine tylko cicho westchnęła.

Kleo podała Quinowi karnecik i czekała, co wybierze. Czowała zapach jego wody kołońskiej, subtelny i zarazem prowokujący.

- Te, jeśli można? - Wpisał swoje inicjały obok tańców poprzedzających kolację. - I ten. - Dopisał jeszcze jedną pozycję, po czym skłonił się i cofnął, robiąc miejsce innym dżentelmenom, którzy także chcieli zatańczyć z Kleo.

Nauczyciel tańca, którego dla niej znaleziono, był biegły w swym fachu i wymagający. Kleo ćwiczyła codziennie przez całe dwa tygodnie, dziękując Bogu za swą fizyczną sprawność i wrodzone poczucie rytmu. Taniec w zatłoczonej sali balowej, do muzyki granej przez orkiestrę smyczkową, różnił się od indywidualnych lekcji, jednak trafiła na zręcznych partnerów i wyszła zwycięsko z tej próby.

Widziała, jak Quin tańczył z piegowatą brunetką; szło im bardzo dobrze, potrafili nawet rozmawiać podczas wykonywania figur, nie myśląc przy tym kroku. W ogóle Quin czuł się na parkiecie jak ryba w wodzie; podobne wrażenie odniosła na feluce, gdy z wielką swobodą poruszał się po pokładzie.

Odprowadziwszy brunetkę do jej matki, podszedł do Kleo, żeby jej partnerować w wiązance tańców ludowych.

- Coś jest nie tak? - spytał ściszym głosem, kiedy czekali, aż uformuje się przepisowy szpaler. Zaskoczył ją, bo jeszcze nie zdecydowała, jak powinna go traktować.

- Nie tak? - Spojrzała na dół sukni, dotknęła karku, jakby sprawdzała, czy spinki wciąż dobrze trzymają fryzurę. - Co masz na myśli? - Zerknęła na niego ukradkiem i odkryła, że nie dał się nabrać na jej udawane zdziwienie. - Może uważasz, że powinnam się cieszyć, że cię widzę. Zapewniam cię, lordzie Quintusie, że tylko konieczność zachowania odpowiednich manier powstrzymuje mnie przed wymierzeniem ci policzka.

- Wyglądasz doskonale. - Albo nie wierzył, że byłaby zdolna do takiej zuchwało-

ści, albo był świetnym aktorem. – Jesteś piękna.

– Dziękuję, milordzie. Pochwała z twoich ust jest wyjątkowo cenna. – Każdy wziąłby te słowa za dobrą monetę, gdyby nie usłyszał drżenia gniewu w jej głosie.

Quin przysunął się bliżej, znajomy zapach na moment zmącił jej zmysły.

– Wiem, że jesteś na mnie zła, i dobrze cię rozumiem. Ale to nie wszystko, prawda? Ty się boisz. Powiedz czego?

– Przez ciebie znalazłam się w sytuacji, w której muszę przyjmować twoje zaproszenie do tańca, podczas gdy tak naprawdę wołałabym cię nigdy więcej nie oglądać – odpowiedziała prawie szeptem.

– To mogłoby cię irytować – przyznał Quin. – Ale nie przestraszyć, a bałaś się, już wchodząc tu po schodach. Nie zaprzeczaj, Kleo. Za dobrze cię znam.

– Czyżby? Nie sędzę. – Starła się zachować obojętny ton, nie chciała, by wyczuł jej tęsknotę. Modliła się w duchu, żeby nie domyślił się jej prawdziwych uczuć.

– Kleo...

– Nie możemy teraz rozmawiać. – Rozbrzmiała muzyka, partnerzy wykonywali pierwsze taneczne ruchy.

– Teraz rzeczywiście nie możemy. – Quin wziął ją za rękę i poprowadził do pierwszego kręgu. – Ale zarezerwowałem taniec przed kolacją. – Ścisnął mocniej jej dłoń, jakby w obawie, że zechce mu się wyrwać.

– Nie musisz mnie trzymać tak mocno, milordzie. Boisz się, że ci ucieknę?

– Ty nigdy przed niczym nie uciekasz, Kleo. – Po tych słowach zamilkł, jakby rozumiał, że Kleo potrzebuje się skupić, by sprostać trudnym figurom i obrotom.

Ich krąg rozdzielił się, po czym uformował od nowa, obejmując połowę tancerzy z sąsiedniej grupy. Śliczna blondynka zajęła wcześniejsze miejsce Kleo.

– Lord Quintus! – odezwała się z czarującym uśmiechem. – Wrócił pan do Anglii!

– Jak pani widzi, lady Caroline. – Quin ujął jej dłoń i razem wykonali obrót pośrodku nowego kręgu. Kleo podała ręce tancerzom zajmującym pozycje po obu jej bokach i jakimś cudem nawet nie pomyliła kroku.

Lady Caroline Brooke, kobieta, do której Quin planował się zalecać, idealna kandydatka na narzeczoną. Przy tanecznych podrygach jej jasne loki podskakiwały uroczo wokół twarzy w kształcie serca, aksamitnie gładkie policzki zaróżowiły się od wysiłku. Przy kolejnej figurze spojrzenia Quina i Kleo się spotkały. Najwyraźniej przypomniał sobie, że wspominał jej o Caroline, i wiedział, że ją rozpoznała.

– Jak to miło widzieć pana znowu w Anglii, lordzie Quintusie – mówiła radośnie Caroline, przechodząc pod ich złączonymi dłońmi. – Musi pan nas odwiedzić.

– Odwiedzę na pewno. – W uszach Kleo jego odpowiedź zabrzmiała jak poważna deklaracja.

– Co to jest? – spytała Kleo jakieś dwie godziny później, spoglądając na talerz, który postawił przed nią Quin. Wiedziała, że policzki jej płoną, z trudem chwytając powietrze i mogła mieć tylko nadzieję, że Quin uzna jej stan za rezultat wyczerpującego tańca. – To znaczy... dziękuję, lordzie Quintusie, wygląda wspaniale.

– To są różne przekąski, między innymi paszteciki z homara. Pomyślałem, że będą ci smakować. Są pyszne, ale musisz odgryzać po małym kąsku, udając, że wcale nie masz apetytu, mimo że zostały przyrządzone przez słynnego mistrza kuchni.

- Wiem. Kolejny nedorzeczny konwenans. Damy nie mają apetytu. Na nic... - do-  
dała ponuro, wzbudzając ostatnią uwagą błysk wesołości w oczach Quina.

Rozejrzał się dyskretnie, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie słucha. Dziwiła się, że  
wybrał narożny stół, podczas gdy mogli zająć miejsca przy innych, wygodniej usta-  
wionych, dopiero potem zrozumiała, że planował z nią swobodnie porozmawiać.

- Kleo, powiedz mi, co się dzieje. Nie udawaj, że chodzi tylko o to, że chętnie byś  
mnie dźgnęła sztyletem i jesteś zmęczona nauką dobrych manier.

Pchnęła pasztecik srebrnym widelczykiem.

- Dlaczego miałabym ci zaufać? Pewnie od razu pójdziesz do mojego dziadka i po-  
wtórzysz mu, co powiedziałam.

- Nie, nie pójdę. Kleo, wiesz, że musiałem cię do niego przywieźć. Nie było innej  
możliwości. Moja wina polega na tym, że zawczasu ci tego nie wyjaśniłem, ale ba-  
łem się, że ode mnie uciekniesz. - Zawahał się, jakby miał jej wyznać coś ważnego.

- Daję ci słowo honoru, że niczego przed tobą nie ukrywam i że to, co mi powiesz,  
zostanie między nami. Jesteś aż tak bardzo nieszczęśliwa? Naprawdę uważam, że  
takie wyjście jest dla ciebie najlepsze, najbardziej bezpieczne... Pewnie nadal czu-  
jesz się samotna, ale to minie. Oswoisz się z sytuacją, nawiążesz przyjaźnie, roz-  
poczniesz nowe życie. - Dotknął jej dłoni. Kleo zesztyniała, ale nie cofnęła ręki,  
bała się tylko, by nie odkrył nagłego przyspieszenia tętna.

- Owszem, jestem nieszczęśliwa - przyznała, nie próbując złagodzić wydźwięku  
swych słów uśmiechem.

- Dlaczego, Kleo? Co się dzieje?

- Czuję się lepiej, wiedząc, że połowę tego wieczoru mam już za sobą. Muszę wy-  
paść poprawnie pod każdym względem, bo inaczej dziadek wyśle mnie na wieś do  
mojej ciotecznej babki. Miał dać mi czas przynajmniej do dwudziestych piątych uro-  
dzin, półtora roku, żebym znalazła męża, którego zaakceptuje, tymczasem powie-  
dział, że jeśli nie będę się odpowiednio zachowywać albo nie zechcę rozważać pro-  
pozycji małżeńskich, które zostaną mi przedstawione, to oddali mnie wcześniej. To  
moje pierwsze wystąpienie w towarzystwie. Z początku się bałam, że wszystko pójdzie  
źle, że moje szanse od razu przepadną, zanim zdołam odłożyć trochę pieniędzy  
na rozpoczęcie własnego życia.

- Nie dziwię się, że to wszystko cię przytłacza... tyle rzeczy do wyuczenia, tyle  
pułapek czyhających z każdej strony. - W jego głosie nie było współczucia, jedynie  
troska i zachęta. - Masz talent do nauki języków, a to jest po prostu kolejny obcy ję-  
zyk do przyswojenia. Dokonałaś ogromnych postępów, świetnie sobie radzisz. Do-  
brze tańczysz, wyglądasz elegancko i pięknie. Wkrótce poczujesz się swobodnie  
i uwierzysz, że jesteś na swoim miejscu. Patrzysz na swojego dziadka jak na wroga,  
ale on nie jest taki zły.

Okazała naiwność, wierząc, że Quin jej pomoże czy przynajmniej ją zrozumie. To  
był jego świat i zakładał, że z czasem i ona poczuje się w nim naturalnie.

- Z pewnością masz rację. - Z grzecznym uśmiechem podziękowała mu za dobre  
rady i wzięła do ust okruch pasztecika. Smakował wybornie, ma się rozumieć. I pa-  
sował do otaczającego ją zewsząd luksusu.

Quin puścił jej dłoń i gestem wezwał kelnera, by dołał szampana.

- Z czasem może nawet znajdziesz męża, którego będziesz w stanie znosić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Quin próbował mówić lekkim tonem, więc prawdopodobnie nawet nie przyszło mu na myśl, że nie mogłaby znieść przy sobie żadnego innego mężczyzny. Żałowała, że nie potrafi go nienawidzić. Byłoby jej wówczas znacznie łatwiej.

- Być może. A czy znajdzie się taki, który będzie w stanie mnie znosić, to już zupełnie inna sprawa. - Próbowała się uśmiechnąć, raczej bez powodzenia. - Czy to twoja lady Caroline tańczyła z tobą podczas zmiany partnerów w pierwszym tańcu?

- Nie jest moja. Na razie. A może nigdy nie będzie.

- Z pewnością bardzo by do ciebie pasowała. I chyba jej się podobasz. - Bolało, jakby sama sobie wbijała szpilki pod paznokcie. Ale może tak było lepiej. Może należało dobić coraz bardziej słabnącą nadzieję. Nadzieję zupełnie pozbawioną podstaw. W końcu Quin nawet nie pożył jej na tyle, by pozwolić się pieścić, kiedy go o to błagała. - Jest bardzo ładna i pewna siebie. No i mówiłaś, że związek z jej rodziną przyniesie ci same korzyści.

- Owszem - przyznał Quin, krzywiąc się, jakby podano mu zwietrzałego szampa. - Podczas przyjęć w ich domu pełni rolę gospodyni u boku ojca, odkąd jej matka zaniemogła przed rokiem. Do tego dobrze zna języki. Słyszałem, jak rozmawiała z kilkoma dyplomatami.

- To lepiej zabiegaj o nią, zanim ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa. Dziwi mnie, że jeszcze nie jest zaręczona.

- Choroba matki na jakiś czas wyłączyła ją z towarzystwa, bo inaczej z pewnością by była. Masz rację, powinienem rozpocząć swoją kampanię. Jestem z nią umówiony na kilka tańców później, więc i tak powinienem ją odwiedzić z kwiatami.

- Świetnie - powiedziała Kleo drewnianym głosem.

- Panno Woodward?

Stał przed nią mężczyzna, któremu obiecała następny taniec, choć wcale jej się nie spodobał.

- Dryton - odezwał się Quin z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Czyżby i on nie przepadał za tym człowiekiem?

- Proszę wybaczyć, że przerywam pani rozmowę, panno Woodward, ale orkiestra już zasiada do instrumentów...

- Oczywiście. - Kleo sięgnęła po swój wachlarz i torebkę. - Bardzo dziękuję za towarzystwo przy wybornej kolacji, lordzie Quintusie.

- Cała przyjemność należała do mnie, panno Woodward - odparł Quin, wstając. - Oddaję panią w... bezpieczne ręce lorda Drytona.

Czy to miała być aluzja, ostrzeżenie przed Drytonem, czy po prostu wyraz niechęci mężczyzny do mężczyzny? Kleo położyła dłoń na nadstawionym ramieniu i opuściła jadalnię, nie oglądając się za siebie.

W miarę upływu wieczoru w sali balowej robiło się coraz bardziej gorąco i tłocz-

no, tancerze poruszali się coraz swobodniej, a przyzwoitki stawały się coraz mniej uważne. Kleo bolały nogi, w głowie jej wirowało, ale mimo to nadal się uśmiechała.

- Jak dotąd świetnie ci idzie, Kleo - pochwaliła ją lady Madeleine. - Twój dziadek chyba jest zadowolony - dodała.

- Dziękuję, ciociu.

- A oto i lord Quintus, umówiony z tobą na następny taniec.

Quin skłonił się przed starszą damą, po czym zaprowadził Kleo na parkiet, wybierając odległy kąt sali pod otwartym oknem. Wokół nich gromadziły się już inne pary.

- Wyglądasz na trochę zgrzaną, Kleo - stwierdził Quin. - Może wolałabyś jednak posiedzieć i odpocząć? Przynieść ci lemoniady?

- Dziękuję, chętnie się napiję... Ale czy wypada siedzieć tak na uboczu?

- Przecież nie wychodzimy do osobnego pokoju czy na taras. - Podprowadził ją do ławeczki osłoniętej kompozycją palm i paproci w donicach. Z zewnątrz napływało chłodne powietrze pachnące trawą. - Pójdę po napoje.

Wrócił z dwiema szklankami lemoniady. Przez chwilę raczyli się nią w milczeniu.

- Wcale ci nie wybaczyłam, chyba to rozumiesz - odezwała się zniecierpliwiona Kleo, jakby podejmowała dopiero co przerwana rozmowę. - Przywiozłeś mnie do niego, bo tak ci kazano, ale poza tym chciałeś zyskać jego przychyłność. Sprzedałeś mnie.

Quin na moment przytknął dłoń do ust, jakby chciał powstrzymać zbyt pochopną odpowiedź.

- Kazano mi ustalić, czy podejrzenia wobec korespondencji twojego ojca są uzasadnione. Jednak mój wydział potrzebuje wsparcia ze strony księcia St. Osyth. To bardzo wpływowy człowiek, którego nie należy sobie zrażać. Przedstawiono mi sytuację i nalegał, żebym cię bezpiecznie sprowadził do Anglii. Jedno i drugie uważałem za swój obowiązek. I nie zmieniłem zdania. Postępując inaczej, doprowadziłbym cię do ruiny, Kleo. Nie mogłem cię tam zostawić, ale też nie mogłem cię zostawić samej sobie tu w Anglii. Poznałaś tutejsze życie na tyle, by wiedzieć, że to było niemożliwe.

- Okłamywałeś mnie - przypomniała mu z żalem. Widziała, że jemu też nie jest łatwo i to jeszcze pogłębiało jej gorycz. Zacisnęła palce tak mocno, że aż puścił szew na jedwabnej rękawiczce.

- Gdybym ci powiedział całą prawdę, próbowałabyś uciec ze statku. Mógłbym cię zgubić w jakimś porcie i nigdy nie odnaleźć.

- Mogłeś mi pomóc. Wysłuchać mnie. Czy ta historia o twoich narodzinach, twoim ojcu, także była kłamstwem?

- Nie, to prawda. - Nadal zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale wyczuwała w nim napięcie i ból.

Zrań go jeszcze mocniej, usłyszała w głowie podstępny głos.

- W takim razie powinieneś rozumieć, co to znaczy być outsiderem.

- Ja nie chcę być outsiderem - odparł Quin. - Chcę ułożyć sobie życie w tym społeczeństwie. Sam zadbam o swój los, niezależnie od tego, czyim jestem potomkiem. - Pociągnął łyk ze szklanki. - Mój prawdziwy ojciec zachował się niehonorowo. Postanowiłem służyć krajowi jako dyplomata i swojego honoru nie splamię. Gdybym ci pomógł pójść inną drogą, byłoby to niedobre po każdym względem, dla ciebie, dla twojego dziadka i dla reputacji służb dyplomatycznych.

- Więc moje szczęście, moje zaufanie... - moje serce i moja miłość, dopowiedziała w duchu - ...w ogóle się nie liczą?

- Honor to wszystko, co mam. Poza tym jestem nikim. - Te słowa, choć wypowiedziane cichym głosem, miały ciężar powagi.

- A kobiety nie rozumieją męskiego honoru, prawda? Popełniłam błąd, myląc przyjaźń z tym, co naprawdę było między nami. Nie wiem, jak to nazwać... byłam twoim celem, a ty... ty na mnie polowałeś, zasadzałeś się na mnie i mojego ojca.

- Mam nadzieję, że miałaś mnie za przyjaciela - powiedział wolno Quin. - Mam nadzieję, że nadal nim jestem. Możesz mi powiedzieć, czego się boisz?

Widział jej strach? Przecież tak bardzo starała się go ukryć.

- Boję się? - Kleo wstała i energicznie odstawiła szklankę. - Niczego się nie boję, milordzie. A może jednak się boję. Tak, boję się polegać na innych czy okazywać słabość. Przekonałam się, że mogę polegać tylko na sobie, ale nie ma co lamentować nad brakiem zaufania czy przyjaźni, bo to nic nie da. Zaraz się zacznie drugi taniec. Dołączymy do reszty?

- Jak sobie życzysz. - Wydawało jej się, że chce coś dodać, ale tylko podał jej ramię i poprowadził na parkiet.

- Muszę przyznać, że wygląda to obiecująco. Spisałaś się lepiej, niż oczekiwałam, Kleo. - Ciotka Madeleine podziwiała kwiaty zdobiące salon. - Siedem bukietów od dżentelmenów, z którymi wczoraj tańczyłaś. - Przechodziła od wazonu do wazonu, oglądając bileciki.

- Hm. Willoughby, Axholme... niestety, młodszy syn. Charles Bignor - bez szans, zwykły hulaka. Philpott, Drewe, Deverall.

Quin przysłał mi kwiaty?

- O, Dryton. Ten kandydat bardzo by się spodobał twojemu dziadkowi.

- Zatańczył ze mną tylko raz, ciociu. Jestem pewna, że te kwiaty to wyraz zwykłej kurtuazji. On... nie przypadł mi do gustu.

- Orchidee z cieplarni nigdy nie są wyrazem zwykłej kurtuazji, niemądra dziewczyno! - Ciotka sprawiała wrażenie raczej ubawionej jej ignorancją niż zirytowanej. - A co takiego w nim nie przypadło ci do gustu, jeśli wolno spytać? Jest politycznym sprzymierzeńcem księcia, ma rozległe dobra ziemskie, ponad trzydzieści tysięcy rocznego dochodu i większość dziewcząt uważa go za przystojnego.

Patrzył tak, jakby mnie rozbierał oczami, ma zbyt ruchliwe ręce, w ogóle jest jakiś za gładki. I Quin go nie lubi.

- Lord Dryton jest wdowcem i ma dzieci.

Sam jej tego nie powiedział. Poznała te fakty, przysłuchując się rozmowom toczonym w sali balowej. W istocie Dryton niewiele mówił, tylko patrzył. I dotykał. Czuła się jak kawał mięsa oceniany pod kątem świeżości i smaku.

- Ty też jesteś wdową. Ma dwie córki i potrzebuje męskiego potomka. - Lady Madeleine w zamyśleniu postukała bilecikiem o zęby. - Muszę uprzedzić papę, żeby był przygotowany na wypadek, gdyby Dryton poprosił o twoją rękę. Napiszesz do niego, dziękując za kwiaty, ma się rozumieć.

- Napiszę do wszystkich tych dżentelmenów - powiedziała Kleo. Przeszła od bukietu do bukietu, udając, że czyta bileciki. Quin przysłał jej kwiatową kompozycję

w cudownych odcieniach żółtego i zieleni, nawiązując do barwy stroju, który miała na sobie poprzedniego wieczoru.

Na bileciku widniała tylko jedna linijka mocnych czarnych liter. „Z przyjaźnią. Quintus Deverall”.

- Jeśli pozwolisz, ciociu, pójdę na górę i zrobię to od razu.

Następnego dnia Kleo odkryła, że dziadek traktuje ją jakby trochę inaczej. Najwyraźniej jej poprawne zachowanie zrobiło na nim wrażenie albo też zaskoczyła go, przyciągając uwagę lorda Dryton. Przy śniadaniu zdobył się nawet na coś w rodzaju żartu.

Kleo postanowiła sprawdzić, czy jego dobry humor da się wykorzystać do złagodzenia nałożonych na nią ograniczeń.

- Jest taki piękny dzień, dziadku - zaczęła ostrożnie. - Mogłabym pospacerować w Hyde Parku? To wyjątkowe miejsce, prawda? - Wzrokiem poprosiła ciotkę o wsparcie. - Naturalnie wzięłabym ze sobą Maggie i lokaja. Chyba że jestem ci do czegoś potrzebna w domu...

- Wyglądasz trochę blado. - Ciotka przyjrzała jej się uważnie. - Możesz iść. O tej porze będzie tam spokojnie, ale pamiętaj, żeby nie patrzeć na żadnego dżentelmena, któremu nie byłaś przedstawiona.

- Dobrze, ciociu. - Wiedziała, że będzie pod ścisłym nadzorem, a lokaj bez wątplenia dostanie polecenie, żeby bacznie ją obserwować, ale jednak zyskała skromną namiastkę wolności. Przestrzeń, gdzie mogła swobodnie myśleć i planować... ale nie marzyć.

Nareszcie, pomyślał Quin, złożył gazetę i wstał z ławki w ogrodzie przy Grosvenor Square, gdzie przez ostatnią godzinę siedział i udawał, że czyta.

Niedola Kleo przyprawiała go o bezsenność, a instynkt podpowiadał mu, że chodzi o coś więcej niż tęsknotę za dobrze znanym, choć pełnym niewygód obozowiskiem na pustyni. Powtarzał sobie chyba ze sto razy, że to już nie jego sprawa, że obecnie Kleo jest pod opieką swojego dziadka i że jeśli się wtrąci, będzie to bardzo źle widziane. I z pewnością zostanie niewłaściwie zrozumiany.

Zamknął za sobą bramę kluczem pożyczonym od przyjaciela, właściciela domu z ogrodem, po czym ruszył za Kleo i eskortującą ją parą w stronę parku. Przyjście na Grosvenor Square było dość ryzykowne, ponieważ Kleo mogła spędzić ten dzień w inny sposób, ale słoneczna pogoda natchnęła Quina optymizmem, a decyzja ostatecznie się opłacała.

Wiedział, że nie powinien jej zagadywać, ale musiał chociaż zobaczyć, jak się miewa.

Quin przeciął główną aleję i skierował się ku ujeżdżalni, podczas gdy Kleo z towarzyszącą jej Maggie i lokajem zblizali się do niewielkiego, owalnego stawu. Niestety, z tak dużej odległości nie mógł dostrzec jej twarzy. Miała na głowie uroczy czepek z rondkiem, osłaniała się parasolką, a do tego co chwilę dodatkowo zasłaniały mu widok drzewa albo przejeżdżający jeźdźcy. Quin zaklął pod nosem i ruszył ścieżką na wprost, wiodącą na koniec jeziora Serpentine, zakładając, że Kleo właśnie tam zmierza.

Po raz drugi tego dnia dopisało mu szczęście. Już blisko celu przysiadł na ławce, znów zasłonił się gazetą i czekał. Kleo minęła go zapatrzona przed siebie, sprawiała wrażenie głęboko zamyślanej.

- Milord! Och, proszę mi wybaczyć... - To była Maggie, od razu go zauważyła, bo straciwszy czujność, opuścił lekturę i gapił się na odchodzącą Kleo.

Kleo odwróciła się gwałtownie.

- Qui... lord Quintus! Co pan tu robi?

- Korzystam z pięknej pogody, podobnie jak pani, panno Woodward - skłamał gładko. - Dzień dobry. - Maggie promieniała, a lokaj widocznie musiał wiedzieć, że ma przed sobą człowieka, który uratował wnuczkę księcia z niedoli na egipskiej pustyni, bo nie widział nic zdrożnego w ich rozmowie.

- Mogę do pani dołączyć? Muszę przyznać, że sprawozdania z obrad parlamentu wydają mi się mało atrakcyjne w porównaniu ze spacerem w pani towarzystwie.

- Oczywiście, milordzie. - Wydawało mu się, że Kleo pobladła, a jej uśmiech jest wymuszony, ale głowę trzymała wysoko uniesioną i starała się zachować przyjazny ton. Pomyślał z podziwem, że nie brakuje jej odwagi, a tym bardziej dumy. Musiał się bezwiednie uśmiechnąć, bo opierając wdzięcznie dłoń na podsunętym przez niego ramieniu, spytała: - Coś pana bawi, lordzie Quintusie?

- Pomyślałem, że te palce, teraz obciążone elegancką rękawiczką, kiedyś czyściły moją ranę, doły kożę i dźwigały naczynia z wodą - odpowiedział szczerze Quin.

- To prawda. Ciotka nalega, żebym w ogóle nie ściągała rękawiczek, dopóki odciski zupełnie nie znikną.

- Nie o to mi chodziło. Podziwiam twoją siłę i troskę o innych...

- Doprawdy? Przecież to, co robiłam, zupełnie nie przystoi damie. W końcu musiałam być stamtąd zabrana.

- To nie znaczy, że nie cenilem twojego sposobu życia w tamtych, wyjątkowo trudnych warunkach. Charakteru, jakim się wykazałaś.

Spodziewał się ostrej riposty, a nawet tego, że rozgniewana cofnie rękę, tymczasem zacisnęła palce na jego rękawie i wydała z siebie odgłos podobny do tłumionego szlochu.

- Kleo? Ach, ten przeklęty czepek! - Nachylił się, żeby widzieć jej twarz. - Kleo, proszę cię, nie płacz. - Obejrzał się przez ramię, Maggie z lokajem stali na brzegu Serpentine i obserwowali kaczki. Wokół nie było żadnych innych osób, a przed nimi widniała kępa ozdobnych krzewów. Quin poprowadził Kleo w tamtą stronę i wkrótce znaleźli się na placyku otoczonym ławkami. Na trawie leżała porzucona obręcz do hula-hoop, co wskazywało, że trafili w miejsce, gdzie nianie przyprowadzały swoich małych podopiecznych.

Kleo usiadła na ławce i nie protestowała, kiedy zdjął jej z głowy czepek i odłożył na bok parasolkę.

- Tak jest lepiej, bo mogę cię widzieć.

- Nie wiem, po co miałbyś mnie oglądać. I wcale nie płaczę. Ja nigdy...

- Nigdy nie płaczesz. Wiem. Proszę, tu jest chusteczka, usuń sobie z oka ten proch, przez który łzawisz.

- Niestety nie da się tak łatwo go pozbyć, Quinie - odpowiedziała swoim dawnym tonem. Słyszając go, mimowolnie się uśmiechnęła. - Nie masz nic lepszego do roboty,



jak snuć się po parku? Ach, oczywiście, przecież ty jesteś w pracy. Śledzisz mnie. Nic dziwnego, że dziadek tak chętnie mnie wypuścił z domu, wiedział, że jego szpieg czuwa.

- Naprawdę myślisz, że ja... Nie, Kleo, nie szpieguję dla księcia, daję ci na to słowo honoru. Owszem, śledziłem cię, przyznaję. Czekałem na placu z nadzieją, że się pojawisz, ale robiłem to... dla siebie.

- I świetnie wiem, że twoje słowo honoru jest święte. - Wydmuchała nos w jego chusteczkę i schowała ją do torebki. - Ale co ci przyjdzie z bezinteresownego szpiegowania?

- Martwiłem się o ciebie. Cały czas się martwię. Nie jesteś szczęśliwa.

- Oczywiście, że nie jestem szczęśliwa! Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Mówiłam ci, jak będzie, i się nie myliłam. Dziadek na pewno chce, żebym wyszła za Drytona.

- Tego hulakę?

- A jest jakiś inny o tym samym nazwisku? Owszem, za tego hulakę. Najwyraźniej jest dla mnie odpowiedni. A jak nie on, to będzie ktoś inny, wybrany w taki sam sposób, jak ty postanowiłeś wybrać sobie żonę... ze względu na pochodzenie, fortunę i wpływy.

- Kleo, do licha... Przy tobie nawet święty zacząłby przeklinać. Kleo, kochanie... Och, do diabła! - Przywarł do jej ust pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Całowanie Kleo było jak powrót do domu... a jednocześnie jak odkrywanie nowego ładu. Całował ją już wcześniej, znał jej smak, ale coś się zmieniło. Obok namiętności pojawiła się czułość i tęsknota.

- Kleo... - Oderwał się od niej i spojrzał w zieloną głębię jej oczu, ale zaraz niecierpliwie wsunęła mu palce we włosy i znów go do siebie przyciągnęła.

Znienacka, tuż obok nich, rozległ się trzepot skrzydeł.

- To tylko przestraszone gołębie - powiedział Quin. - Pewnie zobaczyły krogulca.

Kleo na chwilę przyłgnęła do jego piersi, milcząca, jakby raz w życiu zabrakło jej słów, a potem odsunęła się i zaczęła porządkować na sobie ubranie.

- Kleo, przepraszam.

- Dlaczego zawsze przepraszasz w takich sytuacjach? - Nałożyła czepek i ze złością upychała pod nim niesforne kosmyki włosów. - Pragniesz mnie, ja pragnę ciebie, ale jesteś hipokrytą. - Widząc, że Quin otwiera usta, by coś powiedzieć, ostrzegła: - I nie waż mi się znów wspominać o honorze, bo więcej się do ciebie nie odezwę. - Po momencie wahania dodała: - Nie mógłbyś powiedzieć dziadkowi, że Dryton jest hulaką?

- To by niczego nie zmieniło. Księżę należy do pokolenia, w którym dżentelmeni na ogół tak się prowadzili, a damy to ignorowały. Najwyżej znalazłby ci kogoś innego. - Nie mógł pozwolić, żeby ją zmuszono do nieszczęśliwego małżeństwa, ale też nie miał prawa się wtrącać w jej życie. Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie.

- No tak - westchnęła Kleo. - Widzę, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Mogę ci ufać, że nie powiesz dziadkowi o tej rozmowie?

- Oczywiście. - Po jej minie poznał, że wcale nie uważała tego za oczywiste. - Przysięgam, że nie powiem. Ale, Kleo, proszę, powiedz, co knujesz? - Czuł, że chodzi o coś bardzo niebezpiecznego, co może zrujnować jej reputację. Był przerażony... i na siebie zły. Gdyby się tak bardzo nie przejmował swoim cholernym honorem, nie musiałyby szukać żadnych drastycznych rozwiązań.

- Nie martw się, lordzie Quintusie. - Już całkiem opanowana sięgnęła po parasolkę. - Nie planuję skończyć na ulicy.

Stał i patrzył, jak dołącza do Maggie i lokaja, a potem wszyscy troje kierują się w stronę Grosvenor Square. Nie poszedł za nią.

Quin zjawił się w domu księcia St. Osyth dwa dni po spotkaniu w parku, w ciągu godziny od otrzymania wezwania od jego wysokości. Choć w środku czuł zamęt i niepokój, zachował nienagannie uprzejmy wyraz twarzy, kiedy ochmistrz otworzył przed nim drzwi.

Zastanawiał się, jak mógłby wpłynąć na księcia, żeby okazał Kleo trochę zrozumienia, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Ostatecznie postanowił oznajmić księciu wprost, że doprowadza Kleo do rozpaczki.

Ochmistrz zaprowadził go do biblioteki. Na widok Quina gospodarz wstał i od razu wskazał mu krzesło.

- Fatalna sprawa - zaczął bez wstępów. Sprawiał wrażenie bardziej zmartwionego niż rozgniewanego.

- Pańska wiadomość była dość enigmatyczna, Wasza Wysokość - powiedział ostrożnie Quin, czując, jak lodowaty strach podchodzi mu do gardła.

- Ona uciekła. Kleo. Wyszła w nocy, chyba przez kuchnię. Ta jej nieokrzesana pokojówka poszła razem z nią.

Dzięki Bogu choć za to. Maggie знаła miasto i nie brakowało jej sprytu, choć ten nie uchronił ich przed kłopotami w Syrakuzach.

- To bardzo niepokojąca wiadomość, Wasza Wysokość.

Mówię jak prawdziwy dyplomata. Wybuchła wojna? Cóż za niedogodność. Młoda kobieta błąka się samotnie po Londynie? Bardzo niepokojące. Powstrzymał ostre słowa, które cisnęły mu się na usta.

- Domyśla się pan, dlaczego uciekła?

- Chyba nie podobał jej się człowiek, za którego zamierzam ją wydać. Można by pomyśleć, że jest jakąś naiwną dzierlatką, a nie dwudziestotrzyletnią wdową.

- Może uciekła do jakiegoś mężczyzny?

- Nie zna żadnego poza panem.

Czy to miało być oskarżenie? Quin wciągnął głęboko powietrze i trzymał je w płucach przez długą chwilę, żeby się uspokoić.

- Mogę pana zapewnić, Wasza Wysokość, że panna Woodward nie stanęła dziś rano na moim progu. Nie widziałem jej od kilku dni. - Zresztą, nie przyszłaby do mnie, ponieważ mi nie ufa. - Ma pieniądze?

- Kilka suwerenów. Zostawiła biżuterię ciotki, zabrała tylko codzienne suknie, strój do spania... tego rodzaju rzeczy. Spakowała się do dwóch walizek.

- Mogę zasugerować zgłoszenie sprawy na Bow Street, Wasza Wysokość? Albo wynajęcie prywatnego agenta.

- Do diabła, jestem St. Osyth! Nie pozwolę, żeby jakiś niechlujny policyjny gbur mieszał się do moich spraw. Pan ją znajdzie, Deverall. - Przeszył Quina wzrokiem. - Za wszelką cenę. Proszę mi przysłać zaokrągloną sumę wszystkich pańskich wydatków po zakończeniu poszukiwań. Chodzi tylko o to, żeby nie wybuchł skandal.

Quin czuł tak wielką złość, że nie był w stanie nawet się odezwać.

- Nie jest pan obecnie zaangażowany w żadną misję, prawda? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, książę dodał zgryźliwie: - Nie wyjeżdża pan w południe do Rosji?

Quin planował jedynie rozpoczęcie starań o rękę lady Caroline, ale to mogło poczekać. Wszystko mogło poczekać.

- Nie, Wasza Wysokość. Orientuje się pan, gdzie mieszka jej pokojówka? - Pomyślał, że może Kleo tam się udała, jednak szybko odrzucił taką możliwość. Z pewnością nie chciałaby ściągać gniewu dziadka na rodzinę Maggie. Książę zaprzeczył ruchem głowy. - Zostawiła jakąś wiadomość? Ma jakieś przyjaciółki?

- Żadnej wiadomości. Była zbyt zajęta, żeby się zaprzyjaźnić. Będzie miała czas na takie rzeczy, kiedy wyjdzie za mąż.

Quin aż zacisnął pięści na myśl o Kleo, samotnej i nieszczęśliwej - przede wszystkim z jego winy.

- Muszę wtajemniczyć mojego sekretarza, Wasza Wysokość. Jest bardzo dyskretny, a z jego pomocą będę mógł działać szybciej i skuteczniej.

- Dobrze. Proszę mnie powiadamiać dwa razy dziennie.

Quin wstał.

- Dam panu znać, kiedy czegoś się dowiem. Inne rozwiązanie byłoby stratą czasu, który lepiej poświęcić na poszukiwania. Do widzenia.

Zbiegł po schodach i zatrzymał dorożkę.

- Do Albany, ale szybko - poleciał fiakrowi.

Quin zastał George'a Baldwina siedzącego za biurkiem.

- Zaproszenia... - odezwał się sekretarz, ale Quin zdecydowanie mu przerwał.

- Odłóż je. Panna Woodward zniknęła.

- Panna Woodward? Ta od księcia St...

- Właśnie. Wyszła z domu i jej nie ma, ale należy to zachować w najściślejszej tajemnicy.

- Chyba nie chodzi o mężczyznę?

Quin pokręcił głową.

- Muszę się zastanowić. - Opadł na fotel i zamknął oczy. Kleo. Czy próbowałyby wyjechać z Londynu? Nie, nie zna żadnego innego miejsca w Anglii, a poza tym wiedziałyby, że w wielkim mieście łatwiej się ukryć. Starają się uczciwie zarobić na życie, tylko w jaki sposób? Nie posiada żadnych kwalifikacji poza...

- Języki!

- Słucham, milordzie?

- Panna Woodward mówi po francusku, po włosku, zna też grecki i arabski.

Baldwin, zawsze szybki w działaniu, sięgnął po trzy książki leżące obok biurka.

- Zobaczmy, jakie oferty mają dla tłumaczy i nauczycieli. - Zerknął współczująco na swego chlebodawcę. - Znajdziemy ją, milordzie. Proszę się nie martwić.

Quin nie odpowiedział, wziął drugą z książek i również zaczął ją przeglądać. Uwaga sekretarza sprawiła, że poczuł się dziwnie nieswojo, jakby George uważał, że Quin stracił kogoś bliskiego.

Kogo ja chcę oszukać? Pewnie samego siebie. Przecież chodzi o Kleo. Moją Kleo. A tylko ona się liczy.

Quin spojrzał na trzymaną w dłoni listę i sprawdził, czy aby na pewno trafił pod właściwy adres na Wimpole Street. Osiem punktów miał już z głowy, zostało jeszcze sześć. Był ciekaw, jak George sobie radzi od czasu, gdy spotkali się na szybki posiłek Pod Czerwonym Lwem przy Piccadilly. Zjedli po steku, popili kwartą piwa i rozeszli się w różne strony, każdy z własną listą w garści.

Wypolerowany na błysk metalowy szyld na drzwiach wyglądał bardzo solidnie, podobnie jak cała dzielnica. „Throcking i Trimm. Pufne usługi translatorskie. Edukacja lingwistyczna”. Quin po raz kolejny powtórzył tekst, który zdążył mu się już dobrze wryć w pamięć.

- Dzień dobry. Wyjeżdżam na Bliski Wschód w związku z rodzinnym interesem i muszę się nauczyć podstaw arabskiego. Sprawa należy do pilnych, jest mi obojętne, w jakim wieku, jakiej płci i jakiej narodowości jest nauczyciel.

- Dzień dobry, sir. Nazywam się Trimm. - Dżentelmen za biurkiem zdawał się cały błyszczeć, od tysej głowy po czubki butów. - Proszę zająć miejsce, a ja sprawdzę, co możemy panu zaoferować. Rozumie pan, że arabski nie jest popularnym językiem... - Wyjął z grubej teczki pojedynczy arkusz. - W tej chwili mamy jednego nauczyciela tego języka, ale ponieważ został niedawno zatrudniony, jeszcze nie mieliśmy okazji ocenić jego pracy. Jednak do przyszłego tygodnia z pewnością uzupełnimy ten brak.

Pan Trimm położył arkusz na blacie. Niestety, dyskretne wyczytanie czegokolwiek do góry nogami okazało się niemożliwe, mimo że Quin bardzo się starał.

- Czas mnie goni, a żadna z agencji, do których się zwracałem, nie umiała mi pomóc. To jakiś młody człowiek? Może sam się z nim rozmówię, jeśli pan pozwoli?

- Prawdę mówiąc, to dama. Nie mogę panu udostępnić jej adresu. Mogę natomiast do niej napisać z prośbą, żeby jutro stawiała się w biurze, jeśli to panu odpowiada.

- Doskonale - ucieszył się Quin. - Około drugiej? - Udał, że kapelusz i laska wypadły mu z ręki prosto na wazon z kwiatami. Pan Trimm odruchowo cofnął się wraz z krzesłem, przed wodą zalewającą blat biurka, a Quin zgięty w przeproszającym ukłonie zdołał kątem oka odczytać adres figurujący w rogu arkusza.

*Pani Anthony*

*Walker's Lodging House*

*Trivett Street 3*

Rzucając jeszcze kilka słów przeprosin, wyszedł z biura pana Trimma na ulicę i od razu złapał dorożkę. Pani Anthony... Antoniusz i Kleopatra... To musi być ona.

- Wyobrażam sobie, że w szkole tak już jest - westchnęła Kleo, osuszając atrament na zapisanej stronie. Miała do przetłumaczenia jeszcze kilka tekstów, z arabskiego na angielski, z greckiego na włoski i z angielskiego na francuski. Pan Trimm był wymagający, ale jego agencja sprawiała wrażenie bardzo solidnej, a stawki, które zaproponował, wydawały się całkiem godziwe.

- Bo ja wiem... tam, gdzie ja chodziłam, było inaczej. - Maggie wytrzepała zakurzoną ścierkę przez okno. - Ta kwatera nie jest zła, ale mogliby tu staranniej sprzątać.

Dwa pokoje - wspólna sypialnia i pomieszczenie nieco na wyrost nazwane salonem - oraz prawo do korzystania z kuchni i codzienny przydział węgla kosztowały tyle, że w trzy tygodnie Kleo wydałaby wszystkie posiadane pieniądze. Praca zarobkowa była więc koniecznością, choć Maggie deklarowała, że wkrótce znajdzie zajęcie w jednej z pobliskich gospód.

- Ktoś jest na ulicy przed domem... chyba doszło do kłótni - oznajmiła Maggie, zupełnie niepotrzebnie, bo obie słyszały podniesione głosy dobiegające z dołu. Ktoś się dobijał tak, że cienkie drzwi, aż dygotały w zawiasach, a ich gospodyni protestowała gniewnym pokrzykiwaniem.

- Halo, nie pozwalam na żadne odwiedziny w pokojach. Od tego jest ogólny salon na dole. To porządny dom, musi pan wiedzieć. Nie wpuszczam żadnych nicponi!

- Ale ja jestem bardzo porządnym nicponiem, proszę pani - odezwał się znajomy głos.

Kleo wypuściła pióro z ręki i nawet nie spojrzała na rozchlapany atrament.

- Quin.

- No to koniec - skrzywiła się Maggie. - Mieszkamy za wysoko, żeby uciekać przez okno. Może lepiej otworzyć drzwi i próbować się wymknąć bokiem?

Kleo wiedziała, że nie powinna się cieszyć na widok Quina, który wszedł do pokoju w asyście pani Walker, uzbrojonej w wielką drewnianą kopyść, a jednak się ucieszyła. Radość szybko jednak uleciała.

- Dzień dobry, milordzie.

- Dzień dobry, pani Anthony. - Quin wszedł do środka i zamknął drzwi przed nosem rozsierdzonej gospodyni. - Proponuję, żebyście się natychmiast spakowały, bo ta kobieta naprawdę jest gotowa ściągnąć stójkowego, żeby mnie zrzucił ze schodów.

- Przyszedłeś tu, żeby mnie zabrać z powrotem na Grosvenor Square - bardziej stwierdziła, niż zapytała Kleo. Wyprostowana jak struna zadarła wysoko podbródek.

- Nie... Spakuj się i pojedź ze mną do Albany, to porozmawiamy, Kleo, i nie patrz na mnie w taki sposób. - Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po policzku.

Piekły ją oczy, powieki jej ciążyły, jakby były z ołowiu. Oczywiście, że zamierzał ją tam zabrać, ale przynajmniej nie od razu.

- Jak mnie znalazłeś? - odezwała się prawie szeptem.

- Zastanowiłem się, jak mogłabyś zarabiać na życie, a potem razem z Baldwinem sprawdzaliśmy po kolei wszystkie agencje, aż dotarłem do pana Trimma - tłumaczył spokojnie Quin, jednocześnie ponagłając gestem Maggie, która szybko pakowała skromny dobytek. Kiedy we trójkę schodzili po schodach, Quin uciszył pomstującą gospodynię, wręczając jej do ręki plik banknotów.

Wsiedli do czekającej na ulicy krytej dorożki.

- George czuwa nad wszystkim w domu - powiedział Quin. - Księżę co godzinę przysyła posłańców z pytaniem o rezultat poszukiwań, co jest trochę męczące.

- Mój dziadek przyszedł cię prosić o pomoc?

- Wezwał mnie do siebie - sprostował Quin, zasłaniając okna w dorożce. - Kazał mi odwołać wszelkie ewentualne podróże za granicę i cię odnaleźć.

- Niesłychane! Arogancja tego człowieka nie zna granic... A ty się zgodziłeś - do-dała po namyśle, jakby do siebie.

- Martwiłem się o ciebie, Kleo. Obie z Maggie jesteście bystre i odważne, ale nie znacie zagrożeń czyhających w tak wielkim mieście jak Londyn, a poza tym twój dziadek powiedział, że masz niewiele pieniędzy. Po tamtym spotkaniu w parku wiedziałem, że jesteś zdesperowana.

Quin ostrzegł ją przed Drytonem, był dla niej miły, pomyślała, ale robił to, co kazał mu księżę. Cierpiała z powodu rozczarowania i lęku przed przyszłością, ale najbardziej smuciła ją świadomość, że Quin zniweczył jej plany.

- Dziadek powiedział, że muszę poważnie rozważyć propozycje małżeństwa - oświadczyła z goryczą. - Dryton od razu mi się nie spodobał, ale przypuszczam, że cała reszta nie będzie lepsza. Nie mogę znieść tej hipokryzji, podwójnych standardów dla mężczyzn i kobiet. Quin...

- Nie, nie mam, jeśli chciałaś mnie spytać, czy mam kochankę - przerwał jej. - Nie jestem mnichem, ale uważam, że przysięga małżeńska jest po to, by jej dotrzy-

mywać.

Lady Caroline powinna się cieszyć. Ciekawe, czy poprosił już o jej rękę. Może wezwanie od księcia pokrzyżowało mu plany zalotów. Pomyślała, że musi być nią zmęczony, bo ciągle przysparza mu kłopotów, i zrobiło jej się jeszcze smutniej.

- Lepiej zawieź mnie od razu na Grosvenor Square. Chyba nie mamy o czym rozmawiać.

- A ja uważam, że mamy. - Powóz skręcił ostro, a potem się zatrzymał. - Jesteśmy na miejscu. Zasłoń twarz woalką, Kleo.

Wysiedli na prostokątnym placu przed imponującej wielkości budynkiem mieszkalnym z czerwonej cegły.

Quin wprowadził je do środka i skinął portierowi.

- Pośpieszcie się, nie chcę, żeby was widziano - poprosił.

Po chwili dotarli przed drzwi jego apartamentu. Quin otworzył je i zawołał od progu:

- George!

- Jestem, milordzie. - Sekretarz, którego Kleo pamiętała z chwili przybycia do Londynu, ukazał się w holu w samej kamizelce, bez surduta. - Proszę mi wybaczyć, panno Woodward...

- George, pakuj się - przerwał mu Quin. - Weź pieniądze na kilka dni i odwieź pannę Maggie do jej rodziny. Daj mi znać, gdzie jesteś, i zostań tam, dopóki się nie odezwę.

- Panna Kleo mnie potrzebuje - zaprotestowała Maggie, kiedy sekretarz skinąwszy głową, ponownie zniknął w głębi mieszkania.

- Ma mnie. Raczej bym nie liczył na pobłażliwość księcia. Chcę, żebyś była bezpieczna, na wypadek gdyby cię uznał za winną całego tego zamieszania i kazał aresztować za porwanie.

- Jestem gotowy, milordzie - zameldował się sekretarz. - Wziąłem z sejfu pięćdziesiąt funtów. Ruszamy, panno Maggie.

- Ale...

- Idź - ponagliła ją Kleo. - Lord Quintus ma rację, nie chcę, żebyś ponosiła konsekwencje moich czynów. Napiszę do ciebie - zawołała, kiedy George chwycił bagaż Maggie i wyprowadzał ją.

Kleo została sama, już tylko Quin oddzielał ją od jej złotej klatki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Tutaj. - Quin otworzył drzwi do salonu. - Zdejmij czepek i pelisę, rozgość się. Musimy wszystko zaplanować. - Usłuchała go, zbyt zmęczona i zszokowana, żeby się sprzeciwić. Wszystko działo się za szybko i nie zapowiadało niczego dobrego. Nawet obecność Quina nie cieszyła jej, tylko raczej bolała.

- Milordzie? - Do salonu wszedł zwawy niewysoki mężczyzna. Kleo domyśliła się, że jest kamerdynerem.

- Panno Woodward, to jest Godley - przedstawił go Quin. - Godley, odtąd niczego nie widzisz i nie słyszysz, rozumiemy się? Doskonale. Przygotuj, proszę, sypialnię, w której nocuje czasem pan Baldwin. I gorącą wodę, ma się rozumieć. Ale najpierw podaj herbatę.

- Chcesz, żebym tu została? Mam się tu ukrywać? - Z niedowierzaniem rozejrzała się po bardzo męskim wnętrzu, ze skórzanymi fotelami, karcianym stolikiem pod oknem i półkami książek. Panujący we wnętrzu zapach skóry z lekko wyczuwalną cytrusową nutą, skojarzył jej się z nagim, rozgrzanym ciałem Quina...

- Podejrzewam, że przebywanie damy w kawalerskim mieszkaniu szybko zostało by zauważone, ale jedna noc pozwoli ci trochę wypocząć. O, mamy już herbatę i racuszki. Jest też tort, wspaniale. Dziękuję, Godley.

Po wyjściu kamerdynera przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Muszę wyglądać okropnie, myślała Kleo. Zmęczona, w najskromniejszej sukni. Od dwóch dni nie miałam okazji nawet porządnie się umyć.

- Jedz - odezwał się w końcu Quin. Nalał herbaty, a potem posmarował masłem dwa racuszki i przesunął talerz w jej stronę. - Nie czekaj, aż wystygną. Powinnaś się najeść, wykapać i porządnie wyspać, Kleo.

Racuszki były przepyszne, gorące, delikatne i maślane. Po drugiej filiżance herbaty odzyskała głos.

- Z jedzeniem i kąpielą sobie poradzę. Ale wątpię, bym potrafiła zasnąć.

- Podejrzewasz, że wyślę wiadomość do księcia, kiedy tylko zamkniesz oczy? - Quin wpatrywał się w pusty talerz. Kiedy w końcu podniósł wzrok, zaskoczył ją wyraz jego oczu. - Chyba nie powinienem ci się dziwić. Może od razu omówimy, co należy zrobić?

- Masz jakiś plan? - zdziwiła się Kleo. Choć jej samej wydawało się to niedorzeczne, wciąż czepiała się nadziei, że Quin ją uratuje, uwolni, pokaże jej, że znaczy dla niego więcej niż kariera.

Jesteś żaloszna, Kleo Woodward. I głupia, skarciła się w duchu.

- Owszem, mam plan. Powiesz mi, czego chcesz, a ja pomogę ci to osiągnąć.

- Ale przecież właśnie robiłam to, co chciałam... - powiedziała z rezygnacją Kleo.

- Robiłaś jedyną niewłaściwą godności rzecz, jaką mogłaś zrobić w zaistniałych okolicznościach. Powiedz mi, co byś robiła, gdybyś miała dostęp do pieniędzy otrzymanych od ojca.



- Świetnie, skoro już musimy się bawić w gdybanie. Znalazłabym mały dom w jakimś miłym mieście. Takim, które posiada teatr, porządne sklepy, bibliotekę, sympatycznych mieszkańców. Znów byłabym wdową, której mąż zginął w Egipcie. Może udzielałabym lekcji języków młodym damom... Po co każesz mi o tym mówić?

Pragnie tak niewiele, a ja mogę jej tak łatwo to wszystko zapewnić.

- Dam ci na to pieniądze. George się tym zajmie, żebym mógł z czystym sumieniem powiedzieć twojemu dziadkowi, że nie wiem, gdzie jesteś. George znajdzie ci dom i będzie zarządzał twoimi funduszami.

- Ale jakimi funduszami?

- To już moja sprawa.

- Nie mogę brać od ciebie pieniędzy! Jak by to wyglądało? - Quin był przygotowany na wybuch złości, zupełnie nie spodziewał się łez i wyraźnego żalu w jej oczach.

- Tak, że spłacam dług wobec damy za dwukrotne uratowanie mi życia. Damy, której namieszałem w życiu i teraz chciałbym jej to choć w części zrekompensować.

- Powinnam odmówić. - Kleo wpatrywała się w dno filizanki, jakby mogła tam wyczytać jakąś przydatną mądrość. Podniosła się z miejsca, podeszła do regału z książkami i udawała, że ogląda zbiór atlasów zajmujący całą półkę. Quin w milczeniu patrzył na jej wysoką, smukłą sylwetkę; niemal słyszał, jak się zмага z myślami. Sądząc po lekkim opuszczeniu ramion, czuła się zmęczona. Miał ochotę wziąć ją w objęcia, pocałować, rozebrać, wykąpać w przyjemnie ciepłej wodzie, wytrzeć do sucha i utulić do snu. Ogarnęła go fala wielkiej czułości, nie zdawał sobie sprawy, że aż tak bardzo obchodzi go los Kleo. Próbował wierzyć, że to jedynie wyrzuty sumienia uświadomiły mu, że jednak może jej pomóc.

- Dasz mi słowo, że to nie jest kolejny podstęp? - Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. Widział w jej oczach nieufność i bezradność, która nadspodziewanie mocno go poruszyła.

- Daję ci moje słowo. - Po jej minie poznał, że jest gotowa jeszcze raz zaryzykować... mimo że wcześniej wielokrotnie ją zawiódł.

- Chyba potrzebuję, żebyś mnie przytulił. - Podeszła do niego niepewnie.

Quin wyciągnął ramiona, przygarnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach. Wdychał czysty zapach mydła i leciutko korzenny aromat, niepowtarzalny, zmysłowy. Chciał ją pocałować, ale wiedział, że Kleo nie tego potrzebuje w tym momencie, więc tylko gładził ją po plecach, mamrocząc jakieś pocieszające banały.

- Czy to oznacza, że mi wybaczyłaś? - spytał, kiedy w końcu się od niego oderwała.

- Czy wybaczyłam? Tak.

- Ale nie zapomniałaś i nadal nie jesteś mnie pewna, prawda?

- Nie - odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. - Przekonałam się, że bardzo sprytnie operujesz słowami, a do tego umiesz się zręcznie zasłaniać moim dobrem i honorem...

- Chodź, woda pewnie już się zagrzała. Uprzedzę Godleya, że jesteś gotowa na kąpiel. - Zaprowadził ją do drugiej sypialni, gdzie kamerdyner przygotował już wygodne pościelenie. Przed kominkiem czekała wanna, stos ręczników i wielka gąbka. - Wejdz za parawan i zacznij się rozbierać, a ja pomogę w nalewaniu wody - powiedział Quin.

Uśmiechnęła się i zrobiła, co jej polecił.

Quin z Godleyem nosili wiadra z wodą, dopóki wanna nie została w trzech czwartych napełniona. Postawili jeszcze obok dwa pełne dzbanki do splukiwania i kamerdyner się oddalił.

- Kleo, kąpiel gotowa - rzucił Quin w stronę parawanu, za którym panowała zupełna cisza.

- Potrzebuję pomocy.

Powinien był się domyślić, że bez pokojówki nie poradzi sobie z całym mnóstwem guzików, spinek i sznurówek, których nawet nie zdoła dosięgnąć.

- No dobrze, zamknę oczy - powiedział Quin, starając się nie zwracać uwagi na własne podniecenie.

- Nie ma takiej potrzeby. - Wyszła zza parawanu, bosa, z włosami splecionymi w luźny warkocz. Była trochę zaróżowiona na twarzy, ale poza tym całkiem spokojna. No tak, przecież miała już męża, a poza tym zdarzyły im się wcześniej chwile bliskości.

- W takim razie odwróć się. - Zaczął rozpinąć irytująco małe guziczki z tyłu sukni. - Już raz prawie widziałem, jak się kąpiesz, tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy. - Po co to mówił? Żeby uspokoić ją czy siebie? - Leżałem na szczycie wydmy, rozpalony gorączką, i nie wiedziałem, co robić. Tak trudno mi się było zebrać, że omal nie zostałem podglądaczem.

Kleo zaśmiała się i był to pierwszy radosny dźwięk, jaki wydała z siebie od czasu, gdy ją odnalazł. Stała przed nim już tylko w halce i zwijała długi warkocz w koronę na czubku głowy. Wyglądała tak kobieco, zmysłowo i kusząco...

- Quinie... - zaczęła z wahaniem. - Przecież pragniemy się nawzajem i oboje o tym wiemy. Nie jestem zalęknioną dziewczicą. Byłam mężatką, wiem, co to pożądanie... i odczuwam je teraz. Podobnie jak ty.

- Jak to możliwe, że mi nie ufasz i jednocześnie tego chcesz?

- Chcę, żebyś mi pokazał, że coś dla ciebie znaczę. Chcę dzięki tobie poczuć się lepiej.

Quin zamknął oczy, ale jej obraz wciąż tkwił mu pod powiekami; od jej zapachu kręciło mu się w głowie. Pożądał jej, od kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Była dorosłą kobietą, znała swoje potrzeby i pragnęła tego tu, teraz, z nim...

- Dobrze.

W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego, zrzuciła z siebie resztki ubrania i zupełnie naga weszła do wody. Piękna, gibka, uwodzicielska niczym wodna nimfa.

- Dlaczego widzę w tobie postaci z klasycznej mitologii? Najpierw menadę, teraz nimfę wodną? - Quin ściągnął surdut, wyjął spinki z mankietów i zaczął podwijać rękawy koszuli.

- Bo za dużo się uczyłeś? - podsunęła z uśmiechem.

Quin również się roześmiał, ukląkł obok wanny i sięgnął po mydło.

- Nie, bo twoja uroda jest ponadczasowa i... antyczna.

Namydlał jej plecy; wyczuwał pod palcami wypukłości kręgosłupa, nadal była zbyt szczupła.

- Antyczna?

- Wieczna, jak grecki posąg. Są takie stare, a wydają się żywe i młode, i tajemni-

cze, jakby gromadziły w sobie mądrość przez wieki.

- Uroczne porównanie. - Odchyliła głowę do tyłu, żeby go widzieć.

Wypuszczone z ręki mydło z chlupnięciem wpadło do wody. Quin objął Kleo, wyjął z wanny i poniósł w stronę łóżka, po drodze chwytając kilka ręczników. Ułożył ją na pościeli i zaczął wycierać, twarz, piersi, nogi... Kleo poddawała się jego ruchom bez protestów, spokojna, rozluźniona, patrzyła na niego bez słowa spod opuszczonych rzęs.

- Znowu wyglądasz jak kocia bogini Bastet - wymruczał.

- Znowu?

- Już parę razy tak o tobie myślałem.

- Chcesz powiedzieć, że myślałeś o mnie z pożądaniem?

- A to, co się stało w Kairze i na statku? A pierwszy pocałunek w Kom Ombo?

Kleo usiadła na łóżku i naciągnęła na siebie jeden z ręczników.

- Chciałeś tylko być miły - wydukała niepewnie.

- Miły! Staralem się postępować honorowo, ale aż mnie skręcało, tak bardzo cię pragnąłem.

- Nie mnie, tylko fizycznego zaspokojenia. - Opuściła wzrok na swoje dłonie.

- Do licha, Kleo! Cierpiałem jak potępieniec, nie mogłem spać w nocy, a ty byłaś urażona, że się powstrzymałem...

- Cierpiełeś? - spytała z niedowierzaniem.

- Jak wszyscy diabli, Kleo. Zawsze cię pragnąłem, nawet kiedy mnie torturowałaś mokrymi prześcieradłami, ostrymi narzędziami i lodowatym spojrzeniem.

- No to chodź do mnie teraz.

Nareszcie. Nagie ciało Quina, rozgrzane i sprężyste, wydało jej się inne od tamtego sprzed tygodni, kiedy opatrywała mu ranę. Przyglądała mu się otwarcie, kiedy się rozbierał. - Pośpiesz się - poprosiła szeptem.

- Nie pomagasz mi nad sobą panować - odpowiedział, układając się obok niej.

- Nie chcę, żebyś nad sobą panował.

Zaczął ją pieścić, wszędzie i na wszystkie sposoby, aż w końcu doznania osiągnęły takie natężenie, że była pewna, że więcej nie zniesie. Ogarnięta słodką bezwolnością, resztką tchu wykrzyczała jego imię.

Gdy wreszcie doszła do siebie, odkryła, że Quin leży nieruchomo i jej się przygląda. Dotknęła jego policzka, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie śni.

- Nie płacz - odezwał się cicho Quin.

- Nie płaczę.

- W takim razie to pewnie deszcz - zażartował. Ucałował kąciki jej oczu, a potem dotknął wargami jej ust, żeby poczuła słony smak. Następnie wsunął się w nią jednym gładkim ruchem. Kleo wyszła mu naprzeciw biodrami. Rozkołysani w jednym rytmie prowadzili się nawzajem ku spełnieniu.

Kocham cię, wyszeptała bezgłośnie Kleo, przyciskając głowę Quina do piersi, kiedy porwała ją kolejna, potężna fala rozkoszy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kleo obudziła się o świcie i leżała, patrząc na śpiącego Quina. Policzki mu pociemniały od świeżego zarostu, usta miał lekko rozchylone, a włosy uroczo potargane. Och, kochany, jak mam dalej żyć bez ciebie? – powiedziała do siebie w duchu.

Quin otworzył oczy, jakby usłyszał jej myśli. Nie odzywał się, tylko na nią patrzył. Patrzył tak, jakby jej nigdy wcześniej nie widział, jak na nieznane dotąd zjawisko, cudowne i przerażające zarazem. Zdziwiła się tym bardziej, że nie widziała, by wcześniej czegokolwiek się bał.

– Quinie? – Dotknęła jego twarzy. Natychmiast przygarnął ją do siebie, przetoczył się po łóżku tak, że znalazł się nad nią i patrząc jej w oczy, westchnął:

– Och, Kleo, ależ byłem głupi. – Przywarł do jej ust długim, namiętym pocałunkiem.

Żegna się ze mną, zdążyła pomyśleć, nim się w nią wsunął, by jeszcze raz poprowadzić na szczyty rozkoszy.

– Jeszcze jedną grzankę? – Quin przyglądał jej się z rozbawieniem i ściskającą serce czułością.

– Tak mnie nakarmiłeś, że najchętniej cały dzień leniuchowałam w łóżku.

– Trzeba załatwić różne sprawy, więc to raczej nie wchodzi w grę. – Wstał od stołu, przybierając minę, którą Kleo nazywała w myślach dyplomatyczną maską.

– Tak, oczywiście. – Przypuszczała, że chodzi mu o prawników i banki. – Zaraz będę gotowa, tylko znajdę woalkę.

W powozie Quin zachowywał milczenie, wydawał się skupiony i poważny, jakby się wewnętrznie przygotowywał do jakiegoś nieprzyjemnego zadania. Kleo starała się nie ulegać pesymistycznym przeczuciom.

W końcu pojazd się zatrzymał, stangret otworzył drzwi i rozłożył schodki. Wysiedli, Kleo rozejrzała się... i skamieniała. Znajdowali się na Grosvenor Square, przed domem jej dziadka.

– Nie! – Wyszarpnęła rękę z uścisku Quina. – Nie. Zaufałam ci! – Ależ jestem głupia, z miłości postradałam resztki rozumu, pomyślała i zaczęła się cofać. Wiedziała, że nie ma szans na ucieczkę, ale nie zamierzała się poddać bez walki.

– Kleo, zastanów się, zaufałaś mi wczoraj, więc powinnaś ufać i teraz. – Nie próbował jej chwytać. – Posłuchaj swoich uczuć, nie lęków.

Odsunęła się trochę dalej. Mama zwykła mówić, że jeśli coś wydaje się za dobre, żeby było prawdziwe, to prawdopodobnie nie jest prawdziwe. Powinna była słuchać zdrowego rozsądku, oczywiście, że Quin nie poświęciłby dla niej swojej wspaniałej kariery i nie zamieniłby pięknej Caroline na nią.

– Moich uczuć? Co ty wiesz o uczuciach poza tym, jak je wykorzystywać? Dałeś mi słowo. Jak tym razem będziesz się wykręcał?

– Obiecałem ci znaleźć dom i zapewnić środki na rozpoczęcie nowego życia.

- I co?

- Zmieniłem zdanie. Chodź, nie możemy tu o tym rozmawiać. - Wziął ją pod rękę, wyciągnął z kieszeni klucz, otworzył bramę do ogrodu i wprowadził Kleo do środka.

- Zmieniłeś zdanie? - Oburzenie i gorycz dławiły ją w gardle tak, że ledwo wydobywała z siebie głos. - Po ostatniej nocy? Po dzisiejszym ranku?

- Dziś rano uświadomiłem sobie, dlaczego jestem tak cholernie skołowany i nieszczęśliwy.

- Byłeś skołowany i nieszczęśliwy? No, to przynajmniej coś nas łączy!

- Mogę cię jedynie prosić o wybaczenie, że nie powiedziałem ci prawdy w Egipcie i podczas podróży. I zapewnić cię, że zawsze chciałem twojego dobra. Mam nadzieję, że mi wierzysz. Robiłem to, co uważałem za słuszne, ale nie miałem racji. Teraz wiem jedno: popełniłbym największy błąd w życiu, pozwalając, byś odeszła i spędziła resztę swoich dni samotnie, w ukryciu i w kłamstwie.

- Dlatego przywiozłeś mnie z powrotem do mojej klatki?

- Przywiozłem cię tu z nadzieją, że potrafisz mi zaufać jeszcze raz. I z nadzieją, że to, co widzę w twoich oczach, i to, co czułem, kiedy się kochaliśmy, nie jest iluzją.

- Podeszedł i ujął obie jej dłonie. - Chodź ze mną. Przysięgam, że jeśli nie zechcesz przyjąć rozwiązania, które zaproponuję, zabiorę cię stamtąd, cokolwiek by mnie miało za to spotkać.

- Nie. - Znów zaczęła się cofać, ale nie potrafiła oderwać od niego oczu. Stał w milczeniu, nie próbował jej zatrzymać.

- Zostaw George'owi wiadomość, jak się z tobą kontaktować - odezwał się w końcu dziwnie zduszonym głosem. - Będzie wszystko załatwiał ze wskazanym przez ciebie prawnikiem. A ja nie będę cię szukał.

Wyraz oczu Quina kazał jej się zatrzymać.

Kocham go, ale do tej pory dawałam mu tylko to, co łatwo mi przychodziło. Teraz mogę mu dać moje zaufanie, a jeśli popełnię błąd... Do diabła ze zdrowym rozsądkiem. Kocham go i poniosę tego konsekwencje.

Podeszła do Quina i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Pójdę z tobą.

Uniósł kąciuki ust w uśmiechu, w którym wyczytała ulgę i coś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać.

- Chodźmy więc, nie ma na co czekać.

Ochmistrz otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

- Witamy w domu, panno Woodward. Jego wysokość jest w bibliotece. Zapowiem państwa.

Kleo nagle sobie uświadomiła, że wszystko dzieje się za szybko. Jeśli Quin zamierzał ją przekazać dziadkowi jak odnalezionego psa, nie była w stanie podjąć walki o swój los.

- Znalazł ją pan! - Książę wyszedł zza biurka, żeby ucisnąć Quinowi dłoń. - Wiedziałem, że mogę na pana polegać, Deverall. - Marszcząc czoło, zwrócił się do Kleo: - Gdzie się, u licha, podziewałaś, niewdzięczna dziewczyno? Całkowicie się skompromitowałaś, naprawienie tej szkody będzie wymagało wiele wysiłku.

- Proszę łaskawie nie mówić do panny Woodward tym tonem, Wasza Wysokość - odezwał się Quin. - Panna Woodward przebywała w szacownym pensjonacie wraz

ze swoją pokojówką. A potem ze mną.

- Świetnie. - Dopiero po sekundzie książę pojął niejednoznaczność wypowiedzi Quina. - Z panem?

- Owszem, Wasza Wysokość. Ze mną. Kleo rzeczywiście jest skompromitowana i nic pan nie może z tym zrobić.

Książę nagle stracił pozę wyniosłego opanowania. Uderzył pięścią w blat biurka i wrzasnął:

- Ty przeklęty łajdaku!

- Proszę nie przeklinać w obecności panny Woodward, Wasza Wysokość - upomniał go Quin. Następnie odwrócił się, ukląkł przed Kleo i rzekł krótko: - Wyjdź za mnie, Kleo.

Świat zawirował jej przed oczyma... i zaraz się zatrzymał.

- Dlaczego miałabym za ciebie wyjść? - spytała trzeźwo. - Bo mnie skompromitowałaś?

- Bo cię kocham. Muszę przyznać, że jestem wyjątkowo tępy, bo uświadomiłem to sobie dopiero dziś rano, w łóżku.

Twarz księcia przybrała odcień burgunda.

- Co takiego? - wydukał.

- Dziadku, muszę porozmawiać z Quinem na osobności.

Czy to mogło być prawdą? Rzeczywiście ją kochał? - w jej głowie kołatały się pytania.

- A ja muszę wziąć pistolet i go zastrzelić!

Quin wstał.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Kleo?

- Tędy. - Zaprowadziła go do pustej jadalni i zamknęła drzwi na klucz. - Quin, jeśli kieruje tobą poczucie winy...

- Nie, nie ma mowy o żadnym poczuciu winy. To pierwsza rzecz, od bardzo dawna, której jestem całkowicie pewien. Kocham cię, Kleo. Wiem, że masz mi wiele do wybaczenia. Sam nie mogę sobie wybaczyć, że potrzebowałem aż tyle czasu, by zrozumieć, że nie tylko lubię cię i pożądam.

- To niemożliwe.

- Co jest niemożliwe? Mam grzecznościowy tytuł, niewielką posiadłość, całkiem pokaźny dochód i jestem w dobrej kondycji fizycznej, o czym miałaś okazję sama się przekonać. Nie utrzymuję kochanek, nie jestem uzależniony od hazardu, nie palę i nie łysieję. I mam wszystkie zęby.

Miał nadzieję, że żartobliwy ton złagodzi napięcie, tymczasem Kleo była jeszcze bliższa łez niż wcześniej.

- To cię zrujnuje, Quinie. Słyszałaś, co mówił dziadek. Pójdzie do ministerstwa i złoży na ciebie skargę. Będiesz miał za wroga bardzo wpływowego człowieka. Przez niego nigdy nie zostaniesz ambasadorem. - Głośno zaczerpnęła tchu, by na koniec wyrzucić z siebie z bólem: - A lady Caroline? To ona byłaby dla ciebie idealną żoną...

- Nie złożyłem żadnej deklaracji, ani jej, ani jej ojcu. Nie mam żadnych zobowiązań. Kleo, to ciebie kocham, nie ją.

- Ale ja jeszcze tyle muszę się nauczyć o twoim świecie. Nie posiadam żadnych

talentów ani doświadczenia towarzyskiego.

- Znasz języki i masz mocne nerwy. Do tego jesteś zdrowa jak ryba i nie przerażają cię obce, egzotyczne miejsca. I szybko się uczysz. Kleo, kochana, najwyżej skończy się moja kariera w dyplomacji. Jeśli to nastąpi, zajmę się interesami. Bez obaw, nie umrzemy z głodu.

- To akurat mnie nie martwi - westchnęła. - Znam więcej przepisów na przyrządzanie ryżu i chudych kurczaków, niż sobie możesz wyobrazić. Umiem prowadzić dom prawie bez pieniędzy. Chodzi mi o coś innego, nie chcę zniszczyć twoich szans na osiągnięcie celu, do którego dążyłeś przez całe życie.

- Ten cel nie jest dla mnie aż taki ważny - odparł spokojnie Quin. - Wiem już, kim jestem i na co mnie stać. Potrzebuję tylko ciebie, by czuć się spełnionym. Wyjdiesz za mnie, Kleo - powtórzył z nadzieją, bardziej tonem twierdzenia, a nie pytania.

- Tak - tylko tyle zdołała z siebie wydusić, nim przywarł do jej ust w pocałunku, ale to krótkie słowo było wszystkim: zgodą, obietnicą, przysięgą.

- Dość tych sentymentalnych bzdur - warknął pół godziny później książę. - Zniszczę cię, Deverall.

- Nie robi pan tego, jeśli nie chce zatruć życia swojej wnuczce. Może pan zniweczyć moją karierę, ale nie zginiemy z głodu, a towarzystwo uwielbia romantyczne skandale... Ucierpi raczej pana godność, jeśli będzie pan próbował nam szkodzić.

- Ty... ty kundlu z kojca Deveralla, ośmielasz się sięgać po wnuczkę księcia St. Osyth?

- Chyba nadaję się na męża córki ekscentrycznego baroneta oraz damy, która z nim uciekła i została wyklęta przez rodzinę - powiedział z uśmiechem Quin.

- Dlaczego to robisz, u diabła?

- Ponieważ ją kocham.

- I ja też go kocham - oznajmiła niepytana Kleo.

- Dosyć! - ryknął książę. - Nie mogę tego znieść. Jesteście parą sentymentalnych głupców. Kleo, nic nie wiesz o pochodzeniu tego człowieka.

- Owszem, wiem. Wszystko mi powiedział. Moim też nie ma się co chwalić. Zresztą, wolę poślubić mężczyznę, który dowiódł swej wartości inteligencją, ciężką pracą i honorem niż wybranego przez ciebie hulakę z tytułem.

Zapadła pełna napięcia cisza.

- Powiniennem cię wychłostać - odezwał się w końcu książę, pociągając za sznurek dzwonka.

Niemal natychmiast w progu stanął Cranton.

- Podaj butelkę szampana, najlepszego - rozkazał książę. - I trzy kieliszki. - Widząc zdumione miny Kleo i Quina, wyjaśnił: - Wiem, kiedy zaprzestać walki o przegraną sprawę. Życzę ci szczęścia z moją wnuczką, Deverall. Już ty od niej dostaniesz za swoje.

- Nie będziesz szkodził Quinowi w ministerstwie? - spytała Kleo z nieskrywaną nadzieją.

- Przestań, Kleo - zmiłogował ją Quin. - Nie będę prosił twojego dziadka o poślizgnięcie. Nie chcę jego łaski.

- A ja chcę moich pieniędzy - oświadczyła stanowczo Kleo. - Tych, które dostałam

od ojca.

- Dostaniesz cały posąg swojej matki - warknął książę. - Tylko go nie roztrwoń, Deverall.

- Nigdy bym nie śmiał, Wasza Wysokość. To własność Kleo.

- Weźmiecie ślub w kościele Świętego Jerzego. Za trzy miesiące.

- Za miesiąc i to Kleo zdecyduje gdzie.

Quin widział, jak Kleo przygryza wargę, żeby skryć uśmiech rozbawienia.

- U Świętego Jerzego. Dla kariery Quina będzie lepiej, jeśli zorganizujemy dużą uroczystość w Londynie. Ale za dwa tygodnie.

- To za szybko, powstaną plotki.

- Nie, jeśli pan powie, że poprosiłem o rękę wnuczki już tamtego dnia, kiedy ją do pana sprowadziłem - podsunął Quin. - Co zrozumiałe, chciał pan, żeby nabrała trochę obycia przed ogłoszeniem zaręczyn. Czyż ktoś odważy się zwątpić w pańskie słowa?

- Nie sądzę - mruknął książę. - Kleo, możesz teraz odejść do swojego pokoju, a ja porozmawiam z Deverallem o szczegółach.

- Muszę tu zostać?

- Oczywiście, że musisz, Kleo - powiedział Quin i cmoknął ją w czoło. Zaraz nachylił się do jej ucha i dodał: - Zaufaj mu.

- Oto twój nowy dom, pani Deverall. - Quin pomógł Kleo wysiąść z powozu i wskazał na zabudowania wyrastające z łagodnego, zalesionego wzgórza. Słońce dodawało ciepłego blasku ścianom z jasnego kamienia.

- Jest piękny, rozłożysty i przytulny zarazem - powiedziała Kleo z zachwytem.

- Niewiele w nim bywałem, zajęty obowiązkami. Możesz urządzić wnętrza po swojemu, żeby się w nich czuć jak najlepiej.

- Czy to znaczy, że często będę tu zostawać sama? Nie mogę podróżować razem z tobą?

- Oczywiście, że możesz... no, chyba że pojawią się dzieci, wtedy osiadziemy tu na stałe. - Weszli na schody prowadzące do głównego wejścia. - Powiedziałem służbie, żeby przez najbliższe dwa dni jak najmniej nam się pokazywała. - W tym momencie ogromne drewniane drzwi otworzyły się przed nimi jakby za sprawą magii. Kleo mogłaby przysiąc, że słyszała szybkie kroki i tłumiony chichot, ale w wielkim holu z kręconymi schodami nie było żywego ducha. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo Quin porwał ją w ramiona i niemal biegiem wniósł po schodach, prosto do sypialni.

Nie miała pojęcia, jak zdołał ją rozebrać, ani na chwilę nie przerywając pocałunku; ubranie Quina także jakby samo zniknęło. Dopiero później odkryła, że jego koszula jest rozdarta od szyi do pasa.

- Kleo? - Quin przeciągnął się z błogością, spoglądając na żonę, która wtulona w niego odpoczywała po cudownych chwilach bliskości.

- Mmm...?

- Kocham cię. - Te dwa słowa nadawały sens jego życiu.

- Mam nadzieję, bo ja też cię kocham - wymruczała. - Jesteś szczęśliwy?

- O tak, nie potrafię wyrazić jak bardzo.



- Naprawdę? - Popatrzyła na niego z czułością.
- Naprawdę. W tej kwestii możesz mi zaufać bez obaw, Kleo.

Tytuł oryginału  
Beguiled by Her Betrayer

Pierwsze wydanie  
Harlequin Mills & Boon Ltd, 2014

Redaktor serii  
Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne  
Dominik Osuch

Korekta  
Lilianna Mieszczńska

© 2014 by Melani Hilton  
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-2223-5

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o.

# Spis treści

Strona tytułowa  
Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty  
Rozdział dwunasty  
Rozdział trzynasty  
Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty  
Rozdział szesnasty  
Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Strona redakcyjna